

PAN ROMANET.

Henryk Greville.



PAN ROMANET.



WARSZAWA.

W Drukarni „Kuryera Godziennego,” ulica Czysta Nr 6.

1884.

Henryk Gréville

PAN ROMANET.

Дозволені Цязуров.
Ларшава 24 Сабр: 1834 года.



115155

K-60/81/130446

PAN ROMANET.

przez

Henryka Gréville.

I.

— Czy on śpi? — spytała pani Romanet swego męża, który w tej chwili zjawił się na progu jadalnego pokoju. Pan Romanet ręką zrobił ruch nakazujący milczenie i na palcach posunął się ku stołowi; pomimo tej ostrożności podłoga zaskrzypiała tak silnie, że przestraszony usiadł co prędzej obok żony na kanapce.

Lecz zanim zdołał odpowiedzieć na uczynione mu zapytanie, wielki zegar ścienny zaczął bić głośno dziesiątą godzinę wieczór.

Pani Romanet spojrzała na zegar z niechęcią, jak gdyby chciała powstrzymać jego uderzenia; ale to było niemożliwe, nigdy zegar ten nie przestawał chodzić i był w wielkim poszanowaniu, nikomu nie wolno było go ruszyć, sam tylko pan Romanet od czasu do czasu wydmuchiwał go starannie i smarował piórkiem umaczanem w oliwie. To też i teraz zegar wybił bez przeszkody godzinę z tak silnym dźwiękiem, że aż zabrzączały szyby w kredensie.

Gdy dźwięk ostatni rozplynał się w powietrzu, pan Romanet odpowiedział na zapytanie żony, która nie okazała najmniejszej niecierpliwości.

— Śpi snem sprawiedliwego — rzekł.

— Biedne dziecko! — westchnęła matka — musi być okropnie zmęczony, jeśli położył się spać bez obiadu.

— Powetuje on to sobie jutro — dodał ojciec. — Jakoś chłopak nieźle wyszł po tej wojaczce, tylko się opalił i zmęźniał jak na żołnierza przystało. Już nie jest teraz taki biały i różowy jak panienka, nieprawdaż, żono? To już zupełny mężczyzna.

— Wtady był śliczniuchny, ale teraz jest o wiele piękniejszy — odrzekła z dumą matka. — Wszakże niezadługo

Pan Romanet. 1. — Dodatek do Kurjera Codziennego.

II.

Nazajutrz rano, wszyscy mieszkańcy miasta Mantes, dowiedzieli się z gazet, że pan Romanet syn, powrócił z pułku.

Gdy nadeszła godzina zwykłej popołudniowej przechadzki, wszystkie panie, które mniej lub więcej znały panią Romanet, zauważyły, że ta ostatnia rzadko bardzo wychodzi z domu i że dzisiejszy dzień listopadowy jest wyjątkowo pogodny.

To też wyspa, miejsce zwykłych przechadzek, przedstawiała widok niesłychanie ożywiony, rojąc się tłumami strojnych kobiet, chcących się przekonać, czy im do twarzy w zimowych kapeluszach.

Jedne panie ukazały się już z mufkami, inne spacerowały jeszcze z parasolkami. Piękność dnia usprawiedliwiała wszystkie wybryki gustu i mody.

Ruch w alejach panował wielki, znajomi spotykali się, zatrzymywali i znów szli dalej.

Tymczasem słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, złotemi blaski odbijając się w nurtach Sekwany; niebo przybrało błękitno-zielonawą barwę, na tle której ogołcone z liści gałęzie drzew, tworzących w lecie gęste szpalery, wydawały się jak gotyckie luki nawy kościelnej.

Na zakręcie alei, ukazała się w tej chwili niemłoda już kobieta w towarzystwie młodziuchnej panienki.

— Otóż i pani Orliet z córką — ozwała się pani Sergent do sąsiadki — widzę, że Anusia ma dziś nowy kostium.

— Co za śmieszność ubierać tak wytwornie, za ledwo z krótkich sukienek wyszła dziewczynkę! — odrzekła z przekąsem zagadnięta.

— Pani Orliet ma wiele znajomości w Paryżu, moja droga przyjaciółko, nic więc dziwnego, że stroi odpowiednio Anusie,

— Zawsze ubiera ją jeśli nie nad stan i możność, to nieodpowiednio do jej wieku. Szara aksamitna suknia okładana szenszylą, to zupełnie niewłaściwe, w ten sposób nie złapią dla niej mężał

— Nie obawiaj się moja droga; dla Anusi nie trzeba łapać męża, pójdzie ona dobrze za męża, mam nadzieję — odrzekła pani Sergent pobłażliwie, miała już bowiem za mężem wszystkie córki, była zatem więcej wyrozumiałą na czyjeś błędy, niż te matki, które mają córki na wydaniu.

Tymczasem Anusia Orliet nie domyślając się, że jest przedmiotem tak żywej rozmowy, szła swobodnie obok matki, z tym wdziękiem właściwym młodym dziewczętom, którym się życie uśmiecha. Wprawdzie Anna straciła ojca bardzo wcześnie, lecz matka uwielbiała swoją jędnaczkę, wychowując ją przytem bardzo rozumnie.

Dla czego zaś te panie mieszkaly w Mantes, kiedy stosunki rodzinne i znajomości pociągały je raczej do Paryża? Oto pani Orliet nie lubiła w ogóle zgiełku i wrzawy wielkiego miasta i pragnęła więcej poświęcać się wychowaniu córki; przytem Mantes było jej miejscem rodzinnym; tu się wychowała i nigdzie na świecie pobyt nie wydawał jej się tak miłym. Prawda, że pałac jej był w całym znaczeniu tego słowa pańską rezydencją; wysokie sklezione komnaty, wielkie lustrzane okna, taras wychodzący na rzekę, a przybrany najpyszniejszymi stuletniami drzewami granatów i pomarańczy, wszystko tworzyło piękną i wspaniałą całość!

Owdowiawszy wcześniej pani Orliet, wróciła do rodzicielskiego domu i znajdowała niejaką pociechę widząc Annę wzrastającą w tem miejscu, gdzie ona sama uczyła się chodzić i czytać. Gdy zaś ujrzała swoją córeczkę przybraną w białą sukienkę do pierwszej komunii św. i przypomniała sobie tę chwilę, gdy nieboszczka matka przed osmnastu laty jej także własną ręką poparawiała fałdy welonu, to wzruszenie błogie i bolesne zarazem wstrząsnęło silnie jej duszą; uczucie jakiego doznała pani Orliet ci tylko ocenić potrafią, którzy od dzieciństwa nauczyli się szanować wspomnienia.

Patrząc na drobną postać córki, niknącą w zwojach lekkiego muślinu, pani Orliet uprzytomniła sobie całą przeszłość swoją, która przemawiała do niej z każdego sprzętu, z każdego kącika, nic tu bowiem od lat wielu nie było zmienione. W takim to otoczeniu pani Orliet wychowywała córkę; przyswoiwszy sobie z życia prowincjonalnego to, co zasługuje na pochwałę, to jest bacność na własne postęпки, aby nie dać ludziom pozorów nawet do obmowy, oszczędność i pracowitość, wiodła

życie spokojne choć odosobnione. Ażby wykształcenie Anny nie ucierpiało na tem, pani Orliet ugodziła nauczycieli z Paryża, którzy przyjeżdżali na godziny; oprócz tego dwa razy na tydzień matka z córką jeździły do Paryża na zbiorowe wykłady profesorów, którzy wydała się nie mogli.

Jednym słowem troskliwa matka nie zaniedbała niczego, aby córka odebrała wykształcenie gruntowne i świetne zarazem; lecz uniknęła zarazem szczęśliwie odurzającej atmosfery stolicy, któraby ten pączek białej róży zbyt wczesnie rozwinęła. Przy takim systemie Anusia wyrosła na mite i naturalne dziewczę.

Panią Orliet, na przechadzkę zwabił inny zupełnie powód, niż wszystkie prawie obecne tam panie, nowinki nie dochodziły ją tak szybko, bo nie interesowała się nimi wcale; nie wiedziała zatem o ważnym fakcie dnia tego.

Jedynie piękna pogoda i wrodzone poczucie artystyczne skłoniły ją do wyjścia. Chciała przypatrzeć się zachodowi słońca, który nad brzegiem rzeki różnemi mieniąc się barwami, nadaje przedmiotom fantastyczny pozór.

— Cóż tak późno?— spytała pani Sergent podając jej rękę.

— Najlepiej lubię tę porę dnia— odrzekła pani Orliet.

Zamieniły jeszcze słów kilka, następnie Anna z matką poszły dalej na kraniec wysepki, aby nasycić wzrok pysznym widokiem zachodu słońca, odbijającego się w szmaragdowych falach.

Zatrzymały się w miejscu gdzie kończyły się ścieżki. W dali na prawo, pagórki tonęły już we mgle, na lewo domki otoczone ogrodami, wyglądały z pomiędzy gęstwinny drzew, z tyłu odwieczne drzewa tworzyły jak gdyby nieprzepartą zapórę. U stóp zamyślonych kobiet woda szmerła cicho; przez gałęzie drzew widać było obłoki różowe rozlewające się w błado zielone barwy.

Wkrótce purpurowe blaski zaczęły blednąć i gasnąć powoli, a matka i córka nie odwracając oczu, zachwycaly się cudowną grą światła i cieni.

— Zapóźniłyśmy się — ozwała się wreszcie matka. — Nie sposób wracać szpalerami, pod drzewami ciemno zupełnie; pójdziemy brzegiem rzeki.

— Co za szkoda!— odparła Anna— pod drzewami tak ładnie gdy zmrok zapada, jakiś strach dziwny ogarnia...

I rozśmiała się srebrzystym, dziecinnym śmiechem.

— Mamo—ozwała się po chwili—tu jest pyszne echo.. pozwól mi zaśpiewać... niema już nikogo na wyspie prócz ogrodników, a zresztą nikt nie będzie wiedział że to ja...

Matka nie zabroniła jej; młoda dziewczyna odrzuciła w tył jasną główkę i wyrzuciła w przestrzeń kilkanaście

tonów jasnych, pełnych, które echo odesłało jej złagodzone. Kilka razy powtarzała tę igraszkę, na zakończenie zaś zaśpiewała śmiały pasaż z trylikiem na najwyższej nucie. Głos metaliczny i silny rozlegał się jak dzwonek w przestrzeni.

Zmrok zapadał powoli, fale rzeki zdawały się przejrzyste, piaszczysta ścieżka, na której stały kobiety, poly skiwała wśród zmroku jak metalowa wstęga.

Gdy po chwili Anna obejrzała się za siebie, zadrżała chwytając silnie matkę za rękę. Opodal stała jakaś postać ludzka.

— Ach ty mały tchórzul—rzekła matka.

— Anna!—ozwał się w tej chwili głos pełen szacunku i uczucia, pani Orliet...

— Lucyan!—zawołały razem matka i córka.

Mężczyzna zbliżył się szybko, witając.

Rzeczywiście był to Lucyan Romanet.

— Powiedziano mi w domu, że paucie na spacerze, — zaczął mówić szybko ze wzruszeniem, które widocznie chciał ukryć—podążyłem więc tutaj. Ale to wielka nieostrożność zapuszczać się samym kobietom tak daleko, gdy już ciemnieć poczyna. Łatwo tu spotkać włóczęgę, który mógłby panie nastraszyć i obedrzeć...

— Wyłaj nas pan dobrze—odrzekła Anna—ja to bardzo lubię.

Lucyan zmieszał się.

— Przepraszam panie,—ozwał się nieśmiało.

— Ale ja się bynajmniej nie gniewam—odrzekło naiwne dziewczę, — owszem, nie uwierzysz pan jak to miło być strofowaną przez tego, kogo kochamy...

Tajemnicza cisza przerywana tylko szmerem płynącej rzeki, zaległa dokoła.

— Kiedyż powrócicie?—spytała pani Orliet.

— Wczoraj wieczorem; — dzień cały oddawaliśmy z matką wizyty; kiedy kolej przyszła na panią, nie zastaliśmy jej w domu. Czy to ty Anno śpiewałaś przed chwilą? Zaśpiewaj co jeszcze proszę cię.

— Skądże wiesz, że to ja?—spytała zmieszana.

— Alboż na całym świecie jest głos podobny do twego!

— Można było sądzić, że to ptak śpiewa — dodała młoda dziewczyna z uśmiechem.

— Proszę raz jeszcze o ten tryl przepyszny.

Anna zaczęła śpiewać dopóki jej tchu starczyło. Lucyan pochłaniał ją wzrokiem. Ciemna suknia uwydatniała wiotką jeszcze postać młodej dziewczyny, twarz jej oświetlona ostatnimi blaskami gasnącego dnia, wydawała się

utrzymanie, ale przez lat parę mam jeszcze z czego żyć, nieprawdaż mameczko droga, a później dobrze mi płacić będą za moją pracę, jeśli mam prawdziwy talent(tak twierdzi Jalbrun...

— Któż to jest Jalbrun?

— To mój przyjaciel, utalentowany muzuk, on także nie wiele jeszcze zarabia, ale ma nadzieję, że wkrótce będzie lepiej. On mi powiedział. „kto chce zostać malarzem, musi być bogatym albo zamożnym przynajmniej aby mógł kształcić się swobodnie, bo przez długie lata sztuka jeść mu nie da, gdy jednak zabłyśnie na horyzoncie sztuki prawdziwy talent, pieniądze i zaszczyty spadną na szczęśliwego wybrańca losu! Otóż mameczko, zdaje mi się, że ja mógłbym poczekać; przeznaczenie mi jakiś fundusz na kupno adwokatury. Nad prawem, do którego nie mam żadnego powołania, muszę także pracować lat trzy, a za trzy lata mogę być malarzem.

— Ale jeśli cię talent zawiedzie, stracisz trzy lata twego życia—mówiła stroskana matka.

— Mameczko droga, jeśli mi się nie uda, to po trzech latach zrobisz ze mnie co zechcesz; nie będę się wam sprzeciwiał wcale. Ale teraz pomóż mi zwalczyć uprzedzenie ojca.

Mówił jeszcze długo, w ten sposób przekonywając matkę, która łatwo przekonać się dała. Mogłaż bowiem pragnąć co innego niż ten syn ukochany?

Trudniejsza sprawa była z ojcem. Pan Romanet pełniąc od lat trzydziestu objęte po ojcu obowiązki notaryusza w Mantes, dorobił się najuczciwszym w świecie sposobem znacznego majątku. Być bogatym! jakże to miło, ale być szanowanym, wiedzieć, że najmniejsza skaza nie plami naszego honoru, czyż może być większa rokosz dla uczciwego człowieka.

Cóż dziwnego, że ojciec pragnął aby syn poświęcił się temu samemu zawodowi, nie chciał go jednak zmuszać i sądząc, że Mantes może się nie podobać młodemu człowiekowi, dał mu do zrozumienia, że mógłby osiedlić się w Paryżu. Pomimo tego, pan Romanet ojciec nie porzucił swego zajęcia, karmiąc się tajemną nadzieją, że syn się da nakłonić do jego życzeń, a zapomni mrzonek o artyzmie. Widzimy, że stało się inaczej.

Gdy pani Romanet wspomniała po raz pierwszy mężowi o upodobaniu syna, ojciec słuchał z brwią namarszczoną.

— Malarstwo, to uczciwa i pouczająca rozrywka—rzekł—ale trzeba być waryatem aby w tem szukać karyery.

Pani Romanet umilkła, ale nazajutrz zaczęła na nowo ztu rm przypuszczać do przekonani męża; miłość macierzyń-

III.

W przeciągu miesiąca włosy i broda Lucyana odrosły tak bujnie i tak mu z tem było do twarzy, że nawet najzawziętsi jego nieprzyjaciele musieli przyznać, że był bardzo piękny. W ogóle nawet nazywano go: „piękny Romanet.“

Zaraz po przyjeździe, Lucyan wyciągnął ukryty w kącie swego pokoju tłumoczek i wyjął z niego pendzle i farby, zniósł także ze strychu kilka płócien na wpeł podmalowanych i rozwiesił je na stalugach. Młodzieniec miał bowiem wielki pociąg do malarstwa, lecz musiał się z tem ukrywać, gdyż ojciec bardzo był temu przeciwny.

Jednego rana, gdy pani Romanet uchyliła ostrożnie drzwi pokoju syna, sądząc że ten ostatni śpi jeszcze, ujrzała go pod oknem przed świeżo rozciągniętym płótnem z kredką w ręku, szkicującego coś z zajęciem.

— Jakte Lucyanie, wzięłeś się znów do malowania?—spytała z taką trwogą, że syn rozśmiał się ściskając ją w objęciu.

— Cóż chcesz droga matko, to nad moje siły, wyrzec się tego nie mogę—odrzekł. — Zdaje mi się, że wbrew wszelkim waszym oczekiwaniom, niczem więcej nie będę tylko malarzem.

— Sądziłam, że w wojsku zapomnisz o tem.—odrzekła z żalem matka.

— Przeciwnie mameczko, przymusowa przerwa stała się jeszcze podniętą. Trudno walczyć z powołaniem.

Pani Romanet milcząc usiadła na kanapie,

— Co powie twój ojciec?—ozwała się po chwili.

— Ojciec kocha mnie i nie chciałby z pewnością widzieć nieszczęśliwym swego jedyne go syna. A ja będę nieszczęśliwym całe życie gdy się minę z powołaniem. Prawda, że jako artysta z początku nie zarobię na moje

ska podsuwała jej takie argumenta, tak gorąco dowodziła o chybionych powołaniach, że mąż nie chcąc jej ani przyznać słuszności ani zaprzeczyć, milczał uporczywie.

Idąc za radą matki, Lucyan nie wspominał wcale o swej pracy, nie dla tego żeby robił z tego tajemnicę, ale czekał na jakąś przyjazną chwilę. Zresztą wszystko co robił od czasu powrotu, wydawało mu się złem, był więc bardzo zadowolony, że go nikt o jego szkice nie pytał.

Często jednak, można było go spotkać o zachodzie słońca, na moście łączącym dwa brzegi Sekwany. Niosąc wszystkie przybory w rękę, kierował się na sam krańiec wyspy i zasiadał w miejscu skąd widać było dobrze łączące się ramiona rzeki.

Znajome panie i panienki nieraz usiłowały zatrzymać go w drodze; lecz przwitawszy się grzecznie i uprzejmie, szedł dalej. Ciekawość, to ogólna wada kobieca, kusiała piękne panie, żeby pójść zobaczyć co też Lucyan maluje tak gorliwie? Lecz jakże iść tak daleko, nie zwracając niczyjej uwagi. Trzeba było zaniechać tego projektu, tajemnica więc pracy Lucyana, została uszanowaną z konieczności.

Jednego dnia w południe, zjawił się u pani Orliet. Zastał matkę i córkę pracujące nad jakimś haftem w krosnach. Tego rodzaju robota wyszła już teraz z mody, a czyż może być ładniejszy widok nad wdzięczną postać kobiecą pochyloną nad krosnami.

Lucyan patrząc na śliczny rodzajowy obrazek jaki miał przed oczami, zapomniał prawie po co tu przyszedł.

— Dzień dobry Lucykanie—rzekła wesoło pani Orliet, —coż to masz zawinięte w tym papierze?

Pani Orliet, pomimo że odezwała się trochę ironicznie o Lucykanie owego pamiętnego wieczora, gdy obie kobiety spotkały go na wyspie, miała jednak dla niego wiele przyjaźni. Powodem tej chwilowej obojętności, było uczucie zazdrości, jakiemu podlegają zazwyczaj najlepsze i najszlachetniejsze matki, gdy dostrzegą w sercu dziecka przychylność lub tylko pozór przychylności względem kogo innego. Lecz matka Anny szybko stłumiła swą niechęć dla Lucyana i witała go uprzejmie jak dawniej.

— Gdybym powiedział co przynoszę, kazała byś mi pani odejść zaraz—rzekł Lucyan siadając. — Otóż powiem później, gdy będę już w chęci usłuchania tego rozkazu.

— Cóż to za przezorność!—odrzekła Anna żartobliwie.

— Chciałem się najpierw zapytać pani, czy nie pójdziecie czasem przejsz się na wyspę, do tego samego miejsca, w którym po raz pierwszy spotkałem panie po moim powrocie.

Na to wspomnienie lekki rumieniec zabarwił twarzyczkę Anny, która pochylona nad robotą uważnie liczyła ściegi.

— Przejść się, po co?—spytała z roztargnieniem pani Orliet dobierając włóczki,

— Najpierw dla zdrowia, gdyż czas jest prześliczny, powtóre mam przecucie, że dziś będzie wspaniały zachód słońca.

— Sądziłam, że dziś całe popołudnie pracować będę—ozwała się z niechęcią pani Orliet.—Cóż Anusiu—dodała—masz chęć iść?

— Nie mam nic przeciwko temu — odrzekła młoda dziewczyna zwracając uśmiechniętą twarzyczkę do przyjaciela lat dziecińczych.

— A więc idź się ubierać Anusiu—rzekła pani Orliet podnosząc się z miejsca.

— Proszę cię Anno, weź tę suknię popielatą aksamitną!—rzekł Lucyan nieśmiało.

— Moją najpiękniejszą suknię—dla czego?

— Dla mojej przyjemności, tak ci w niej do twarzy... a przytem mam projekcik, ale go nie wyjawię teraz...

— A czy mi pokażesz co masz w tym papierze — dodało dziewczę wskazując na paczkę, którą Lucyan trzymał ciągle w rękę,

— Naturalnie!

Młodzi spojrzeli na siebie z uśmiechem. Od lat tyłu przywykli do wzajemnej wymiany myśli, że jednym spojrzeniem porozumiewali się wybornie.

Panie wkrótce były gotowe i wszyscy ruszyli w stronę wyspy. Szli brzegiem rzeki, aby nacieszyć się blaskami słońca, które chyliło się powoli ku zachodowi. Gdy przybyli do wskazanego miejsca, ujrzeli małego chłopca pilnującego stalug i farb.

Lucyana zbliżył się do Anny i z wielką nieśmiałością ozwał się w te słowa.

— Czy chciałabyś postać kilka chwil nieruchomie?... Pragnąłbym—dodał zwracając się do pani Orliet — naszkicować postać... panny Anny—dodał wahająco, po raz pierwszy bowiem w życiu nazwał ją panną.— Wymalowałem ten oto krajobraz, lecz chciałem go ożywić postacią córki pani; słońce zachodzi zupełnie jak wtedy....

— Więc na seryo zabrałaś się do malowania?—spytała pani Orliet spoglądając zdziwiona na młodzieńca rozcierającego farby.

— Niestety tak!—odparł śmiejąc się.— Mogę więc zacząć?

Pan Romanet 4, — Dodatek do Kurjera Codziennego. ■

— I owszem. Ale co mogłeś wymalować, kiedy wówczas było już tak ciemno, że ani krajobrazu ani postaci nie było widać?

— Zobaczycie panie za chwilę, jeżeli Anna zechce stać dziesięć minut spokojnie. Ale teraz proszę jeszcze nie patrzeć—dodał, widząc że obie panie posunęły się aby spojrzeć na płótno.

Anna przejęta szczególniejszem wzruszeniem, zatrzymała się na brzegu pożółkłego trawnika.

— Jeszcze trochę w tył głowę—rzekł Lucyan—ot tak dobrze.

Młoda dziewczyna stała powstrzymując oddech; przejęta ważnością chwili i szacunkiem dla dzieła, do którego służyła za uzupełnienie, miała chęć płakać, ale byłyby to łzy słodkie.

Po upływie pewnego czasu, Lucyan pracujący z zapalem, prosił ją aby odpoczęła. Usiadła na dużym kamieniu i patrzyła jak woda płynie szybko do nieznanych brzegów.

— To obraz przyszłości—myślała—woda nie wie dokąd bieży, my także, śpieszymy się również rozgorączkowanie, niecierpliwi, bo jutro przynieść nam może roskosze i nigdy, nigdy już nie powracamy do brzegu skąd odplynęliśmy wczoraj.

Jakieś bolesne uczucie, dziwne w tem osmnastoletniemu serduszku, przejęło całą istotę Anny; patrzyła na rzekę, drzewa i purpurowe niebo, jak gdyby chciała je wziąć na świadków tej chwili życia, którąby chciała uwiecznić.

— Zechciej jeszcze przybrać tę samą pozę, ozwał się w tej chwili głos Lucjana.

Podniosła się natychmiast, a po kilku minutach pracy Lucyan rzekł: „Dziękuję.“

Zbliżyła się do stalug, przy których matka już stała.

Płótno było niewielkich rozmiarów, ale ów tajemniczy półcień gasnącego dnia, który ich tak zachwycił wówczas, oddany był po mistrzowsku. Cały krajobraz, niebo mieniające się barwami tęczy, zmrok zapadający pod drzewami, na tle których odbijała wysmukła postać młodej dziewczyny, wszystko nosiło cechę takiego natchnienia, że wzrok patrzących nie mógł się oderwać od tego widoku, a myśl ich błędziła w jakiejś zaczarowanej krainie szczęścia.

— Ślicznie, doskonale — rzekła pani Orliet opierając rękę na ramieniu młodzieńca.

— Naprawdę?—spytał niedowierzająco, a dreszcz radosny przejął go głęboko.

— Ależ to zachwycające.

Anusia przytulona do matki, przypatrywała się w milczeniu:

— Nie jestem tak nieświadoma w malarstwie i upewniam cię, że to jest rzecz bardzo ładna, — ozwała się po chwili pani Orliet — Są tam niektóre usterki, ale pomysł pociąga oryginalnością i zadziwia wykonaniem.

— Pracowałem nad tem od mojego powrotu — rzekł Lucyan skromnie — odrysowałem z pamięci postać Anny, ale do ostatecznego wykończenia potrzebowalem raz jeszcze ujrzeć mój model.

Zmrok zapadał szybko. Lucyan zabrał pośpiesznie malarskie przybory i oddał je chłopcu, zatrzymując tylko obraz przy sobie.

Anna nie przemówiła jeszcze ani słówka,

— Czy moja praca podobała ci się? — spytał Lucyan nie patrząc na nią.

— Bardzo—szepnęła cicho młoda dziewczyna.—Wszyscy zamilkli, zrobiło się zupełnie już ciemno.

— Zaśpiewaj jak wtedy—prosił Lucyan.

— Nie mogę—odrzekła stłumionym głosem.

— Wracajmy—ozwała się pani Orliet—powietrze oziębiło się bardzo.

W drodze pani Orliet wypytywała Lucjana o szczegóły jego studyów i nie mogła wyjść z podziwu przekonawszy się, że stosunkowo nie wiele pracował.

— Masz już talent i powołanie — rzekła nakoniec — z takimi zdolnościami można zostać znakomitym malarzem.

— Tak pani sądzi?—spytał Lucyan z radosną dumą.

— Bezwątpienia—odparła.—Ale cóż na to mówią twoi rodzice?

— Matka zgadza się na wszystko; ale z ojcem nie tak łatwa sprawa, on uważa sztukę jako zabawkę dobrą dla próżniaków... Gdyby pani wstawiła się za mną, pani, co jesteś wyrocznią naszego domu, może dalby się przebłagać.

— Uczynię to jak najchętniej—odrzekła pani Orliet.—Szkoda zaniedbać takiego talentu. Trzeba żebyś został tym do czego masz powołanie, sądzę, że lepiej być dobrym malarzem niż złym notaryuszem. Ale ojciec twój nie wie, że masz talent i dla tego się opiera, gdy się przekona inaczej, z pewnością zmieni zdanie.

Podziała mu rękę na pożegnanie i Lucyan został sam z tercem przepelnionem wdzięcznością i nadzieją. Uszedłszy kilka kroków, Anna zwróciła się ku niemu i skinęła mu raz jeszcze głową. Światło latarni uwydatniało wysmukłe kształty jej postaci. Lucyan uczuł, że serce jego wyrывa się ku tej idealnej istocie niknącej w wieczornym zmroku.

— Anno! droga Anno! — myślał— jeśli pragnę sławy, to dla ciebie, dla ciebie jedynie!

Spojrzał za siebie; wyspa wznosiła się z wód jak jakaś bezkształtna, czarna masa.

— Jak ja ją kocham!— rzekł sobie nagle, w tej chwili bowiem dopiero poznał całą rozciągłość swego uczucia. — Kocham ją, kocham— powtórzył kilka razy, tak go upajał sam dźwięk tego wyrazu, tak jego harmonia odpowiadała wewnętrznemu nastrojowi jego ducha.

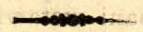
Lucyan nie był naturą pospolitą; umiał korzystać z przymiotów jakimi go Bóg obdarzył.

Pierwszy to raz jego serce zabiło tak żywo; wspomnienie kilku przelotnych wzruszeń jakich doznał w swoim życiu, znikło jak sen w obec wspaniałego zjawiska tej nowej jutrzenki. Przekonał się, że to co dotąd nazywał miłością, było tylko chwilową igraszką, a wyobraźnia jego przedstawiła mu życie jak wspaniały gmach, którego jeszcze nie przestąpił progę.

Na tym progu stała Anna w białej ślubnej szacie i wyciągała do niego rękę... o, był pewny, że mu poda dłoń z ufnością. Tak samo jak odkrył niespodzianie miłość we własnym sercu, przeczuwał ją także w sercu tej uroczej towarzyski swojej.

— Czy tylko dadzą mi ją za żonę?— zapytał sam siebie z trwogą. Ale dla czegożby nie, kiedy się kochamy! pocieszył się w tej chwili z ufnością młodzieńczą.

Powrócił do domu znużony ciałem, co jednak nie przeszkodziło mu noc całą śnić o nadziemskim szczęściu, które jak marzył, stanie się wkrótce jego udziałem.



IV,

Zegar w pokoju jadalnym państwa Romanet wybił dziewiątą wieczór. Około dużego stołu i przy płonącym na kominku ogniu, siedziało ze dwanaście osób, wszystko dobrych znajomych i starych przyjaciół państwa Romanet. Zebrali się oni z powodu uroczystości wigilii Bożego Narodzenia, aby przepędzić ten wieczór w miłym i wesolem kółku. Przedstawicielami młodszego pokolenia byli tylko Lucyan i Anna; nic więc dziwnego, że usiedli blisko siebie.

Ale o dziwo! nic do siebie nie mówili. Dawniej nie było końca ich rozmowom; wracali się jeszcze od progu aby powiedzieć sobie coś bardzo ważnego; teraz zaś od dni kilku nie śmieli nawet spojrzeć sobie w oczy, a rozmawiali tylko półsłówkami.

Bo czyż słowa zdolne są oddać to, co się w głębi ich serc działo? Jakiejże trzeba wymowy, aby odmalować potęgę młodocianych uczuć, świeżych jak pierwsze blaski jutrzenki!

Kochali się, a jednak chwilami wątpili wątpili o wzajemności, i każde z nich zapytywało się z trwogą, czy nie tłomaczy sobie fałszywie spojrzeń i uśmiechów drugiego! Ale spytać o wyjaśnienie? żadne by nie śmiało. Bo gdyby uroczy sen, rozbił się nagle jak kryształowa czara trącona nieuważną dłonią, to czemże by bez niego było życie?

A jednakże z ruchów, dźwięku głosu, ukradkowych spojrzeń i przelotnych rumieńców, czerpali pewność podzielanej wzajemnie miłości.

Miłość ta potęgowała się w nich łagodnie, bez gwałtownych wzruszeń, a jednak zacieśniała coraz bardziej łączące ich węzły, sprawiając im taką niebiańską rokosz, że niemal nie śmieli odetchnąć aby nie spłoszyć uroczego marzenia.

Po cóż mieli mówić, kiedy nie patrząc czuli się tak blisko siebie! Zresztą te czyste i nieskalane dusze nie tały się z niczem przed sobą; Anna była uosobieniem niewinności, Lucyan także w swem krótkim życiu nie popełnił nic takiego, za co musiałby się rumienić, czekali więc spokojnie... czego? nie wiedzieli sami: może jakiego świetlanego promienia, który rozjaśni nagle jutrzenkę ich miłości; jakiegoś niezwykłego zdarzenia, które złączy ich dłonie, a z ust wyrwie słowo stanowiące o całej ich przyszłości.

Rodzice i przyjaciele nie dziwili się bynajmniej widząc ich razem.

Zebrani goście rozmawiali wesoło, każdy robił przypuszczenie, co dostanie na kolędę, nietylko bowiem dzieci wyglądają gwiazdki, każdy kto może lubi robić niespodzianki i odbierać takowe. Pan Romanet żartował, nie chcąc powiedzieć co przygotował dla żony, gdy nagle pani Orliet zapytała go!

— A cóż pan da Lucyanowi?

— Taki duży chłopiec nie potrzebuje już kolendy, sądzę, że on mi da jakiś podarunek.

Oczy wszystkich zwróciły się na młodzieńca.

— Nie pomyślałem o tem wcale—odrzekł tenże—widać kochany ojciec, że ze mnie jeszcze prawdziwy dzieciak; ale przyrzekam poprawę.

— Czy chcesz abym ci poradziła, panie Romanet, co masz dać synowi?—spytała znowu pani Orliet.

— I owszem droga pani, byleby to nie było rzeczą zbyt kosztowną.

— O! nic cię to kosztować nie będzie. drogi panie.

— Zatem zgadzam się chętnie: cóż to jest takiego?

— Powiem ci to jutro drogi przyjacielu, o jedenastej przed południem—odrzekła matka Anny—tylko bądź łaskaw mnie odwiedzić.

— A więc rzecz skończona!—dodał notaryusz;—sądził że syn zrobił jakiś dług, a nie śmiać się przyznać ojcu, użył pośrednictwa pani Orliet.

Stary pan Romanet był dzisiaj w wyśmienitym humorze; obecność tylu przyjaciół, wewnętrzne zadowolenie, że przyjął ich jak się należy, wszystko usposabiało go tak dobrze, że czuł się skłonny do pobłażania.

— A ty, Anno, co mi ofiarujesz?—spytał półgłosem Lucyan nachylając się do swej sąsiadki,

Promień niewinnej złośliwości zabłyś w oczach dziewczyny.

— Nic zupełnie—odparła—ale co ja od ciebie dostanę?

— O! to jeszcze tajemnica!

Spojrzała na niego śmiejąc się, lecz nagle spuściła

oczy; we wzroku Lucjana wyczytała tak głębokie i nieznanne jej dotąd uczucie, że została prawie olśniona.

— Powiedz mi proszę, cóż to takiego?—badała ciekawo ukryć swoje pomieszenie.

— Czy chcesz koniecznie?

— O! bardzo proszę.

Trudno oddać akcent, z jakim te dwa pospolite zdania były wymówione. Brzmiały one w ich uszach jak najuroczystsza przysięga.

— Ale nie powiesz o tem nikomu. nawet twojej matce.

— Nie żądam tego—szepnęła Anusia.

— Niech i tak będzie. Nie proszę cię więc o tajemnicę. bo wiem, że i tak jej dotrzymasz. Chcę ci ofiarować krajobraz przedstawiający wyspę.

— Nie zatrzymałeś go dla siebie?—spytała żywo wzruszona Anna.

Nie wiedziała, czy ma się cieszyć, że dostanie w podarunku to do czego największą przywiązywała wagę, czy też smucić się, że Lucyan tak mało cenił swoją pracę.

— Zrobiłem kopię—dodał młodzieniec półgłosem.

Anna przymknęła instynktownie oczy, lecz pomimo to czuła palący wzrok Lucjana przenikający ją do głębi duszy. Nie śmiała nic już odpowiedzieć i zwróciła się do matki, którą tak zadziwił wyraz twarzy Anny, że zbliżyła się do młodej dziewczyny i całując jej gładkie czoło, spytała:

— Co ci jest moje dziecko?

Anna zaploniona oddała jej pocałunek.

— Nic mamol—odrzekła.

Lucyan również zmieszany odsunął się na bok, a miejsce jego zajęła matka, która już do końca wieczora nie odstępowała córki.

Podając płaszczyki pań, Lucyan uściśnął z lekka rączkę Anny. a jednak przez noc całą we śnie i na jawie czuł dotknięcie tej drobnej dłoni.

Nazajutrz o jedenastej przed południem, pan Romanet zjawił się u swej dawnej przyjaciółki, u której, pomimo zażyłych stosunków, bywał bardzo rzadko: był takim domatorem, że wolał przyjaciół widzieć u siebie, niż ruszać się z domu.

Wprowadzono go do salonu, którego białe obicia, złote sztukaterie i wytworne meble zadowolnić mogły gust najwykwintniejszy.

Ogień wesoło trzaskał na kominku, zdawało się, że zewsząd wieje duch gościnności i uprzejmej prostoty.

Pan Romanet machinalnie zbliżył się do kominka i powiódł wzrokiem po salonie.

— Piękniej tu niż u mnie — mówił sobie w duchu — gdyż z wyjątkiem mojej jadalni wykładanej dębowym drzewem, nie mam żadnych mebli wytwornych: ale nie lubuje się w tym zbytku, chociaż nie jestem uboższym od mojej przyjaciółki i mój syn nie mniejszy będzie miał posag od jej córki.. Nie jedni mogą zazdrościć naszym dzieciom!

Monolog ten przerwało wejście pani Orliet, ubranej skromnie, lecz z tą elegancją znamionującą dobry gust w kobiecie.

Pan Romanet ucałował jej rękę na powitanie i zmierzzył ją od stóp do głów wzrokiem, mówiąc z żartobliwą ironią:

— Sprawa za którą pani przemawiasz musi być ważną, skoro pani uczyniłaś się tak piękną, aby mnie zwyciężyć.

— A ma się rozumieć, że nie inaczej—odparła z równą swobodą pani Orliet.

I natychmiast korzystając z dobrego usposobienia swego gościa, rozpoczęła swoje poselstwo.

Rozprawa była długa i gorąca, oboje walczyli z zapalem broniąc swoich przekonań.

Anna siedząc w pokoiku swoim na górze, słyszała dźwięki głosów, ale wyrazów rozróżnić nie mogła. Z nieopisaną trwogą czekała wyroku, który miał stanowić o całej przyszłości Lucyana; wyrok ten był dla niej kwestyą życia lub śmierci, czuła że cierpiełaby z nim na równi.

Chwilami głos pana Romanet wybuchał gniewnymi dźwiękami, następnie słychać było łagodne uwagi pani Orliet, obstającej wytrwale przy swoim zdaniu.

Anna z bijącym sercem wyrzucała sobie, że mimowolnie nadśluchuje, lecz w rzeczy samej nic nie słyszała.

Nareszcie głosy umilkły i Anna usłyszała skrzypnięcie drzwi prowadzących z salonu do przedpokoju.

— Jeśli to uczynię, to jedynie dla tego aby pani zrobić przyjemność—rzekł pan Romanet stojąc już w progu.

— Sam pan czujesz, że nie możesz mi tego odmówić! zauważyła pani Orliet.

— A zatem kwestya skończona droga pani. Ale jeśli zdanie będzie nieprzychylne, to już nikt mi o tem wzmianki nie robi, wszak prawda?

— Przypuśćmy, że sąd łędzie przychylny, to nie będziesz się pan już więcej sprzeciwiał?

— Choćbym chciał to już nie mogę, bo przecie dałem słowo!—rzekł z westchnieniem notaryusz.— Ale gdzież jest nasza śliczna panienska, żebym ją mógł pocałować?

Nie czekając na wezwanie matki, Anna wybiegła na schody i rzuciła się na szyję starca i ucałowała go tak serdecznie, jakby to uczyniła przed dziesięciu laty.

Pan Romanet uściskał ją, powiedział jej słów kilka uprzejmym i wyszedł.

— Cóż powiedział?—spytała Anna, z trwogą gdy drzwi się za nim zamknęły.

— Powiedział, że zdaje się zupełnie na sąd dwóch malarzy moich znajomych, którzy o pracy Lucyana zawyrokują, czy ten ostatni ma talent, a tem samem czy warto aby się poświęcił malarstwu. Zrobił więc pocziwy ojciec wielkie ustępstwo.

Twarzyczka Anny zasępiła się nagle.

— Obiecał tyle tylko—rzekła — to wcale nie wiele.

— To jeszcze mało—odparła matka z uśmiechem—nie wiedziałam, że jesteś tak wymagająca. Ale w życiu, moje dziecko, nie wszystko dzieje się podług naszej myśli, trzeba umieć czekać.

Czekać! ach jakże to trudno! tak samo jak nakazać milczenie duszy, aby nie pragnęła tego, co jest jej szczęściem, zmusić wzrok, aby nie spoglądał na drzwi, gdy w nich spodziewamy się ujrzeć drogą nam istotę; nie nadśluchiwać najmniejszego szelestu, gdy wyglądamy wieści, której się zarazem obawiamy i pragniemy. Żyć napozór biernie, obojętnie, gdy duszą szarpie niepokój; o! to tortura, którą nie każdy potrafi kłamanym osłonić uśmiechem.

Młodzi są w ogóle mniej cierpliwi, z wiekiem ludzie albo nabywają tej cnoty, albo słabiej odczuwają wszystkie wrażenia; a tem samem znoszą łatwiej tortury oczekiwania.

Anna musiała jednak czekać aż dni sześć, zanim wybrani znawcy nazaczyli dzień, w którymby się mogli zejść aby wyrzec swe zdanie; dnia tego pani Orliet i pan Romanet z synem wybrali się do Paryża dla usłyszenia sławnego wyroku.

Tysiące drobnych przeszkód, jak to zwykle ma miejsce gdy się śpieszymy, przytrafiło im się w drodze.

Nareszcie o trzeciej po południu, a więc prawie o schyłku zimowego dnia, znaleźli się w pracowni artysty malarza, w obec areopagu złożonego z kilku kompetentnych ludzi, którzy obojętnie kilkanaście szkiców i ów krajobraz przedstawiający wyspę spojrzeli po sobie w milczeniu.

Później jeden z nich zadał następujące pytanie panu Romanet:

— Czy syn pański ma majątek?

— Tak jest—odpowiedział z pewną dumą notaryusz.

— W takim razie niech się kształci w zawodzie, do którego ma powołanie—dodał drugi malarz. — Sumiennie panu mówię, że jeśli syn pański chce pracować, może zająć wysoko.

Pan Romanet G. -- Dodatek do Kurjera Codziennego.

— Gdyby był ubogim—odezwał się ten, który mówił pierwszy — pomimo talentu odradzałbym mu wszystkimi siłami, ale kiedy jest bogaty, może się śmiało poświęcić sztuce.

Zadowolony i zwyciężony zarazem pan Romanet, podziękował artystom, przeprasząc ich za kłopot, jakiego im narobił i pociągnął syna na schody. Gdy drzwi się za niemi zamknęły, uchwycił Lucyana za szyję.

— To ty nicponiu masz talent nie żartem—zawołał— uściskaj że mnie!

Pani Orliet, która zatrzymała się chwilę w pracowni aby jeszcze zapytać o śmielsze zdanie, wyszła w tej chwili i ujrzała syna w objęciu ojca.

— Jesteś chyba zadowolony, mój przyjacielu — rzekła zwracając się do ojca.

— Ja mam być zadowolony! zawołał— gdy syn psuje mi wszystkie szyki, gdy wybiera inną przyszłość nad tę jaką ja mu wskazuję, to ja mam być zadowolony!

— Zdaje mi się, że w tej chwili nie odpychałeś twego dziecka—rzekła śmiejąc się pani Orliet.

— Przecież to mi podchlebia, że mój syn posiada talent, chociaż z drugiej strony nie przeszkadza mi to gniewać się na niego.

W jak najlepszym humorze wszyscy wrócili do Mantes, aby co najrychlej z pozostałymi podzielić się dobrą wieścią.

Lucyan za całe podziękowanie, uściskał mocno rękę pani Orliet, nie mógł się biedak zdobyć na słowa.

Gdy weszli do mieszkania notaryusza, młodzieniec pobiegł pędem strzały do matki i uściskał ją serdecznie, biedna kobieta nie potrzebowała innego objaśnienia. Po chwilowem zamieszaniu, wynikiem przy powitaniu, pani Orliet zapytała o Anusię.

— Była tu przed chwilą — odrzekła pani Romanet — lecz że ze mnie nie jest zbyt wesoła towarzyszką, Anusia wróciła do domu.

Pani Orliet poszła zatem do siebie i nie pozwoliła się odprowadzić nawet Lucyanowi.

— Tak — odpowiedział matka zalewając się łzami i przyciskając rękę do serca.
Kochaniecie to i tak tylko chwilkę pani Orliet zapomniała nad sobą i znową wyprawy jakoby była o jej przywiązaniu do Lucyana.
Nie można sobie wyobrazić nie czującego i kochającego swiętobogę, nad światem żyjącą jakby była nieczłowiekiem. Anna przystąpiła do matki zapytując, czy matka Lucyana znowu odwiedziła. Matka odpowiedziała, że tak, i że Lucyana znowu odwiedziła. Matka odpowiedziała, że tak, i że Lucyana znowu odwiedziła. Matka odpowiedziała, że tak, i że Lucyana znowu odwiedziła.

V.

Światło błyszczało w oknie młodej dziewczyny, i matka też udała się prosto do jej pokoju, zdziwiona, że Anna nie wybiegła na jej spotkanie.

— Wygraliśmy—zawołała radośnie pani Orliet otwierając drzwi pokoju córki.

Anna z okrzykiem radości zawisła na szyi matki i zalała się łzami.

Pani Orliet objęła ręką jej szczupłą kibić i spojrzała jej w oczy badawczo.

— Ach mamo! — rzekła młoda dziewczyna, zdradzając mimowoli swoją tajemnicę,—gdyby Lucyana był doznał zawodu, chyba oboje umarlibyśmy ze zmartwienia,

Pani Orliet rozwiązała z wolna szarfy kapelusza, rozpięła płaszczyk, a zrzuciwszy wszystko z siebie, pociągnęła córkę na małą kozetkę.

— Kochasz go więc tak bardzo? — spytała, sama głęboko wzruszona na myśl, że jedyne jej dziecko tak wczesnie zaczęło pić z czary życia.

— Po tobie mamo, nie kocham nikogo więcej niż Lucyana, wiesz o tem dobrze! — odrzekła z naiwną prostotą,—przecież to mój towarzysz lat dziecinnych, wszak i ty mamo kochasz go bardzo!

Pani Orliet wstrząsnęła głową. Chociaż miała wiele przyjaźni, wiele zyczliwości dla tego młodzieńca, niemniej przeto stawał się on jej rywalem w sercu dziewczęcia, które dotąd ją jedną, ją wyłącznie kochało!

— Czy cię to gniewa mamo? — zapytała nieśmiało młoda dziewczyna przestając pieścić matkę.

Pani Orliet zmieszana się na to pytanie, czuła, że mogłaby stracić serce córki.

— Nie—odrzekła żywo,—nie gniewa mnie to wcale.

— Ale ci to robi przykrość, powiedz?—nalegała Anna.

— Tak—szepnęła matka zalewając się łzami i przyciskając córkę do serca.

Rozdrażnienie to trwało tylko chwilę; pani Orliet zapanowała nad sobą i zaczęła wypytywać łagodnie córkę o jej przywiązanie do Lucyana.

Nie można sobie wyobrazić nic czystszeo i bardziej świetlanego, nad związek tych dwóch dusz młodocianych. Anna przytulona do matki szeptała, że kochała Lucyana zawsze; dzieckiem będąc dzieliła jego zabawy; gdy podrosła i zaczęła się uczyć, wyglądała zawsze powrotu Lucyana ze szkół, powrotu, który jej sprawiał taką roskosz, a gdy odjechał do pułku, zmartwiła się szczerze sądząc, że w oddaleniu zapomni o niej zupełnie...

— A potem? — spytała matka, która słuchała tych zwierzeń napozór spokojnie, lecz raz po raz obcierała ukradkiem łzę gwałtem cisnącą się do oczu.

— Potem gdy przjechał i spotkał się z nami na wyspie, przekonałam się, że nie jestem mu obojętną... i byłam bardzo szczęśliwa. Co to był za dzień cudowny, nieprawdaż mamó?... Gdy nas Lucyana odwiedzał, było mi tak przyjemnie, a choć nie przychodził wiedziałam, że myśli o nas. Kiedy nas zaprowadził na wyspę dla dokończenia tego krajobrazu, zrozumiałam nagle, że w mojem przywiązaniu jest coś zupełnie nowego.... On nie rzekł mi nigdy ani słówka o tem co myśli, a jednak... jestem pewna... zdaje mi się przynajmniej, że czuje to co i ja... w wigilię Bożego Narodzenia; prawie z nim nie rozmawiałam, a wiedziałam, że on o nas tylko myśli...

Anna powiedziała: „myśli o nas“ aby nie zaprawić goryczą serca matki, dając jej uczuó osamotnienie. Gdy skończyła wyznanie, podniosła na matkę swoje przepyszne siwe oczy, promieniejące w tej chwili zachwytem i spuszczać je natychmiast, schyliła się do ręki matczynej, całując ze czcią prawie ślubną jej obrączkę, i pozostała już tak z twarzą ukrytą na kolanach matki.

Słuchając tych naiwnych zwierzeń, pani Orliet przypomniała sobie własną młodość, to też wzruszonym i łagodnym głosem zaczęła mówić do córki, uzbrajając ją w męstwo i cierpliwość. Zresztą nie wiele rad potrzebowała jej udzielać, dziewicza dusza Anny tak była niepokalana jak śnieg, który na szczytach wysokich gór spoczywa. Dziewczę nieznało ani trwogi ani niepewności, kochała i wierzyła że jest kochaną, myśl jej nie sięgała dalej, żyła cała w chwili obecnej.

— Tylko nie daj mu poznać, że go tak bardzo kochasz,—dokończyła pani Orliet.

— A gdy mnie o to zapyta?—rzekła Anna podnosząc ku matce zapłonioną twarzyczkę i odgarniając włosy, które jej spadły na czoło.

O mądrości tego świata, o przezorności macierzyńskiej czemuż jesteś w obec głosu młodego serca rwącego się do życia, jak jaskółka, której już odrosły skrzydła do lotu.

Cóż na to odpowiedzieć! Czy radzić aby była zalotnie obłudną i udawała że nic nie rozumie?

Pani Orliet nie dałaby takiej rady córce.

— Staraj się, aby do tego nie przyszło—rzekła—a gdyby ci się zapytał... nie mów nic.

Nic nie odpowiedzieć, było to samo co wyznać swą miłość; lecz matce zdawało się, że swoim rozsądkiem potrafi odwlec tę chwilę.

Postanowiła rozmówić się z Lucyaniem, wybać czy dla niego ta miłość ma równie wielkie znaczenie jak dla Anusi; a gdyby nawet tak było, o małżeństwie nie mogło być jeszcze mowy, byli na to oboje zbyt młodzi. Lucyana mógłby odjechać na czas jakiś, a jeśli uczucie jest szczere, spotęgowałoby się jeszcze przez tę rozłąkę.

Myślała o tem wszystkiem w tej słodkiej chwili milczenia, która następuje zwykle po wylaniu dwóch serc kochających.

Po obiedzie, młode kobiety zeszły do małego saloniku, w którym zazwyczaj spędzały wieczory; każda z nich wzięła jakąś robotkę, lecz więcej ze zwyczaju, gdyż żadna z nich nie miała dziś ochoty do pracy. Gdy drzwi zamknęły się za lokajem, matka i córka spojrzwały na siebie z uśmiechem, gotowe rozpocząć na nowo przerwana pogadankę.

W tem dał się słyszeć dźwięk dzwonka i głos Lucyana ozwał się w przedpokoju. Pani Orliet radaby była oddalić córkę pod jakim pozorem, lecz było już zapóźno; pozostały więc obie w przecuciu czegoś nadzwyczajnego.

Młody człowiek wszedł szybko i posunął się do pani Orliet.

— Muszę pani podziękować—rzekł z gorącym uczuciem wdzięczności, które od razu przełamało lody światowych zwyczajów, a ujawszy ją w objęcia jak rodzoną matkę, ścisnął i całował serdecznie.

Pani Orliet nie opierała mu się, wzruszona tą świeżością uczuć, którą zachwyca tak ludzi starszych, może dlatego, iż sami jej doznać nie mogą.

Lucyana patrzył na nią wzrokiem pełnym wdzięczności, następnie zwrócił się do Anusi.

Stała zapłoniona, ze spuszczonei oczyma, jak posąg niewinności.

Pan Romanet 7, — Dodatek do Kuryera Codziennego.

— A ty nie mi nie mówisz?—zapytał zmieszany— nie jesteś zadowolniona?

— O przeciwniel — rzekła podnosząc na niego swoje piękne oczy, promieniejące wilgotnym blaskiem.

Wyczytał w tem spojrzeniu wszystko, co wyznała matce i jeszcze coś więcej, z czego sama nie umiałaby zdać sobie sprawy, a co człowiek ukochany pojął od razu.

— Annol—zawołał wyciągając do niej ramiona—ja cię uwielbiam!

Dziewczę nie ruszyło się z miejsca, Lucyan także nie śmiał się do niej posunąć i wyciągnięte dłonie splotył się jakby w błagalnej modlitwie.

— Ty jesteś wdziękiem i radością, życiem mojem i słońcem—rzekł ze czcią niemal, jak gdyby się zwracał do świętej. — Ty jesteś uosobieniem wszystkiego, co dobre i piękne na świecie, dawniej byłaś mi siostrą i najdroższą przyjaciółką, w przyszłości będziesz żoną ukochaną, uwielbianą... Nieprawdaż, że pani zezwolisz na nasz związek?— dodał zwracając się do pani Orliet ze złożonymi rękami.

— Nie wiem nic jeszcze—odrzekła. — Masz Lucyanie dziwny sposób przekonywania ludzi, nie dasz nikomu dojść do słowa. Przyznaj mój drogi, że postąpiłeś bardzo nie-roztropnie.

— Czuję to aż nadto dobrze— odparł Lucyan całując jej ręce z uniesieniem, — ale pani tyle uczyniłaś dla mnie, że nie mogłem powstrzymać się od wypowiedzenia tego co myślę. Anusi nie rzekłem ani słowa w tajemnicy, więc sądzę, że zasłużyłem na nazwę uczciwego człowieka.

— Raczej uczciwego dziecka—wtrąciła pani Orliet.

Lucyan spuścił oczy, nie miał żadnego tłumaczenia; chyba młodość mogła go potrosze usprawiedliwić. Anna dotychczas milcząca i nieruchoma, postąpiła krokiem ku niemu i rzekła swym dźwięcznym głosem:

— Nie smuć się, Lucyanie.

On spojrzął na nią z wdzięcznością; była już przy matce, która objawszy ją ramieniem pociągnęła na kozetkę.

— Bądźmy rozsądni—ozwała się pani Orliet po chwili. — Jesteś za młodym Lucyanie ażebyś się mógł żenić, znasz jednak o tyle życie, że wiesz jak niebezpiecznie jest wiązać się odległymi przyrzeczeniami. Czy dobrze zastanowiłeś się nad tem? Może to nie serce lecz głowa płonie u ciebie? Pomyśl moje dziecko, że na szalę losu stawiasz nie tylko swoje własne szczęście, ale także szczęście mego jedynego dziecięcia, mojej jedynej pociechy...

Tu brakło jej głosu. Lucyan upadł przed nią na kolana.

— Kochałem ją zawsze—rzekł z zapalem. — Znam o tyle życie, jak to pani przed chwilą rzekła, iż wiem, że

ona jedna może być dla mnie żoną i towarzyszką dożgonną. Jestem młody, to prawda, ale za to będziemy mieli więcej czasu do kochania.

Wspomnienie własnego szczęścia, które zagasiło tak szybko, sprowadziło lzy do oczu wdowy.

— Lecz dziś właśnie, gdy zaniechałeś zawodu, który mógł ci dać utrzymanie—rzekła uśmiechając się w pośród łez—dziś, gdy musisz poprzestać na pensyi, jaką ci ojciec wyznaczy, dziś chcesz się żenić...

— Nie przyszedłem z zamiarem oświadczyć — szepnął Lucyan zmieszany — słowa wyrwały mi się z ust bezwiednie.

Anna podniosła główkę wspartą na łonie matki i patrząc jej w oczy błagalnie rzekła:

— Och mameczko najdroższa, czyż nie jestem dość bogatą? czyż mój majątek nie starczy dla nas dwojga?

Pani Orliet nie umiała znaleźć na to żadnej odpowiedzi, uścisnęła tylko czule córkę i spojrzała na młodzieńca klęczącego ciągle u jej nog.

— Ojciec twój będzie przeciwny temu związkowi—rzekła.

Dała więc do zrozumienia, że ona ze swej strony przeszkód stawiać nie będzie, Lucyan pojął to, szepnął więc cicho: „Dziękuję.“

Wszyscy umilkli, zajęci jakimiś ważnemi myślami. Anna przytulona do matki, spoglądała to na Lucyana, to na matkę i nikt, nawet ona sama, nie zdołałby odmalować, jakie obrazy szczęścia snuły się przed oczami jej duszy.

— Wszystko to są jeszcze bardzo odległe rzeczy—ozwała się nakoniec pani Orliet.

— I dla czegoż to?—zapytał z gorącą prośbą w głosie Lucyan.

— Dla... tysiąca przyczyn, z których najważniejsza jest ta, że mężczyzna nie powinien się żenić mając dwadzieścia dwa lat zaledwie!

— Sądzisz pani, że będę lepszym w dwudziestym piątym roku mego życia?—zapytał.

— Lepszym nie, ale rozsądniejszym bezwarunkowo.

— Muszę więc przez trzy lata wycierpieć wszystkie męki czyścowe, aby się dostać do rajy?—rzekł. — I to pani tak litościwa zazwyczaj spychasz mnie w tę otchłań?

— Dużo by o tem trzeba mówić — odrzekła pani Orliet. — Pomówiemy o tem kiedy indziej.

— Pani podejmujesz się przekonać mego ojca?— spytał ucieszony Lucyan.

— Dla czegoż ja mam wam ułatwiać wszystko? To zbyt trudne zadanie: później mógłbyś mieć pretensję, że

się zanadto wami zajmuję. że zbyt wglądam w wasze postępowanie....

— Cóż znowu!—zawołali na raz oboje młodzi.

Ta jednomyślność rozśmieszyła ich serdecznie.

— Idź już do domu Lucyianie, dość już tych wzruszeń na dzisiaj — rzekła pani Orliet. — Resztę powiemy sobie jutro.

Lucyan choć niechętnie zabierał się do wyjścia i już ucałował rękę matki, gdy Anusia spojrzawszy na matkę i czytając w jej oczach nieme przyzwolenie, wyciągnęła sama do niego rączkę, Lucyan ucałował ją z taką czułością, z takim uszanowaniem, że pani Orliet uczuła się wzruszoną.

Gdy wychodził już na ganek, zwrócił raz jeszcze wejście w głąb pokoi na obraz jaki ujrzał, a który utkwił mu na zawsze w pamięci. W progu salonika stały obie kobiety; Anna z wdziękiem rozpieszczonego dziecięcia objęła rączkami szyję matki, dziękując jej za szczęście; matka z uśmiechem rozrzewnienia tuliła córkę do siebie.

Gdy drzwi się zamknęły i Lucyan został sam wśród śniegu i wichru, był tak rozpromieniony, tak szczęśliwy, że nawet ta noc burzliwa wydała mu się piękniejszą od najpiękniejszej nocy czerwcowej, a płateczki śniegu przylegające do szyb latarniowych, były w oczach jego świeższe od gwiazd błyszczących na niebie w noc letnią.

VI.

Gdy pan Romanet dowiedział się o postanowieniu syna, gniew jego nie miał granic.

— Jako—wołał w uniesieniu — panicz, który jeszcze długie lata nic nie będzie mógł zarobić, myśli się żenić? A z czegoż on żyć myśli? To śmiesznie, to po prostu nieuczciwie!

— Anna twierdzi, że jej majątek wystarczy dla dwojga — odrzekła z niewinną złośliwością pani Orliet, która znowu podjęła się trudnego poselstwa.

To już do reszty rozgniewało notaryusza. Jak można sobie było wyobrazić, aby on przyjął dla syna takie stanowisko! Żyć na łasce żony? za kogóż go brano? Czy dla tego, że jego rodzina nie miała tytułów, gorszą była od szlachty? O! nie bynajmniej, nazwisko jego od dziada pradziada nie skalane było niczem i on ma swoją dumę i upokorzyć się nie da nikomu!

— A więc porozumiejmy się — rzekła pani Orliet. — Anna dostanie piętnaście tysięcy franków rocznie, jako dochód od posagu. Co pan dajesz synowi?

— Nic zgoła! — zawołał Romanet rozgniewany, że o mało nie schwytano go w zasadzkę.

— To bardzo mało, ale ja uzupełnię to, co brakować będzie—odrzekła piękna jeszcze przeciwniczka.

— Ale ja wcale sobie nie życzę, aby się żenił,—odrzekł notaryusz.

— Później będziesz to pan sobie wyrzucał — odparła spokojnie pani Orliet.—Jeżeli go pan zniechęcisz do stanu małżeńskiego, rzuci się w wir kawalerskiego życia, a gdy raz w niem zasmakuje, ciężko go będzie oderwać. A wiesz pan dobrze, że w świecie artystycznym, w którym Lucyan zaczyna teraz bywać, obyczaje nie są zbyt surowe.

— Dla czegoż wybrał ten świat i te obyczaje? Wiesz pani dobrze, że to wbrew mojej woli,—zawołał nieszczęśliwy ojciec.

— To prawda, ale ponieważ zgodziłeś się na to, nawet z pewnym rodzajem dumy, że syn posiada talent....

— Ależ wtedy nie myślał o ożenieniu!

— Czy pan potępiasz tak jego wybór?

— Oóż za przypuszczenie! — zawołał Romanet zbity zupełnie z tropu tym ostatnim argumentem.

Po dwóch godzinach bezowocnej walki musiał się uznać zwyciężonym.

— Nie podobna jednak, aby te dwoje dzieciaków poobrało się teraz—dodał—wszyscy śmieliby się z nas.

— Nie teraz z pewnością: wiele, wiele później.

— To pierwsze rozsądne słowo, które pani wygłosiłaś dzisiaj—mruknął Romanet.

— Jesteś pan zbyt uprzejmy!—zawołała śmiejąc się pani Orliet.—Ale dajmy temu pokój. Gdy się pana pytałam w wigilią Bożego Narodzenia, co pan dasz Lucyanowi na kolendę, nie przypuszczałeś pan, że to będzie pozwolenie na ślub?

— I do tego z Anusią—dodał już prawie udobruchany notaryusz.—Ktoby to przypuścił, dziewczyna niedawno bawiła się lalką!

— No, no, nie bądź taki zachmurzony, mój przyjacielu; Anusia złęknie się twej groźnej miny i przestanie cię kochać!

— O tak źle nie będzie! — rzekł Romanet śmiejąc się wesoło.

Nazajutrz po tej rozmowie był to dzień Nowego Roku. Słońce jaśniało na niebie bez chmurki, śnieg spadły przed kilku dniami, godową szatą okrył pagórki i pola połyskujące w słońcu jak brylanty. Wyspa pokryta szronem wydawała się jak olbrzymie zwierciadło w ramach drzew i krzewów,

Lucyan, który szedł tamtędy aby złożyć życzenia pani Orliet, stanął zdumiony pięknnością tego zimowego krajobrazu.

— Jakież to piękne—zawołał z uniesieniem artysty.—Tak—dodał po chwili—natura jest wiecznie piękna; a ziemia, czy to otulona zimowym płaszczem, czy też ubarwiona wiosennymi kwiatami, i niebo mieniące się taką grą światła, będzie dla mnie zawsze niewyczerpanym źródłem natchnienia.

Oczy jego błędzące bez celu, spoczęły w tej chwili na tarasie pałacuku Orliet, który obłąny purpurowym blaskiem słońca zdawał się kąpać w morzu światła. Sztu-

ka i miłość, pomyślał, czy można marzyć o życiu lepszym, roskoszniejszym nad to, które się do mnie uśmiecha?

Zaczął iść szybko tam, gdzie wiedział, iż czekają na niego z utęsknieniem.

W salonie pari Orliet, do którego wszedł Lucyan, było dziś jeszcze piękniej niż zazwyczaj. Obraz przysłany z rana, umieszczony zcstał w jak najkorzystniejszym świetle, dwa bukiety białego bzu, także dar Lucyana, miłą wonią napełniały powietrze, każąc zapomnieć o zimie, Anna zaś ubrana w białą kaszmirową suknię obszytą puszką i białym, wyglądała jak biała lilia wyrosła nad brzegiem strumienia.

Oczy Lucyana z głębokim wzruszeniem, z niewystowionem uczuciem radości spoczęły na ukochanej, a przytem i jego smak artystyczny doznał miłego zadowolenia na widok tyłu pięknych rzeczy, które służyły niejako za tło i ramy uwytłaczające wdzięki Anny. Pomyślał, że bogactwo jest bardzo miłą rzeczą, dla tego kto je rozumnie użyć potrafi.

Lecz myśl ta trwała tylko okamgnienie, gdyż Anna zbliżyła się do niego, promieniejąca, uśmiechnięta, mówiąc z pełną czułości prostotą:

— Życzę ci szczęścia, mój panie narzeczony!

On pocałował gładkie jej czoło, i od tej chwili nie myślał o niczem więcej, jak tylko o niej.

— Kiedyż będziemy zupełnie szczęśliwi? zapytał pani Orliet, która uściśnęła go po macierzyńsku.

— Są tacy, co sobie życzą aby to było jak najpóźniej—odrzekła—ale ja nie podzielam tego zdania.

— Wiem kto tak mówi—rozmiał się Lucyan—to mój ojciec. Udaje, że się gniewa trochę na mnie, ale ja go znam dobrze i nic się nie odzywam, bo wiem, że popsułbym wszystko. Ale ty moja dobrodziejko, powiedz, kiedy się pobierzemy?

— Jak nam się sprzykrzy robić wam na złość — odrzekła pani Orliet śmiejąc się.

i przewodnikiem w tych niedościgniętych wyżynach sztuki; zapominał wtedy chętnie o wszystkim, co nie było sztuką i pracował z zapałem.

Z natury namiętny i oddający się duszą całą temu, co go zajmowało, widział przed sobą tylko wzory, myślał tylko o linii, bez znajomości której, sztuka pozostać musi zawsze niedoścignioną zagadką.

Gdy po pracy zmęczony fizycznie i moralnie, z zawrotem głowy, wychodził na ulicę, musiał iść chwil kilka wolno odetchnąć świeżem powietrzem, aby zdać sobie sprawę dokąd ma się kierować. W myśli płątały mu się pomysły do obrazów i wskazówki nauczyciela.... Teraźniejszość obleczona była mgłą, z pośród której wylaniały się: to jakieś zdanie, którego nie chciał zapomnieć. to linia, to jakaś nowa kombinacja kolorów....

Gdy jednak dochodził do stacyi kolei żelaznej Saint-Lazare, jakby za naciśnięciem elektrycznej sprężynki znikało mu z przed oczu to wszystko, co go przed chwilą tak żywo zajmowało, a natomiast zjawiał się uroczy obraz Anusi i nie opuszczał go już ani na minutę.

Żył w tem zaczarowanym kole miłości i sztuki, szczęśliwy i zadowolony po nad wszelki wyraz.

Miłość tych dwojga choć tak niedawno rozwinięta, pełną już była wspomnień, i Lucyan jadąc koleją z Paryża do Mantes, żył temi wspomnieniami, rozpamiętywając jakim wzrokiem Anna dnia tego a tego spoglądała na niego, jakie słodkie słówka szeptali sobie wzajemnie. Wszystko, nawet suknia Anny, nawet ruch jej każdy, z drobiazgową dokładnością przesuwano się przed wzrokiem jego wyobraźni.

Myśli te skracaly i umilały mu drogę. Po obiedzie spożytym z rodzicami, gdy ojciec zabierał się do przeglądania dzienników, a matka do roboty pończoch i skarpetek dla biednych, Lucyan szedł do swej narzeczonej i spędzał z nią kilka godzin.

Nadeszła wiosna. Po zimnym marcu, nastal ciepły i pogodny kwiecień.

Ogrody, doliny i wzgórza okryły się zielenią. Nad brzegami rzek i przy drogach rosnące jabłonie uginały się pod ciężarem blado-różowych kwiatków. Ciepłe, rokoszne słońce budziło do życia przyrodę, cisza i spokój panowały do koła; czasami tylko ptaszek spłoszony z gałęzi otrząsał deszcz białych kwiatków na gęste murawy upstrzone żółtymi pierwiosnkami i znów spokój powracał w tem królestwie barw i woni.

Lucyana ogarnęła dziwna jakaś gorączka, na widok tej natury budzącej się ze snu zimowego; zdawało mu się, że na te cuda patrzy po raz pierwszy w życiu. Nie mówiąc

Pan Romanet 9. — Dodatek do Kurjera Gaziennego.

nie nikomu, gdyż należał do tych ludzi co nie lubią dużo mówić o sobie, rozpiął duże płótno w sadzie należącym do jego ojca, a znajdującym się po za obrębem miasta, i zaczął malować z takim zapałem, że w przeciągu tygodnia wykończył piękne studyum zachwycające prawdą i kolorytem.

Dopóki pracował, wszystko wydawało mu się łatwe, gdy skończył, przeraził się swoją śmiałością. Zdawało mu się, że utwór ten nie ma żadnej wartości, widział w nim same błędy. Obawiał się pokazać obraz ojcu, prosił więc Anusi z matką aby zobaczyły i oceniły jego dzieło.

Powietrze było jeszcze cieplejszem, niebo bardziej błękitnem niż zazwyczaj, gdy pani Orliet z córką weszły przez furtkę ogrodową.

Ostonięta parasolką, Anna szła zwolna oddychając wonią kwiatów. Słońce przedzierające się przez gałęzie drzew, tworzyło fantastyczne desenie na jasnej sukience dziewczyny i jakby czarodziejską jakąś tkanką otulało jej wiotką postać.

Anna doznawała niepojętego uczucia bojaźni; obawiała się wszystkiego: woni, która przenikając jej zmysły usposabiała ją do błogiej jakiejś tęsknoty, wyciskającej łzy z jej oczu; obawiała się ujrzeć obraz Lucyana, który wymarzyła sobie tak pięknym... obawiała się wreszcie, aby matka i narzeczony nie dostrzegli, co się z nią dzieje.— Zdawało jej się, że niczyje, nawet matczyne oko nie miało prawa czytać w jej wzruszonej twarzy, żaden głos przewracać uroczystego skupienia jej ducha.... A może miało ją trwożne przecucie tego czego miała doznać; jakiegoś wrażenia, które było dla niej nieznanem, tajemniczem...

Wysokie trawy uginały się pod jej stopami i powstawały gdy przeszła, tworząc szelest, który połączony z brzękiem owadów dziwną harmonią napelniał powietrze.

Gdy matka się zatrzymała i ona stanęła także. lecz nie śmiała podnieść oczu. Lucyan stał obok spokojny na pozór. lecz w głębi duszy więcej wzruszony od Anusi, która z pod spuszczonej powiek widziała lekkie nerwowe drżenie rąk narzeczonego; nareszcie dziewczyna odważyła się spojrzeć.

Lucyan odmalował ten właśnie zakątek ogrodu, w którym znajdowali się obecnie, lecz z taką prawdą, z takim życiem, wlał w to płótno najlepszą cząstkę własnego istnienia i utworzył całość przepyszną.

Tylko człowiek młody, zakochany i szczęśliwy mógł odwzorować ten zakątek ziemi z taką siłą, z taką porywającą świeżością barw. Znać, że ten człowiek nie zaznał nigdy cierpienia, a z życia czerpał najczystsze rokosze,

gdy mógł odtworzyć tak wiernie, tak porywająco potęgę budzącej się do życia przyrody,

— Szczęśliwe dziecko! — szepnęła swym dźwięcznym głosem pani Orliet, — wszystko ci się udaje. Wiesz, że stworzyłeś rzecz przepyszną, pełną prostoty i wspaniałej zarazem potęgi... Urudziłeś się pod szczęśliwą gwiazdą... Wieszcza musiała być twoją matką chrzestną...

— Znajdujesz pani, że ten obraz dosyć jest dobry? — pytał stłumionym głosem Lucyan.

— Jest tak piękny, że obawiam się, aby to już nie był kres twego talentu!

— O ja utworzę jeszcze coś piękniejszego! — zawołał naiwnie Lucyan i zwrócił się do Anny.

Dziewczę bezwiednie upuściło parasolkę i ze złożonymi rękami, z lekkim uśmiechem rozchylającym koralowe usteczka, z promieniejącymi oczyma, wpatrzyło się w obraz narzeczonego.

Lucyan przysunął się do niej i wziął ją pod rękę.

— Cóż, podoba ci się? — zapytał łagodnie.

Za całą odpowiedź skinęła twierdząco głową, czuła że jej brak głosu.

Pani Orliet zrobiła mu kilka uwag wykazując błędy, nie zaprzeczył jej wcale. Zadowolenie artysty, piękność przyrody, młodość i miłość odurzyły go jakoś. Zdało mu się, że Anna jest już jego żoną, że pójdzie z nim, gdzie on tylko zechce i że świat cały do niego należy. Urocze marzenie! szkoda że tak krótkotrwałe.

— Chodźmy — szepnął cicho do ucha narzeczonej.

Anna spojrzała na niego zdziwiona, a twarz jej pokryła się szkarłatnym rumieńcem.

— Cóż tam mówicie? — spytała pani Orliet, a nie otrzymując odpowiedzi, spojrzała na nich. Dość było jednego rzutu oka aby się przekonać jak Lucyan był dziwnie zmieszany. Biedna matka zatrwożyła się także, sama nie wiedząc czego i zaproponowała przechadzkę po ogrodzie. — Anna wysunęła rękę z pod ramienia narzeczonego i zaczęła iść koło matki, lecz w oczach jej się tak ćmiło, że nic prawie nie widziała. Dziwne, nieznanne jakieś uczucie wkradło się do jej duszy, myśli bezładnie plątały się w gowie.

Szli tak w milczeniu, że nareszcie zatrzymali się w cieniu drzew rozłożystych.

Pani Orliet patrzyła przez chwilę z zachwytem na drzewa obsypane białem kwieciem, na niebo bez chmurki, później skierowała wzrok na córkę.

Anna zapłoniona jak kwiat jabłoni, spuściła oczy pod namiętym wzrokiem narzeczonego, który patrzył w nią

jak w uroczym zjawisku. W tej chwili żyli tylko dla siebie, zapominając o świecie całym.

Jedno poruszenie pani Orliet zbudziło Lucyana z tego marzenia na jawie.

— Daj mi już ją za żonę—przemówił błagalnie

— Pomówimy o tem później; teraz nie czas i miejsce po temu—odrzekła z pewną oschłością w głosie. — Wracajmy do obrazu.

Czar, pod którego wpływem zostawali młodzi, prysnął nagle. Rozmowa nie kleiła się jakoś. Zatrzymawszy się chwilę przed obrazem, pani Orliet śpieszyła do domu. Lucyana chciał panie odprowadzić, lecz matka sprzeciwiła się temu, pożegnał się więc z niemi u furty ogrodowej i ściagał je wzrokiem, dopóki nie zniknęły mu z oczu.

Pani Orliet była bardzo niezadowolona. Dotychczas życie jej upływało tak spokojnie. Po pierwszym wzruszeniu jakiego doznała na wiadomość o miłości córki, spokój powrócił znowu do jej duszy; widziała, że chociaż córka oddała najlepszą część serca narzeczonemu, żyła jednak w takim idealnym świecie, że żadna myśl ziemską nie mogła zmącić pogody jej duszy. Lecz dziś namiętność Lucyana zburzyła ten niebiański spokój; wiosna i młodość wywarły wpływ na sercu młodzieńca i uczucie gorącą falą wylało się na zewnątrz. Odtąd Anna nie zazna już słodczy spokojnej miłości.

Jako matka, pani Orliet rozgniewała się na Lucyana, jako kobieta usprawiedliwiała go. Cóż mogła wyrzucić Lucyanowi? To że ulegał prawom natury silniejszym od jego woli? Oboje kochali się szczerze, nie lepiejże więc było dozwolnić im się pobrać? Najwięcej zawinili ci, którzy sądzili, że powstrzymają wylew młodocianych uczuć. Były to tak próżne usiłowania jak chęć zatrzymania kamienia staczającego się po śliskiej pochyłości.

Byli oboje za młodzi, ale na to nie było lekarstwa. Gdyby nawet odwlec małżeństwo na kilka lub kilkanaście miesięcy, czyż to zmieni o wiele położenie rzeczy? czyż oboje staną się rozsądniejsi w tak krótkim przeciągu czasu? A jeśli Lucyana ulegając porywom młodości i uczucia zapomni się? Jeśli nie przestając być uczciwym człowiekiem, zapomni choć na chwilę o szacunku, jaki winien tej co ma zostać jego żoną? Kogóż wtedy należałoby za to potępić? Nie tyle jego, ile tych co przez wyrafinowaną mądrość światową popchnęli go niejako do tego postępku.

Ze wszystkich myśli najboleśniejszą dla pani Orliet była ta, że córka jej choćby tylko myślą zniżyć się mogła z tej wyniosłości moralnej, do jakiej ją doprowadziła. Jako żona i matka, Anna będzie zawsze kobietą godną szacunku. Młoda dziewczyna jednak rumieniąca się pod

ukradkowemi pocałunkami narzeczonego, przestaje być wcieleniem niewinności i czystości, zachwycającej nie tylko serce matki.

Jeżeli zaś zgani Lucyana za zbyt gwałtowne uniesienie miłosne, tenże zacznie je wypowiadać dziewczęciu w tajemnicy; z łatwością znajdzie do tego sposobność! To ostatnie przypuszczenie wpłynęło na postanowienie pani Orliet.

— Dłużej nie podobna zwlekać — powiedziała sobie z westchnieniem.

Lecz nim zaczęła mówić spojrzła uważnie na córkę.

Młoda dziewczyna szła milcząca i rozmarzona. Droga którą postępowały zwolna kobiety, ciągnęła się wśród ogrodów; słońce drżącymi promieniami przedzierało się przez gałęzie drzew, zwieszających się nad drogą, kwiaty rostaczały w powietrzu woń miłą. Nawet skromne polne kwiateczki wydawały właściwy im delikatny zapach, jak ów wdzięk niektórych kobiet, co z pierwszego wejrzenia nie zdają się ładne wcale, a bliżej poznane, pociągają serca i oczy.

Anna błędziła wzrokiem po okolicy, jakby ją widziała pierwszy raz w życiu. Czuliła się dziwnie zmieszaną i niespokojną, wyczytała bowiem we wzroku kochanka obietnicę takiej upajającej rozkoszy, że rozumiała, iż miłość jest czemś więcej niż tklivem przywiązaniem. Myślała o tem z niewinną prostotą istoty, która z niczem się nigdy nie ukrywa... Wychowaną była w ten sposób, że matką nie zabraniała jej niczego, bo dziecko nigdy źle nie robiło, skądże teraz mogła wierzyć w złe chęci ludzkie? Jednak drżała wzruszona do głębi duszy, a twarz jej miała zardzewiałym uśmiechnięty i trwożny wyraz.

— O czem myślisz?—spytała ją matka łagodnym głosem; aby ją nie zbyt gwałtownie wyrwać z zamyślenia.

Młoda dziewczyna uśmiechnęła się i zarumieniła, lecz nie podniosła wzrok śmiało na matkę.

— Myślałam o tem młoteczko, czy ty będąc narzeczoną mego ojca, byłaś równie szczęśliwą jak ja w tej chwili. Ale to niepodobna, bo ja jestem szczęśliwą nad wszelki wyraz.

— Być szczęśliwszą od ciebie... to trudno w istocie, — odrzekła pani Orliet. — Byłam równie szczęśliwą, dzieckiem moje, lecz trochę w odmienny sposób; gdyż ojciec twój był starszy, a zatem i rozsądniejszy od Lucyana, był nie tylko moim mężem ale i najlepszym przyjacielem zarazem. Jego zdanie, było w moich oczach nieodwołalnym wyrokiem. Wy zaś, wyglądacie jak dwoje rozbawionych dzieci...

Anna rozśmiała się serdecznie.
Pan Romanet 10, — Dodatek do Kuryera Codziennego.]

— Nie takie z nas dzieci mateczko—odrzekła — zobaczysz jak będziemy rozsądni. Ja już teraz nabrełam dość powagi w obejściu, i Lucyan także.

Umilkła, gdyż ta właśnie powaga Lucyana mięszała ją bardziej niż dawniej jego roztrzepanie,

— Gdybyście się pobrali, nie umiałabyś z pewnością spełniać obowiązków pani domu, — dodała z uśmiechem pani Orliet.

— O mateczko, potrafię być gosponią co się zowie. Ale czy zezwalasz na to abyśmy się wkrótce pobrali?

Mówiąc te słowa spojrzała na matkę wzrokiem jasnym i pogodnym, bez rumieńca fałszywego wstydu na licu.

— Czy pragniesz tego? — spytała ją z równą szczerością matka.

Anna nie kłamała nigdy.

— Tak i nie—odrzekła po chwili namysłu.—Gdy myślę o Lucyanie... pragnę z duszy aby jak najprędzej nadszedł czas, w którym nie będę się już z nim rozłączać... gdy jednak wspomnę sobie, że ty mateczko zostaniesz sama, że żyć nie będę tuż obok ciebie, lzy mi się cisną do oczu i chcę oddalić tę chwilę!

Droga była pustą; matka i córka rzuciły się sobie w objęcia, po chwili śmiejąc się z własnego wzruszenia, podjęły z ziemi parasolki i poszły dalej.

Biedne te matki! Dziecię póty tylko wyłącznie do nich należy, dopóki nie ujrzy światła dziennego. Gdy się urodzi i czerpie życie z ich łona, jest jeszcze cząstką ich samych, ale gdy je trzeba odłączyć od piersi, cóż to za okrutna boleść dla matki. Od tej bowiem chwili, dziecię rzecz można odrywa się od matki. Ta niedołęzna mała istotka, rozwijająca się z dniem każdym, staje się bezwiednie samolubną, a matka cierpi nad tą rozłąką! Cóż dopiero gdy ptaszyna uleci z gniazdka, ile wtedy łez bolesnych spłynie po licach matki.

Ileż to razy, dziecię, które tak rwało się do życia i świata, wraca po latach wielu do rodzicielskiego domu, złamane walką z przeciwnościami, zgorzkniałe od doznanych zawodów! O wtedy! jedna tylko matka pocieszyć je może. Bo chociaż kobieta, równie żywa jak mężczyzna, odczuwa cierpienia, ale życie nauczyło ją cierpliwości, zaparcia siebie i bezinteresownej miłości dla istoty, którą własnym wykarmiła mlekiem, wychowała z taką troskliwością, a którą później naucza tej wielkiej mądrości życia: znoszenia cierpień z wytrwałością i bez szemrania.

Dla tej samej przyczyny babki są zwykle tak czułe i wyrozumiałe.

Jeszcze boleśniejszą chwilą w życiu matki nad tę, gdy odłącza dziecię od piersi lub oddaje je najętej mamce, jest

dzień ów pamiętny, gdy córka idąc za męża opuszcza dom rodzicielski. Biedną matkę trwoży nie tylko rozłączenie, ale to nowe życie, które dziecię jej ma rozpocząć, ta niewidzialna otchłań, do której dąży to niewinne, uśmiechnięte dziewczę.

Nieraz widzieliście może młodą uśmiechniętą kobietę, która chcąc raz jeszcze zobaczyć ukochanych, wychyla główkę z okna wagonu. Sądzicie może, że ona zdążyła do jakiej krainy pełnej słońca i kwiatów? O! nie, ona bieży z ufnością w przyszłość; ona rozpoczyna nowe życie, w którym nie wie jakie czekają ją radości i smutki, nie przeczuwa, że wkrótce spotkać ją może cierpienie, choroba lub śmierć przedwczesna. Ona nie wie tego, ale gdyby nawet wiedziała, niemniej wyrzekłaby się dla ukochanego rodziny; nazwiska, jak to uczyniła teraz. Lecz serce matki wszystko to odczuwa, a jakże boleje straszliwie...

Pani Orliet idąc obok córki tą samotną drogą, wśród światła, barw i woni tego pięknego kwietniowego dnia, przeszła myślą wszystkie te bolesne udręczenia. Serce jej przepelnione było bólem, z oczu jednak nie spłynęła ani jedna łza. Trzymała wzrok utkwiony w ziemię, aby widokiem swej boleści nie zmartwić niewinnego dziecka, które bezwiednie stało się powodem tak ciężkiego zmartwienia. Umyślnie wracała jak najdłuższą drogą do domu, aby mieć czas ochłonąć z bolesnego wrażenia, a gdy już przytłumiła wewnętrzną walkę, gdy czuła, że potrafi zapanować nad sobą, spojrzała na córkę z dobrotliwym uśmiechem.

Ofiara została spełnioną. Pani Orliet postanowiła nie sprzeciwiać się dłużej zamążpójściu córki.

Gdy Lucynn przyszedł ją błagać o przyspieszenie ślubu, zdziwił się nie znalazłszy u niej najmniejszego oporu; gorzej było z własnym ojcem, który ułożył sobie, że pierwszy syn powinien dostać jakąś nagrodę na tegorocznej wystawie obrazów, a dopiero następnie myśleć o małżeństwie.

Napróżno Lucyan i pani Orliet przedstawiali mu, że jako początkujący malarz nie może nawet marzyć o nagrodzie w tym roku; pan Romanet upierał się przy swoim zdaniu.

Nareszcie gdy pani Orliet w zaufaniu powiedziała mu główne, rządzące nią pobudki, pan Romanet przychylił się do jej żądania i złożył broń wreszcie po dwutygodniowych codziennych utarczkach. Postanowiono aby ślub odbył się w pierwszych dniach czerwca.

— Jednak to bardzo źle opuszczać tak mamę! — pomyślała Anusia, a łzy zwilżyły jej oczy.

Oparła się o poręcz balkonu i płakała chwil kilka. Były to łzy słodkie, które przyniosły ulgę jej zasmuconej duszyczce. Otarłszy oczy wrzuciła na siebie jakiś poranny ubiór i powróciła do okna, gdyż piękność poranku nieprzepartym wabiła ją urokiem. Było jeszcze bardzo rano i wszyscy w całym domu spali snem głębokim; zegar na kościele Najświętszej Panny wybił czwartą godzinę i wzrok Anny skierował się w tamtą stronę. Wysmukłe wieżyczki kościelne oblane różowym światłem wschodzącego słońca, rysowały się wyraźnie na jasnym tle nieba. Jaskółki uwijały się w powietrzu wesoło, najłżejszy wietrzyk nie poruszał gałęziami drzew w ogrodzie... Anusia przypomniała sobie ów sad pełen jabłoni, w którym Lucyan pokazywał im swój obraz i gorący rumieniec oblał jej twarzyczkę. Dziś Lucyan zabierze ją już z sobą i powie jej wszystko czego dotychczas domyślała się tylko, co czytała w jego wymownych oczach, tak wymownych, że nieraz młodzieniec spuszczał wzrok aby zbyt wiele nie powiedzieć. Teraz on ją zabierze i ona nie opuści go aż do śmierci!

Śmierć straszne słowo!... Ale ona nie przeżyłaby straty tego przyjaciela lat dziecinnych, tego kochanka młodości!... Jeżeli on umrze, ona umrze także... Chyba żeby miała dzieci, dla których musiałaby żyć; jak to jej matka uczyniła dla niej... Tak, z wyjątkiem śmierci, która zagrażać im mogła, Annie zdawało się, że jest wolna od wszystkich cierpień. Życie otwierało się przed nią jak brama tryumfalna. Dziś pójdzie do ołtarza z mirtowym, dziewiczym wiankiem u zwoła...

Powietrze było tak łagodne, niebo tak błękitne, a przyszłość wydawała się jednym pasmem rokoszy w oczach tej rozkochanej istoty. Wzruszona, upojona szczęściem, ukryła twarz w dłoniach i zapłakała.

Czyż mogą być łzy słodsze nad te, które płyną z oczu młodziutkiej dziewczyny w dniu jej ślubu?

Gdy podniosła głowę aby raz jeszcze nacieszyć się widokiem tych miejsc ukochanych, które były jakby częścią jej samej, dostrzegła między bluszczami pnąciami się po kracie ogrodowej od strony drogi, przytuloną jakąś postać ludzką.

Zawstydzona, że ktoś mógł ją widzieć dnia tego, o tej godzinie i podpatrzeć rokoszną tajemnicę jej łez, cofnęła się szybko. Tymczasem człowiek ukryty dotąd między bluszczami przeszedł na drugą stronę drogi i w owym nieznanym poznała Lucyana.

Pan Romanet 11. — *Donata do Kurjera Codziennego.*

VIII.

Czas upływał narzeczonym w szczęściu i rokoszy. Nareszcie zaświtał ranek upragnionego dnia ślubu.

Anna zbudziła się o wschodzie słońca z dziwnym uczuciem nieokreślonej radości i obawy. Bośo wyskoczyła z łóżka i otworzyła okno na rozcięż. Chłód poranku otrzewił ją z na pół jeszcze sennego marzenia, a śpiew ptasząt przywołał do rzeczywistości.

— To dziś dzień mojego ślubu, — rzekła sobie opierając ręce na balustradzie małego balkoniku.

Dziś! jakże dalekiem było od niej wczora! Zdawało jej się, że od chwili, w której matka pocałowała ją na dobranoc, upłynęło przynajmniej kilka miesięcy; a to było zaledwie kilka godzin; a jeszcze za jakie parę godzin Anusia Orliet zostanie młodą panią Romanet. Uśmiechnęła się na tę myśl rokosznie, a w tej chwili wyobraźnia przedstawiła jej matkę Lucyana w okularach i z pończoszką w ręku.

— I ja kiedyś taką będę — dodała sobie w duchu z dziecinną prawie wesołością.

Okno pokoju Anny wychodziło na południe, o tej więc porze panował tu miły chłód, a kwiaty oblane rosą roztaczały dokoła czarujący zapach. Wschodzące słońce ozłacało zaledwie swemi promieniami wierzchołki wyniosłych topoli, a drzewa pomarańczowe zdobiące taras, obasypane w tej porze białym kwieciem, wydawały się Anusi jednym wielkim ślubnym bukietem. Młoda dziewczyna przez chwilę wpatrywała się z zachwytem w ten ogród tak drogi jej sercu i oczom.

Była tu tak szczęśliwą, że już o czystszej i doskonalszym szczęściu marzyć nie mogła.

Ale matka jej pozostanie tu samą... jakże wielkim i pustym wyda jej się ten dom,...

On także nie spał tej nocy. Roskoszne marzenia nie dozwalały mu zmrzyć oka, jak tylko więc pierwszy brzask jutrzienki zajaśniał na niebie, wyszedł z domu aby odechnąć świeżem powietrzem czerwcowego ranka. Z godzinę błąkał się bez celu nad brzegiem Sekwany, deptając zroszone trawy. Nareszcie zawrócił zwolna ku miastu, myśląc z nieopisaną błogością, że dziś spełnią się najgorętsze jego marzenia.

Gdy przechodził koło pałacyku pani Orliet, uwagę jego zwróciło otwarte okno w pokoju narzeczonej. Przy stanął; a ujrawszy Annę w oknie nie miał siły odejść; myślał o tem tylko, że nim wieczór nadejdzie, żadne kraty dzielić go już nie będą od ukochanej.

Teraz spoglądali ku sobie z uśmiechem nieporównanego szczęścia.

Nagle Lucyan wdrapał się przez kratę do ogrodu i pobiegł pędem strzały do tarasu, a zerwawszy kilka kwitnących gałązek pomarańczy, związał je długą trawką i eisnął bukietem tak zręcznie na balkon, że Anna chwyciła go w locie.

— Tyś moją na wieki! — rzekł przytłumionym głosem, przesyłając jej ręką pocałunki.

Ona przycisnęła do ust dziewicze kwiaty.

Lucyan tymczasem przedostał się znów przez kratę i stanął na ulicy, wpatrując się w drogą postać.

Śłońce wzbijało się coraz wyżej, dzwonek kościelny wzywał wiernych na modlitwę...

Lucyan uciekł, bo czuł, że gdyby pozostał jeszcze chwilę, nie miałby siły stąd się już oddalić.

Anna ścigała go wzrokiem, dopóki nie znikł jej z oczu, poczem weszła do pokoju, nie chcąc aby jakieś zewnętrzne wrażenie zaćmiło jej obraz ukochanego człowieka, któremu pragnęła poświęcić życie.

Wkrótce służba domu zaczęła się ruszać ze snu; niezadługo i pani Orliet przyszła po raz ostatni ucałować córkę na dzień dobry i zaczęła ubierać ją zwolna, bez pomocy panny służącej w ubior ślubny. Wiązanka pomarańczowego kwiecica, którą Lucyan rzucił przez okno, leżała dotąd na stole, lecz zanim matka mogła ją spostrzedz, Anna nie zdając sobie sprawy z tego co czyni, schowała szybko kwiaty do szkatułki z klejnotami, od której klucz nosiła ciągle przy sobie. Była to pierwsza jej tajemnica, dotąd matka była najpierwszą jej powiernicą, nie kryła się przed nią z niczem, lecz od owej krótkiej chwili, w której widziała Lucyana pod oknem, zdawało jej się, że już należy do niego i że nikomu prócz niego zwierzać się ze swych myśli nie powinna.

Godziny płynęły, dla jednych za wolno, dla drugich zbyt prędko, aż nareszcie chwila ślubu nadeszła. Ceremonia odbyła się w kościele Najświętszej Panny, a oboje — tni widzowie zabawiali się jak zwykle przyganianiem tego lub owego; podług nich ślubna suknia panny młodej była za kosztowna, a pani Orliet ubrana znów była zbyt skromnie. Przytem do czego to było podobne, naśladować zwyczaj arystokratyczne i dawać na angielski sposób tylko śniadanie, zamiast wieczornej zabawy. Wieczorem państwo młodzi mieli wyjechać w podróż poślubną.

— Oddawna nie widziano tak skromnego wesela! — mówiły kiwając głowami zgorzone panie.

Szczęściem, że głównie interesowane osoby nie zwracały uwagi na ludzką gadaninę. Matka Lucyana zajęta była tylko państwem młodem; ojciec zaś tak był dumny z ożenienia syna, jakby to był fakt ważny dla całego narodu.

Pani Orliet zapanowała nad swem wzruszeniem, aby z właściwym sobie wdziękiem spełniać obowiązki gospodyni domu. Anna zaś i Lucyan nie wiedzieli dobrze czy to sen czy jawa? lecz że sen był uroczy, nie pragnęli się z niego przebudzić.

Nareszcie gdy zaproszeni goście rozeszli się po śniadaniu, państwo młodzi zmieniwszy strój godowy na zwykły ubiór podróży, po pożegnaniu i błogosławieństwie wдали się na pociąg kolei żelaznej idący do Rouen.

Po chwilowem zamieszaniu, uczucie dziwnej pustki ogarnęło pozostałych; w wielkiej sali jadalnej państwa Romanet słychać tylko było jednostajny dźwięk zegara.

— Otóż i pojechali, a my pozostaliśmy sami! — ozwała się pani Romanet ocierając zwilżone łzami oczy.

— Oni się tam nie smucą w tej chwili — dodał na wpół żartobliwie pan Romanet.

— Oby tylko byli szczęśliwi! — pomyślała pani Orliet, która niemniej wzruszona nie wylała jednak przy pożegnaniu ani jednej łzy.

— Dzięki Bogu nie zbywa im na niczem — zaczęła znów matka Lucyana. — Ale są tak młodzi! żeby tylko nie popełnili jakiej niedorzeczności.

— Nie pozwolimy im na to — dodał ojciec. — Zresztą o jakim głupstwie myślisz? Może aby nie wydali zbyt wiele pieniędzy? To się to jakoś temu zaradzi!

— Gdyby Lucyan znał więcej świat! Ale ja się zawsze tak o niego obawiałam..., a teraz może być narażony na tysiące przykrości.

— Trzeba było wcześniej o tem pomyśleć. — rzekł z powagą ojciec; teraz gdy już się ożenił i rozpoczął nowe życie, podobny jest do okrętu, który wypłynął na pełne morze i nam patrzącym z brzegu nie pozostaje nic więcej jak tylko życzyć im szczęśliwej podróży.

— Szczęśliwej podróży! — wyrzekły jednocześnie obie matki z westchnieniem.

Anna miała jeszcze o tyle ułatwienie zadania, że Jalbrun był bardzo miły w towarzyskich stosunkach. Stano-
wił on zupełną sprzecznym z Lucyanem, był wysoki i sil-
nie zbudowany, a jego ciemne włosy i śniada cera odpo-
dy tam wstrząsanie przy białym blond zarostku i świeżej
twary przyjaźni. Przysięm Lucyan był piękny i mę-
czym w całym tego słowa znaczeniu, a Jalbrun zupełnie
przeciwnie, ale obaj się jakoś dobrze umieli dogadywać i wy-
raz szlachetności malujący się w spojrzeniu, zniewalały mu
serca wszystkich. Starszy o lat kilka od Lucjana, on to
jedynie zachcił go do małżeństwa.

IX,

Jako? nie wiecie państwo, że świat elegancki bywa w piątek w Hipodromie, a w sobotę w cyrku? — zapytał z udanem zdziwieniem Jalbrun.

— Nie wiedzieliśmy o tem zupełnie! — odrzekła Anna śmiejąc się serdecznie.

— Ależ to wstyd Lucyanie, że ty w tym wieku nie wiesz dokąd zaprowadzić żonę, gdy wam fantazyja przyjdzie rozerwać się trochę.

Lucyan przygryzł wąsa, a na piękną twarz jego wystąpił wyraz niechęci.

— My błakamy się tak po Paryżu, jak dwoje dzieci porzuconych w wielkim lesie — odparła młoda kobieta; — i gdyby nie jaki poczciwy przechodzień, który ulituje się nad nami i wskaże nam drogę, przyszłoby nam może u- mierać w samotności, jak owym ptaszkom w legendzie angielskiej.

Wszyscy rozśmiali się wesoło. Rozmowa miała miej- sce w jadalnej sali młodych małżonków.

Pokój ten był gustownie umeblowany, zdobił go pię- kny rzeźbiony kredens napełniony starożytnymi srebrami, z ciężkiej materyi franki zwieszały się u drzwi i okien, a wszystko to było darem pani Orliet.

Anna dosyć lubiła Jalbruna, który był najszczerzym przyjacielem jej męża.

W ogóle młode żony bywają bardzo uprzejme dla przyjaciół męża; rządzi niemi niewinna chęć podobania się, którą bynajmniej pod nazwą zalotności podciągnąć nie można. Przy tem ciekawe są szczegóły o przeszłym życiu męża, a gdy się przekonają, że ten mąż, który dla nich jest zawsze bożyszczem, i względem innych był dobrym, szlachetnym i wyrozumiałym, sprawia im to niesłychaną przyjemność.

Anna miała jeszcze o tyle ułatwione zadanie, że Jalbrun był bardzo miły w towarzyskich stosunkach. Stanowił on zupełną sprzeczność z Lucyanem, był wysoki i silnie zbudowany, a jego czarne włosy i śniada cera odbijały tem wyraźniej przy bujnym blond zarostcie i świeżej twarzy przyjaciela. Przytem Lucyan był pięknym mężczyzną w całym tego słowa znaczeniu, a Jalbrun zupełnie brzydki, ale oboje jego pełne uprzejmej elegancyi i wyraz szlachetności malujące się w spojrzeniu, zniewalały mu serca wszystkich. Starszy o lat kilka od Lucyana, on to głównie zachęcił go do malarstwa,

Jalbrun był z powołania artystą muzykiem, miał talent i uprawiał go z upodobaniem. Lecz i inne gałęzie sztuki pociągały go ku sobie; malował wcale nie źle, trochę rzeźbił, a kredkowe jego rysunki zjednywały mu nawet pochwały znawców. Dzięki tym rozlicznym talentom, a może raczej skromnej fortunce, która pozwalała mu jednak wieść niezależne życie, Jalbrun we wszystkich kołach towarzyskich był chętnie widziany. Jedni uwielbiali go, drudzy nienawidzili, wszyscy jednak zgadzali się na to, że gdzie był Jalbrun tam bawiono się wesoło i ochoczo, on był duszą każdego zebrania.

Miał dużo przyjaciół, ale dzięki swej prawdomówności, zjednywał sobie czasem nieprzyjaciół, lecz o tych ostatnich zwykł mawiać: „Złatwię ja się z nimi dopiero, gdy ukończę mój symfoniczny poemat.“

Jalbrun rzeczywiście pracował nad kompozycją, ale dorywczo nie systematycznie. Czasem zamykał się w domu na tydzień, i nie otwierał drzwi nawet najlepszym swoim przyjaciołom. Następnie próżnował znowu, dopóki sumienie nie zaczęło mu wyrzucać lenistwa.

Bywał wszędzie, zarówno w eleganckim świecie, jak i w najbrudniejszych kawiarniach. Czasem obiadował w jakiej karczmie w okolicach Paryża, gdzie stołowali się zarówno galganiarze, którzy nie znalazłszy portmonetki nad brzegiem rynsztoka, gotowi byli ją wydrzeć z kieszeni porządnego człowieka. Nazajutrz, ubrany we frak i biały krawat szedł do Duranda w towarzystwie senatora lub deputowanego. Widać ciekawy był poznać wszystkie warstwy społeczne od najniższej do najwyższej.

Jalbrun nie należał do cyganeryi, wszelako znał wszystkich należących do niej, tak malarzy, rzeźbiarzy, jako też i literatów. Artyści przyjmowali go nawet wtedy, gdy od ich drzwi odchodzić musieli ludzie wpływowi lub bogacze. Jednem słowem ogólną cieszył się sympatją, a młody Romanet kochał go jak brata.

I nic dziwnego; gdy bowiem Lucyan zniechęcony naganą ojca i obawą matki, gotów był wyrzec się artyzmu

i zwątpił o swoim talencie, jeden tylko Jalbrun dodawał mu otuchy i nie pozwolił mu się zawrócić w pół drogi.

A nic tak nie potęguje przywiązania jak ufność, którą nam ktoś okazuje. Jalbrun ufał w talent przyjaciela i dla tego Lucyan tak go pokochał.

Jalbrun był przytem znakomitym krytykiem, i z wrodzoną mu szczerością wygłaszał swoje zdanie; to też każdy z artystów zasięgał jego rady i polegał na jego zdaniu.

Przytem, choć sam młody jeszcze, znał dobrze życie i był poważniejszy od swoich towarzyszy; kochał bardzo młodzież, a w jego przywiązaniu przebijał zawsze jakiś odcięt ojcowskiej niemal czułości. Szczególniej ci znajdowali u niego łaskę, którzy szczerze, gorąco ukochali coś w życiu i poświęcili się jakiemuś ideałowi, czy to był honor, sztuka, ojczyzna lub miłość kobiety.

— Młodzi są jeszcze!—mówił zawsze, usprawiedliwiając nieporozumienia i gniewy koleżeńskie. Jednego tylko nie przebaczył nikomu: obtudy!

— Rozumiem, że w chwili uniesienia można się zapomnieć—mawiał—ale nie rozumiem tych drobnych ukłęk szpilkami, jakimi niektórzy prześladowają swoich nieprzyjaciół.

Stąd też wynikało, że ludzie mniej szlachetnego charakteru, obawiali się go jak ognia, gdyż chłostał niemilosiernie ich zasady ostreimi jak nóż słowami.

Jak tylko Romanet powrócił z poślubnej podróży, wyszukał zaraz Jalbrun'a i przedstawił go żonie, która ledwie go sobie przypomnieć mogła, gdyż w owym dniu nie widziała nikogo, tak była przejęta i wzruszona.

— Może ci będzie trudno przyzwyczać się do niego—rzekł Lucyan do swej młodej żony—bo jest to kawał oryginalna, ale zresztą najpocziwszy człowiek pod słońcem.

Wbrew przewidywaniom Lucyana, Anna wkrótce po lubiła dosyć Jalbrun'a za jego szczerość i otwartość, gdyż te przymioty stanowiły również grunt jej charakteru, a że była kobietą bardzo wykształconą i znającą obyczaje świata, umiała pogodzić wymagania towarzyskie z właściwą sobie prostotą. Jalbrun zaś, pomimo, że bywał w różnych sferach, osiągnął jednak takiej wyżyny moralnej, że wiedział kiedy i kogo należy uszanować.

Wrzesień zbliżał się ku końcowi i wiele osób, mianowicie tych co nie lubią polowania, powracało do Paryża. Młodzi małżonkowie układali projekta na całą zimę, radząc się naturalnie Jalbrun'a, który wiedział wszystko, gdzie co kupić należy, począwszy od drobiazgów aż do japońskich materyj.

I to także wiedział Jalbrun, gdzie i kiedy bywa świat elegancki, o czym znowu Lucyan nie miał najmniejszego pojęcia.

To też często Jalbrun w żartobliwy sposób wysmiewał przyjaciela, mówiąc, że ten ostatni wygląda w Paryżu jak ktoś świeżo przybyły z zapadłej prowincyi.

— Tego się nie robi, tam się nie bywa — strofował ich co chwila Jalbrun, a nie mogąc często odpowiedzieć na naiwne zapytanie Anny: „Dla czego?” wyszukiwał tak zabawne i dowcipne powody, że młoda kobieta śmiała się aż do łez, a Lucyan pod osioną żartu domyślał się prawdy i siedł chętnie za ręką przyjaciela.

Zima nadeszła. Lucyan zabrał się do pracy, nie z takim wprawdzie zapałem jak poprzędnio, ale ze szczerą chęcią pozyskania rozgłosu. Teraz rzadziej bywał w pracowni swego nauczyciela, gdyż jako człowiek żonaty, odsunął się trochę od swoich kolegów, którzy próbowali z niego sztydzić, lecz pełne godności obejście Lucjana powstrzymało ich od niewłaściwych żartów, stawiając jednak między nim a młodzieżą lodową jakąś zaporę. Lucyan nie zważał na to i dalej prowadził studia.

Oprócz tego pracował i u siebie. Miał obszerną i wygodną pracownię, w której mógł z łatwością umieścić nawet większych rozmiarów płótno; przytem z podróży przywiózł sobie mnóstwo szkiców i rysunków, tak, że zima wydała mu się zbyt krótką na to co zamierzał tworzyć.

Dni, jak zwykle w tej porze roku, były krótkie i pochmurne, to też żeby nie tracić czasu, Lucyan wychodził dopiero z żoną na przechadzkę o zmroku. Szli zazwyczaj prędko, przytuleni do siebie, rozmawiając wesoło.

Wieczorem bywali w teatrze lub u kogo z wizytą, gdyż mieli dosyć stosunków, tak dawnych znajomości rodziców, jak i świeżych zupełnie; a że oboje byli młodzi, wykształceni i uprzejmi, przyjmowano ich wszędzie z otwartymi rękami.

W chwili otwarcia salonu, Lucyan nie miał wykończonego obrazu, który zamierzał posłać na wystawę; dał więc inny: przedstawiający ów zakątek ogrodu w Mantes: lecz cenił go tak nisko, iż przypuszczał, że nie będzie przyjęty na wystawę.

Zdziwił się niesłychanie, gdy do jego uszu doszły pochwały publiczności i pochlebny sąd znawców; od tej pory nie był już tak skromny.

Gdy nadszedł dzień werniksowania, powodzenie jego było tak świetne, że mogło zawrócić głowę poważniejszemu nawet człowiekowi. Przyjaciele spotykali się mówiąc: „Czy widziałeś sad Romanet? Nie, a to idźże obaczyć, rzecz warta widzenia.“ I tłum ściśniętymi sze-

regami otaczał płótno. Artyści uśmiechali się trochę, patrząc na to uniesienie, jedni zazdrościli mu powodzenia, inni krytykowali mówiąc, że nie rozumieją co się tu podobać może. Ale publika była oczarowana, ta publika, która gdy kocha lub nienawidzi, to już gwałtownie, namiętnie.

Lucyan Romanet, pierwszego maja tego roku, stał się sławnym. Żadne pióro nie było zdolne odmalować radości jego matki. Ojciec był nie mniej zachwycony, choć nie okazywał tego po sobie, trzymał się bowiem tej zasady, że nigdy dzieciom nie należy objawiać szczerze, jak jesteście z nich zadowoleni. Był to dawny system wychowania, który miał może swoje dobre strony, jeśli tylko nie był posunięty do ostateczności.

— Nie wiem czem oni się tam zachwycają — mówił niby obojętnie notaryusz, lecz błyski radości malujące się w jego szlachetnym spojrzeniu i dobrotliwy uśmiech ust, mówiły aż nadto wyraźnie Lucyanowi, jak ojciec z niego był dumny.

Annie zdawało się, że żyje w jakimś śnie rokosznym. Śmiała się nieraz bez powodu, jak w owych czasach gdy była małą jeszcze dziewczynką. Dwadzieścia razy na dzień rzucała się mężowi na szyję wołając:

— Czy wiesz, że jesteś wielkim artystą?

On się śmiał i żartował z jej uniesień; ale w głębi serca jego miłość własna mile była połączoną takimi pochwałami, a choć mówił sobie, że wiele jeszcze musi pracować, nie mógł zaprzeczyć, iż w świecie artystycznym zajął już wybitne stanowisko.

Pierwszy rok małżeńskiego pożycia upłynął Lucyanowi jak jedna chwila wolna od wszelkich burz i niepokojów.

W czasie lata wzbogacił swoją tekę różnemi widokami z okolic Bretanii, Mantes i południowych stron Francyi, lecz czy to dla tego, że za wiele miał pomysłów, czy z innego jakiego powodu, dość, że utworzył jakiś krajobraz tak miernej wartości, iż nie przyjęto go nawet do salonu wystawy.

Można sobie łatwo wyobrazić jaki to był cios dla Lucjana. Anna ucierpiała mniej na tem, gdyż pani Orliet ze swą przedziwną znajomością świata i ludzi, przewidziała tę porażkę i przygotowała do niej córkę.

Według jej zdania, Lucyan zbyt szybko zdążył ku wyżynom sztuki, musiała więc z konieczności nastąpić w jego utworach reakcja, ale był zarazem tak młody, że błąd popełniony mógł naprawić z łatwością.

Jednak młoda żona musiała wyczerpać nie mało czulej troskliwości, zanim zdołała uspokoić zranioną miłość

własną Lucyana. Ale czegożby ona nie dokazała, aby tylko rozproszyć chmurę smutku z czoła ukochanego.

Powoli, nieznacznie, z owym taktem prawdziwie kochających kobiet, Anna dodawała mu otuchy i zachęcała do poważniejszych studyów, któreby na przyszłość ochronić go mogły od takiego zawodu.

Dla miłości prawdy wyznać musimy, że Anna nie tyle działała z własnego natchnienia, jak raczej szła za wskazówkami matki, która wiedziała, iż zięć od niej nie przyjmie tych uwag, tak jak je przyjmie z pewnością od żony.

Idąc za radą żony, Lucyan całą zimę pracował gorliwie i z wiosną następnego roku, wystawił w salonie płótno tak piękne, iż można śmiało powiedzieć, że przeszedł wszelkie oczekiwania.

W chwili, gdy to nowe powodzenie przywiodło na pamięć publiczności imię artysty, witanego tak sympatycznie przed dwoma laty; Bóg obdarzył Lucyana dziećciem, śliczną córeczką zupełnie podobną do Anny. W kilka tygodni później, przysądzono Lucyanowi Romanet trzeci z rzędu medal.

Jalbrun był uszczęśliwiony powodzeniem przyjaciela, Szczególny ten człowiek, gdy kochał lub nienawdził to już całą duszą. Tych, których nie lubił unikał ich jawnie; z ukochanemi zaś dzielił radości i smutki.

Przytem rodzinne życie Lucyana miało dla niego szczególny powab: bywając tak wiele, nie widział jednakże nigdzie takiej harmonii i zgody, jaka panowała między tem młodem małżeństwem, to też dom ich wydawał mu się jakąś rokoszną oazą, do której dążył z upragnieniem, ilekroć czuł się smutnym lub zniechęconym do ludzi. On, który żył wciąż po za domem, zaczął teraz uważać dobranę małżeństwo za szczyt najwyższej szczęśliwości ludzkiej.

Przytem Anna umiała tak zarządzać gospodarstwem, że wszystko szło składnie i cicho; obiad był zawsze na czas podany, służba spełniała obowiązki bez przypominania, a pełne wdzięku obejście młodej kobiety, było jakby słonecznym promieniem, ożywiającym każdy zakątek.

Wszystko to było dla Jalbruna nowością; dotychczas sądził bowiem, że coś podobnego można napotkać tylko w książkach.

Rozmawiając z Lucyanem, unosił się często nad jego szczęściem, odzywając się z pogardą o zakazanych rokoszach tego świata.

Lucyan wiele razy słuchał go uważnie, aż wreszcie zniescierpliwiał się.

— Za kogo nas bierzesz, moją żonę i mnie? — ozwał

się niezadowolony; chyba za Estelę i Nemorina. Ale przecież do dyabła nie jesteście tak śmiesznie naiwni.

— Nie masz się o co gniewać — odparł Jalbrun spokojnie — to co mówię nie jest bynajmniej naganą, a raczej wielki przynosi wam zaszczyt.

Romanet nie zadowolnił się nawet tą odpowiedzią. Młody malarz od kilku miesięcy zaczął częściej bywać w towarzystwie swoich kolegów, lecz pomimo udanej lub szczerej życzliwości, jaką mu wszyscy niemal okazywali, dostrzedz można było łatwo pewien odcień lekkiej ironii.

Traktowano go jak młodą kobietę, w obec której nie o wszystkim mówić można. Jeśli ktoś przypadkiem odważył się na opowiadanie jakiej zbyt drażliwej historyjki, niejedno spojrzenie śledziło ciekawie wyraz twarzy Lucyana. Było to coś tak nieokreślonego, tak nieujętego w formę, co jednak niewypowiedzianie go drażniło! Nieraz krew uderzała mu do głowy i z ochotą chciałby ukarać śmiałka, który spoglądał nań w ten sposób, lecz nawet pozor do zaczepki znaleźć nie mógł.

Był nawet parę razy na składkowych obiadach, ale i to nie wywołało większej zażyłości.

Z nadejściem lata, Lucyan z żoną i małą Ludwiną wyjechał do Arcachon. Zastali tam już panią Orliet i czas ubiegał im szybko i mile nad brzegami Oceanu, lub pod cieniem jodeł.

Domek który zajmowali, stał trochę odosobniony, co im robiło złudzenie zupełnej samotności.

O ileż razy później, ów pobyt w Arcachon zdawał się Lucyanowi tylko snem rokosznym.

Nasi młodzi małżonkowie nie unikali bynajmniej towarzystwa osób przybyłych tam dla kąpieli morskich, lecz owa atmosfera szczęścia jaką oddychali, chroniła ich od zbytniego natręctwa ciekawych.

Annę bawił ruch i życie, lecz przypatrywała mu się z daleka jak mieniącym barwom kalejdoskopu, sama jednak nie pragnęła wmięszać się w wir zabaw.

Po upływie kilku tygodni, Romanet poznał się z kilku osobami; naturalnie byli to sami mężczyźni. Z jednym spacerował po wybrzeżu, z innymi grał kiedyś w wista w klubie i znajomość gotowa. Wszystko to są jednak stosunki chwilowe, nie obowiązujące do niczego więcej oprócz grzecznego ukłonu.

— W sierpniu napływ gości zwiększył się jeszcze w Arcachon, a choć już nie tak dobrane towarzystwo było, za to bardzo ożywione.

Jednego dnia, nad wieczorem, Lucyan paląc cygaro, siedział na ławeczce w towarzystwie pewnego jegomościa,

który ze względu na wiek swój, nie był bynajmniej odpowiednim dla młodego malarza towarzyszem.

Pan de Noirmont, mógł mieć około lat pięćdziesięciu, lecz z usposobienia wesóły, przytem letkiewicz i wielki wielbiciel płci pięknej, zabawiał Lucyana swemi dowcipami i znajomością małych tajemnic Paryża.

— Patrz pan, odezwał się Noirmont, przykładając binokle do oczów, otóż idą jakieś nieznanne kobiety. Dzięki Bogu, gdyż tu w tym naszym Edenie brak płci pięknej uczuć się daje niezmiernie.

Lucyan rzucił przelotne spojrzenie w stronę, którą mu wskazywał towarzyszy i ujrzał kilka kobiet dość młodych i pięknych; lecz pewna ekscentryczność w ubraniu, pleć sztuką podniesiona, a nadewszystko dziwny niepokój w ruchach, zdradzały aż nadto dobrze do jakiego świata należą te panie.

— Znasz pan te kobiety?—zapytał obojętnie Romanet.

— Znam tylko jedną z nich, te drugie to jakiś świeży towar...

Mówiąc te słowa Noirmont podniósł się z ławki nie dbale:

— Idziesz pan ze mną? — spytał Lucyana, który uderzał o stół gałeczką, od łaski.

Młody człowiek zawahał się w mgnieniu oka.

— Nie panie, zostaje—odrzekł, coś jednak jakby pewien odcień żalu zabrzmiał w jego głosie, gdy dodał: czekają na mnie w domu.

— A zatem do widzenia—rzekł Noirmont z ukłonem i oddalił się szybko.

Lecz Noirmont nie uszedł jeszcze dziesięciu kroków, gdy Romanet żałował gorzko swej odmowy. Zapytywał się dla czego nie poszedł ze swoim towarzyszem? Jakiś fałszywy wstyd przykuł go do miejsca. A przecież tego rodzaju kobiety spotyka się wszędzie i nie pociąga to za sobą żadnych poważniejszych następstw. Nie sposób ich unikać, gdyż wszędzie ocieramy się o nie. Alboż on sam, Lucyan, nie napotkał już wiele razy w pracowni przyjaciół, pięknej damy półświadka, która pod pozorem obojętności obrazów przychodziła do swego przyjaciela? Jakież śmieszne skrupuły wstrzymały go od tej rozrywki?

Zły, podniósł się z ławki i chciał zawrócić ku domowi; lecz droga prowadziła właśnie tamtędy, gdzie w gronie owych kobiet stał Noirmont i jeszcze kilku znajomych mu mężczyzn. To do reszty popsło mu humor. W tej chwili zegar wybił siódmą godzinę i Lucyan nie mógł się namyślać długo, gdyż w domu czekali nań z obiadem. Zaczął więc iść mierzonym krokiem, nie zwracając uwagi na przechodniów.

W chwili kiedy przechodził obok towarzystwa, do którego przyłączył się Noirmont, usłyszał jak jedna z kobiet pytała tego ostatniego:

— Kto to jest, ten młody człowiek?

— Lucyan Romanet—odrzekł głośno Noirmont.

Lucyan szedł dalej, udając że nic nie słyszał, lecz te proste na pozór słowa zmieszaly go niewymownie.

— Powierzchność dosyć obiecująca — dodał jakiś głos kobiecy—a czy rzeczywiście jest utalentowany?

Lucyan nie usłyszał już odpowiedzi, gdyż mimowolnie przyspieszył kroku. Gniewny na siebie i na wszystkich śpieszył do domu, zdawało mu się nawet przez chwilę, że miał żal jakiś do Anny.

Ale cóż wspólnego mogła mieć Anna z temi istotami; które napotkał przed chwilą? Ona tak czysta i szlachetna!

To też Lucyan otrząsnął się szybko z niemilego wrażenia; czuł się jednak dziwnie rozdrażnionym i gdyby wierzył w feralność, mógłby sądzić, że właśnie dzień taki przyszedł dla niego.

Gdy jednak wszedł do domu, widok ukochanej żony trzymającej w objęciach dziecinę, miły uśmiech pani Orliet i wesóły pozór mieszkania, oddziały na niego tak uspakajająco, że gdy zasiadł do stołu, cała ta małoznacząca przygoda wyszła mu zupełnie z pamięci. A gdy nazajutrz spotkał pana Noirmont w kasynie, gdzie szedł codzień w celu przeczytania gazet, przywitał się z nim jak najuprzejmiej i porozmawiawszy o tem i o owem, wrócił do domu w najlepszym humorze. Lecz że dzień był prześlizczony, a powietrze tak spokojne, że zaledwie lekki wietrzyk marszczył powierzchnię morza, Lucyanowi przyszła nagle do głowy chęć przechadzki. Po drodze więc wynajął konia z wózkiem i pojechał po żonę. Na turkot kół Anna wyjrzała oknem.

— Bierz prędko kapelusz i okrycie, przejedziemy się trochę—zawołał Lucyan.

Za chwilę młoda kobieta zbiegła ze schodków.

Była tak piękna w skromnym ciemnym kapelusiku z gazową woalką, którą z niechcenia okręciła koło szyi, że mąż z zachwytem spojrzął na nią; pomógł jej wsiąść i zaciął konia, który ruszył żwawo po piaszczystej drodze.

Wszystko w przyrodzie zdawało się oddychać życiem i wesołością. To też dziwna jakaś pustota ogarnęła Lucyana i Annę, zapomnieli że są już poważnymi ludźmi i śmieli się i żartowali jak dwoje dzieciaków używających wakacyj.

Błąkali się tak bez celu ze dwie godziny, nareszcie gdy słońce schyliło się ku zachodowi, zawrócili do domu.

Pan Romanet 14. — *Dodatek do Kurjera Godziennego.*

Koń postępował wolniej zmęczony długą drogą, lecz im tak dobrze było obok siebie, że mimowoli Anna przytuliła się do piersi męża, z niewysłowionem uczuciem rokoszy i szczęścia. Dwa lata wspólnego małżeńskiego pożycia, spotęgowały jeszcze ich miłość, opartą na wzajemnym szacunku. Nawet gusta ich i upodobania, nie różniły się ze sobą bynajmniej.

Lekki wietrzyk wiejący od morza, ustał zupełnie, powietrze ociepliło się jeszcze bardziej. Nasi młodzi małżonkowie jechali wolno, gdyż Lucyan zatopiony w rokosznym upojeniu, czując przy sobie bijące serce Anny, nie ruszył nawet lejcami aby popędzić konia.

Wspaniały widok morza kąpiącego się w blaskach zachodu, nasunął widać jakieś poważne myśli do główki młodej kobiety, gdyż usta jej przestały uśmiechać się figlarnie, a wzrok utonął w pysznym krajobrazie.

— O czym myślisz?— spytał Lucyan.

— Myślałam... o! ale nie śmieję się ze mnie! Myślałam o dniu naszego ślubu.. o owej chwili, kiedy rzuciłeś mi bukietek pomarańczowego kwiecia... mam go dotąd... jeszcze pachnie tak ładnie...

Lucyan uśmiechnął się pobłaźliwie; mężczyźni bowiem mniej do takich drobnostek przywiązują wagę.

— Była to urocza chwila, nieprawdaż? — szepnęła Anna.

Droga była pustą zupełnie i Lucyan w miejsce odpowiedzi ucałował żonę serdecznie.

— To było piękne jak marzenie poetyl — ozwała się po chwili Anna. Pierwsza to moja tajemnica, której nie powierzyłam matce...

Uśmiechnęła się i nagle oczy jej napełniły się łzami.

— Jesteśmy tak szczęśliwi—dodała—że czasami aż się lękam!

— Czego, najdroższa?

— Lękam się; bo czyż szczęście trwałem być może na ziemi... a nuż przytrafiłoby się coś takiego... naprzykład gdybyś się znudził mną i przestał mnie kochać?

— Jakie z ciebie dziecko!—rzekł Lucyan — wiesz dobrze, że wiecznie kochać cię będę.

— Na prawdę? — spytała z pół uśmiechem — chociaż dwie łzy toczyły się jeszcze zwolna po jej licu; mąż obtarł je pocałunkiem.

— Czy mógłbym przestać cię kochać, ja który kocham cię od dziecka?

Spojrzeli na siebie z niewysłowioną czułością. Skowronek śpiewał w przestrzeni, głos jego dzwiczny i silny rozlegał się coraz bliżej, nareszcie ptaszyna zataczająca kręgi nad ich głowami, siadła na drodze. Lucyan zatrzy-

mał konia aby jej nie spłoszyć. Ptaszek śpiewał coraz ciszej, ciszej, nareszcie podleciał i skrył się w zielony owies.

Ci którzy twierdzą, że prawdziwego szczęścia nie ma na ziemi, myślą się bardzo, gdyż Lucyan i Anna czuli się zupełnie szczęśliwymi w tej chwili.

Nagle turkot kół dał się słyszeć tuż za niemi i ciężki powóz wyminął ich szybko. Wsparta na poduszkach powozu, pod osłoną jaskrawej parasolki, spoczywała kobieta, jedna z tych, które Lucyan widział wczoraj z panem Noirmont. Obok niej siedział jakiś niemłody jegomość.

Gdy powóz mijał się z wózkiem Lucyana, kobieta spojrzała na tego ostatniego z wyrazem lekkiej ironii, następnie przeniosła wzrok na Annę i rozśmiała się głośno. Stało się to tak szybko, że Anna nic tego nie dostrzegła.

— A to nas zakurzył! — rzekła spokojnie, patrząc na tuman kurzawy opadający zwolna.

Ale Lucyan widział wszystko i ubodło go to do żywego. Schwycił bat i zaciął nim konia tak silnie, że ten popędził jak szalony.

— Co się stało?— spytała Anna.

— Koń się potknął — odrzekł Lucyan zmieszany własnym kłostwem; koń bowiem nie potknął się bynajmniej, tylko szyderstwo tej kobiety poruszyło jakąś złą stronę jego duszy.

Ten mało znaczący na pozór wypadek, pociągnął jednak za sobą dość ważne następstwa. Lucyan bowiem był jeszcze zbyt młody, aby umiał ocenić w czym się ma stosować do opinii świata, a pod jakim względem lekceważyć ją, a myśl, że ktoś może się wyśmiewać z niego drażniła go niewypowiedzianie.

Napróżno powtarzał sobie, że tego rodzaju żarty zamiast ujmy przynoszą mu zaszczyt, że jest wyższym moralnie od innych i tak dalej... wszystkie te argumenty nie zaspakajały go bynajmniej, a w głębi jego duszy gromadziła się jakaś niechęć do ludzi, wzrastała jakaś nieprzeparta ciekawość poznania tego świata i zakosztowania słodczy zakazanego dlań owocu.

— Dlaczegoż ja mam być gorszym od innych—mówił sobie w duchu.

To wewnętrzne niezadowolenie dało się wkrótce uczuć otaczającym go osobom. Po powrocie do Paryża, byle co wprowadzało go w zły humor.

Niech no tylko obiad był nie zupełnie dobrze przyrządzony, lub cug trochę przeciągał w pokoju, Lucyan unosił się zaraz gniewem, wprawdzie krótkotrwałym, ale który niemniej robił wielką przykrość Annie.

Rzeczywiście, od czasu jak Anna została matką, zarząd domu ucierpiał na tem trochę. Musiała teraz dzielić

czas między męża, dziecko i zajęcia gospodarskie. Z początku Lucyan gniewał się, że żona tak rzadko przychodzi do jego pracowni, lecz później rad był z tego, bo miał więcej swobody i czasu dla siebie!

Już to czasu to mu nie brakowało! pracował tak mało! Gdy koło piątej po południu wyszedł na bulwary, nie wiedział gdzie się kierować. Składać wizyty bez żony, nie było rzeczą arcyzabawną i spełniał tę towarzyską powinność tylko wtedy chętnie, gdy mu wtem pomagała Anna. Kawiarnie i restauracje nie zbyt go nęciły, jednak nie wiedząc co z sobą począć, dał się kilka razy zaciągnąć przyjaciołom i teraz bywał codziennie w modnej kawiarni na bulwarach des Italiens.

Z początku robił to raczej z przyzwyczajenia nie z upodobania, lecz w miarę jak wtajemniczał się w różne szczegóły skandalicznej kroniki Paryża, zajęcie jego wrażało. Nareszcie umiał na pamięć wszystkie miłosne historyjki rozmaitych warstw społecznych, a świeże nowinki chwycił z chciwością cudzoziemca, któremu się zdaje, że w Paryżu nie ma uczciwych kobiet i szlachetnych mężczyzn. Palila go ciekawość poznania owego półświatka, co dla niego jedynie był ziemią nieznaną. Pragnął dostać się do mieszkania której z owych kobiet, aby się przekonać naocześnie w czem mianowicie tkwiła różnica między temi kobietami a kobietami jego świata. Przysłuchując w sobie wrodzone poczucie piękna i moralności, zaczął uwielbiać więcej płęć malowaną od naturalnej, sztuką podniesione wdzięki, nad powabną prostotę.

Delikatna twarzyczka żony nie pociągała już oczu męża, nie nęciła ust jego, widział, że była zawsze jedną i tą samą i to go nudziło. Jej purpurowe usteczka wydawały się blade w porównaniu ust zabarwionych karminem, które migwały wciąż przed oczyma jego wyobraźni; nawet blade różowa płęć Anny, w jego przekonaniu, straciłaby niewątpliwie, gdyby znalazła się obok wybielonej twarzyczki jakiej modnej piękności. A ów zapach fijołków którego używała Anna, jakże był mdły w obec innych upajających woni.

— Jaki też ze mnie głupiec! — rzekł do siebie w duchu jednego dnia Lucyan, gdy spotkał kilku swoich znajomych zdążających na obiad do Maison dorée. Obiad ów miał być uświetniony obecnością kobiet.—Ciekawy jestem dla czego ja tylko jeden nie żyję w tym świecie! Po prostu narażam się na śmieszność.

— A cóżby na to powiedziała Anna?—spytała go sumienie.

— Anna o niczem wiedzieć nie będzie—rzekł do sie-

bie uspakajająco, — choćby jej kto o tem powiedział nie uwierzyłaby wcale.

Lecz głos sumienia nazwał go nędznikiem, co sprawiło na nim tak silne wrażenie, że wstąpił co prędzej do sklepu ogrodniczego i kupił dla żony tak pyszny bukiet, jakiego od dnia ślubu nie dostała jeszcze od niego.

Lecz o dziwo! gdy jechał ze swym kosztownym podarunkiem, chorobliwa wyobraźnia przedstawiała mu w miejsce żony inną kobietę, której niósł kwiaty w ofierze.

Rzeczywiście, było to rzeczą nienaturalną, takie uporczywe zwracanie się myśli na jeden przedmiot. Nie śmiał prosić któregoś z przyjaciół, aby go wprowadził do jakiej modnej damy półświatka, nie chciał sam szukać tego zbliżenia, lecz być niejako przymuszonym do tego. Marzył o jakimś nadzwyczajnem zdarzeniu, o niespodziewanem spotkaniu, któreby miało jakąś cechę poezji, chociaż skończyłoby się może bardzo prozaicznie.

Upłynęła tak część zimy; dla Lucyana wśród marzeń rozbujającej chorobliwie wyobraźni; dla Anny w błogim spokoju; młoda kobieta mając ukochanych blisko siebie, czuła się zupełnie szczęśliwą

Zamilkli obydwa.

— Kiedy nie chcesz mi dostarczyć biletu, poproszę o to kogo innego—ozwał się po chwili Lucyan powstając.

— Najlepiej zrobisz jeśli zostaniesz w domu. Usłuchaj mojej rady, wypraw dnia tego elegancki obiad, zaprosz kłknaście osób mających znaczenie i poważanie w świecie artystycznym, a będzie to manifestacya w dobrym tonie, przeciwno ludziom, którzy się nie szanują.

— A ty czy byłbyś na tym obiedzie? — zapytał Lucyan z powątpiewaniem.

— Ja? Za nic w świecie! Pójdę na bal przebrany za Turka i będę tańczył do samego rana.

— A widział—zawołał Romanet ze złością.—Ja więc tylko jeden mam być odsunięty?

— Cóż chcesz mój drogi—odparł Jalbrun chcąc rzecz całą w żarty obrócić — są ludzie, którzy przez całe życie nie popełnią ani jednego głupstwa i przez to zasłużą na zaliczenie w grono: „Nieśmiertelnych“ może i ty do takich należysz. Jest to bez zaprzeczenia pewnym rodzajem męczeństwa, ale zarazem wielkim zaszczytem, trzeba więc na niego zasłużyć. Wybieraj zatem!..

— Odmawiasz mi stanowczo twego pośrednictwa? — spytał Lucyan nie zwracając uwagi na słowa przyjaciela.

— Żona twoja nie przebaczyłaby mi tego nigdy.

— A jeżeliby ona poprosiła dla mnie o bilet?

— W takim razie nie miałbym nic przeciwko temu—odparł Jalbrun—lecz powtarzam swoje, wydaj lepiej wielki obiad..

— Nie nudź mnie już i chodź dziś do mnie na obiad, a założę się z tobą, że żona moja sama namawiać mnie będzie, abym poszedł na ów balik.

— Tak, jak już naprzód przysposobisz ją do tego! Taki zakład nie idzie!

— Daję ci słowo, że nic jej nie powiem, a na dowód nie rozłączę się już z tobą do obiadu.

— Niech i tak będzie!—zakończył Jalbrun.

Gdy nasi przyjaciele weszli do jadalni państwa Romanet, zastali stoł już nakryty śnieżną holenderską bieliną i kosztownymi srebarami. Za chwilę ukazała się Anna piękna i uśmiechnięta jak zawsze. Tuż za nią zjawiła się waza z rosółem, rozstaczającym nęcącą woń dokoła. W całym ustroju domowym znać tu było ład wzorowy; służba zwijała się zrećnie i cicho, potrawy były smaczne i pożywne, a gosposia tak ujmująca.

Już to sekret gotowania dobrego rosółu, jest może wyłącznie wydziałem francuskich gospodyń, bo nigdzie on tak dobrym nie bywa; to też Lucyan zjadłszy jeden talerz nadstawił go powtórnie.

die uspakajęco — choćby jej kto o tem powiadał nie

lecz głos sumienia nazwał go niedzielnym, co sprze-
wilo na nim tak silne wrażenie, że wstał do przodu do
sklepa ogrodniczego i kupił dla żony tak pyszny bukiet
jakiego od dnia nie dostała jeszcze od niego.

lecz o dawno! gdy jechał ze swym kostyumem pod-
punktem chorobliwym wyobrażenia przedstawiała mu w miej-
sce tony inna kobieta, której niel kwiaty w ofiarze.

Kieczywidnie, było to rzeczy niemożliwe, takie ugor-
otywe zwracanie się myśli na jeden przedmiot. Nie miał
groźbę którego z przyjaciół, aby go wgrzwał do jakiej
możej damy podobnie. X
tenia, lecz był niejako przynależnym do tego. Marzył o
jakimś nadawczym zwracaniu, o niepodobnym

W początkach postu, cały Paryż był zajęty kostyu-
mowym balem, jaki miało sobie wyprawić grono artystów
malarzy. Miał to być balik przyjacielski, bez udziału żon
i siostr, lecz za to uświetniony obecnością innych kobiet.

Obiecywano sobie tak dobrą zabawę, że o zaprosze-
nia było bardzo trudno.

— Czy nie mógłbyś dostać dla mnie zapraszającego
biletu?—spytał najobojetniejszym w świecie tonem Lucyan
swego przyjaciela Jalbrun'a.

— Dla ciebie? — odrzekł z nieudaniem zdziwieniem
muzyk.

— No tak, dla mnie!

— Dla czegożby nie, ale dziwię się, że iść pra-
gniesz, czy sądzisz, że to robi przyjemność twojej żonie?

— Przecież nie proszę cie o bilet dla żony — odparł
z kwaśną miną Romanet.

— To by było trochę oryginalne! — zaśmiał się Jal-
brun.

— Cóż widzisz tak dziwnego w mojem żądaniu — do-
dał Lucyan z rozdrażnieniem. — Czyż nie jestem młody i
bogaty? Dla czegoż mam zawsze trzymać się zdala od
drugich jak chora owca?

— Ale któż o tem mówi — rzekł Jalbrun spokojnie—
tylko widzisz, jakkolwiek nie jestem moralistą, wydaje mi
się to dziwnem, że ty, człowiek już z pewnym stanowiskiem,
żonaty z taką śliczną kobietą, ojciec zachwycającej dzie-
ciny, chcesz koniecznie znaleźć się w towarzystwie, w któ-
rem nic zyskać a wiele stracić możesz.

— Cóż stracę? moją niewinność? — odparł Lucyan ze
złośliwym uśmiechem.

— Być może—rzekł Jalbrun z tym samym co wprzó-
dy spokojem.

Jalbrun milczał zajądając, wzrok jego tylko, trochę drwiący, śledził wyraz twarzy Lucyana. Anna dostrzegła kilka razy to spojrzenie, ale nie chciała pytać o przyczynę, dziwiło ją to tylko, że Jalbrun był dzisiaj taki milczący.

Jalbrun upornie wpatrywał się w przyjaciela, jakby mu chciał powiedzieć, „zaczynajże przecie“, ale Romanet wzdawał, że tego nie rozumie.

Podano pieczone i Lucyana rozkrawając kurczętą, zwrócił się nagle z zapytaniem do żony.

— Słyszałaś Anno o tym projektowanym balu malar-
skim?

— Słyszałam—odrzekła— ma to być coś bardzo zaba-
wnego.

— Otóż mam chęć pójść także, czy by cię gniewała
miało?

— Mnie, cóż znowu; idź jeśli masz ochotę — odrzekła
swobodnie.— Wszystko co się tobie podoba i mnie nie mo-
że robić przykrości.

Lucyan był bardzo zajęty krajanem.

— Ale bo widzisz duszko — dodał — kobiet z naszego
świata nie będzie tam wcale, więc...

— Spodziewam się, że mężczyźni nie będą tańczyć
sami,—przerwała mu śmiejąc się, towarzystwo zatem będzie
mieszane.

— O i bardzo mieszane—dodał Jalbrun—będzie na-
wet sama mieszanina, nie mężczyzn, bo ci będą z wyboro-
wego kółka, ale...

— Rozumiem—ozwała się Anna z uśmiechem. — Pan
będziesz tam także?

— Niestety!—westchnął z udanym żalem Jalbrun.

— Dlaczegoż więc Lucyana nie miałby iść także?

— Trzeba mieć zaproszenie—odrzekł muzyk.

— A nie możesz pan wystarać się o nie dla Lucyana?

Romanet uśmiechnął się tryumfująco, gdy tymczasem
Jalbrun otworzył swoją teczkę i wyjąwszy z niej elegancką
ćwiartkę papieru, ozdobioną fantazyjnym rysunkiem, poło-
żył ją na talerzu i z komiczną powagą podał Lucyanowi.

— Oto są klucze od bram miasta—rzekł.

Anna spoglądała na nich wesoło.

— To ma znaczyć droga pani, że bramy tego świata
są otwarte dla jej męża.

Anna ciekawie przyglądała się zaproszeniu, które
w niczem nie różniło się od innych; było w niem może
trochę więcej fantazyi i oto wszystko.

— Jakież weźmiesz kostium?—zapytał Jalbrun.

— A więc to bal kostiumowy?—rzekła Anna.

— Najlepiej przybrać jaki wschodni ubiór — odezwał
się Lucyana.

Na tem skończyła się rozmowa.

Po obiedzie gdy Anna poszła do swej dzieciny, a pa-
nowie udali się do gabinetu Lucyana, aby tam wypalić
cygara, Jalbrun odezwał się pierwszy:

— Przeprowadziłeś rzecz całą tak gładko, jakby to
było w komedyi.

— Żona mi ufa — odrzekł Lucyana ze złe ukrywanem
zadowoleniem.

— Dobrze wyjdzie na tej ufnosci — chciał powiedzieć
Jalbrun, lecz ugryzł się w język i zmilczał.

Bal wrzał już w całym blasku, gdy Lucyana z przy-
jaciółmi wbiegł w tłum. Ukazanie się
ich zwróciło uwagę wszystkich, mieli bowiem przepyszne
wschodnie kostiumy.

W pięć minut Lucyana został odosobniony od swoich
towarzyszy i sam nie wiedział co z sobą począć. Ogarnę-
ło go uczucie dainego zniechęcenia, zdawało mu się, że
jest śmiechany i niezaprawny w swoim maskaradowym prze-
stronie.

Wszystko to rozprawione i szalejącego tłum, cnił się
z niego samotnym, a samotność taka gorzej jest sto-
knie od wszelkiej pustki. Widok jaki miał przed sobą
nie przypominał go wcale, nie widział w nim nic podob-
nego, było to najprzeróżniejsza mieszanina barw i kształtów
mów i różnych epok, jak to bywa zwykle na balu kostiumo-
wym, który nie trzyma się ściśle z góry określonego
programu.

I tu nie brakowało świetnych tańców i drogotocznych
kolejności, lecz niemaż tanowały ze sobą osoby zupełnie nie
odpowiadające ubrane, co wydawało się śmiesznie niesko-
nane.

Wsparty o filar, Lucyana rozmyślał nad tem, że gdy-
by on urządził podobną zabawę, musiałby urządzić byd
z jednej epoki, aby gwałtowne kontakty barw i kształtów
nie wiodzonego poczucia piękna.

Wśród tych nie wesołych rozmyślań, usłyszał że goz
ktos poklepał go ramieniem.

— Coś to nie bawisz się — spytał go Jalbrun — mas
mnie znużona. Ale nie po to przyszłaś, abyś się
dawał jakimś filozoficznemi uwagami pojśćże tanować.
Mówię to ponieważ go do grona kobiet zajętych o-
dwójną rozmową.

— Najlepiej przypadał jaki wschodni ubór — odezwał się Lucyan.
 Na tem skończyła się rozmowa.
 Po obiedzie gdy Anna poszła do swej sypialni, a panowie wrzali się do gabinetu Lucjana, aby tam wypalić cygara, Jalbrun odezwał się pierwszy:
 — Przyprowadziłeś rzecz całą tak gładko, jakby to było w komedii.
 — Kona mi uś — odezwał Lucyan ze śmiechem.
 — Dobra wyjdzie na tej niości — chciał powiedzieć Jalbrun, lecz ugryzł się w język i zmilczał.

XI.

Bal wrzał już w całym blasku, gdy Lucyan z przyjaciółmi wniósł się w tłum różnobarwny. Ukazanie się ich zwróciło uwagę wszystkich, mieli bowiem przepyszne wschodnie kostiumy.

W pięć minut Lucyan został odosobniony od swoich towarzyszy i sam nie wiedział co z sobą począć. Ogarnęło go uczucie dziwnego zniechęcenia, zdawało mu się, że jest śmieszny i niezgrabny w swoim maskaradowym przebraniu.

Wśród rozbawionego i szalejącego tłumu, czuł się zupełnie osamotnionym, a samotność taka gorszą jest stokroć od rzeczywistej pustki. Widok jaki miał przed oczami, nie zajmował go wcale, nie widział w nim nic pojętnego; była to najsprzeczniejsza mieszanina barw i kostiumów z różnych epok, jak to bywa zwykle na balu kostiumowym, który nie trzyma się ściśle z góry określonego programu.

I tu nie brakowało świetnych tualet i drogocennych klejnotów, lecz nieraz tańczyły ze sobą osoby zupełnie nie odpowiednio ubrane, co wydawało się śmiesznym nieskończeniem.

Wsparty o filar, Lucyan rozmyślał nad tem, że gdyby on urządzał podobną zabawę, musiałyby wbrania być z jednej epoki, aby gwałtowne kontrasty barw i kraju nie raziły wrodzonego poczucia piękna.

Wśród tych nie wesołych rozmyślań, uczuł, że go ktoś poklepał po ramieniu.

— Cóż to nie bawisz się? — spytał go Jalbrun — masz minę znudzoną. Ale nie po to tu przyszedłeś abyś się bawił jakimiś filozoficznymi uwagami, pójdźże tańczyć.

Mówiąc to pociągnął go do grona kobiet zajętych ożywioną rozmową.

— Przedstawiam paniom kogoś co umie tańczyć, a że teraz trudno o dancersów, miejcież o nim staranie aby się z nami nie nudził.

W tej chwili orkiestra zagrała jakiegoś mądrego walca i Romanet nie wiedział kiedy i jak znalazł się w kole tańczących, trzymając jakąś kobietę w objęciu.

Romanet tańczył bardzo ładnie, lecz był tak jakoś dziwnie zmieszany, że gdyby nie towarzyszka jego, która tańczyła zgrabnie i do taktu, byłby się zaplątał od razu; wreszcie oberwawszy kilka falbanek sąsiadkom, nasz bohater odzyskał zimną krew i spojrzał uważnie na swą towarzyszkę.

Nie była ani brzydką ani ładną, lecz brak przesady w obejściu czynił ją dosyć przyjemną.

Młody malarz ochłonawszy z pierwszego wrażenia, poznał między tańczącymi wiele sławnych piękności, lecz był niesłychanie zdziwiony, że przedstawiała się tak niekorzystnie w balowym ubraniu, na ulicy bez porównania były ładniejsze! To rozczarowanie wyszło na korzyść jego towarzyszki.

Gdy kobieta zmęczona, bez wtchu prawie, padła na niską sofkę, Lucyan usiadł koło niej i słuchał jej głosu, nie rozumiejąc bynajmniej wyrazów. Odpowiadał na chybił trafił, wzrokiem goniąc migające pary.

— Więc to to jest ów świat, który tak pragnąłem poznać! — rzekł sobie w duchu.

Był więcej zdziwiony niż zachwycony, i tylko przez fałszywy wstyd nie chciał przed sobą przyznać, że się... potężnie nudzi.

Sam nie wiedział co ma mówić, nie mógł okazać się grubijańskim, a czuł dobrze, że delikatne pochlebstwa jakimi obsypuje się kobietę piękną i młodą, lecz uczciwą, byłyby w tem kółku co najmniej nieodpowiednie.

Powoli jednak Romanet odzyskał zwykłą swobodę. Przypadek rozłączył go z tancerką i gdy znalazł się w gronie przyjaciół, zaczął dowcipkować tak wesoło, że wszyscy bawili się wybornie. Ktoś szepnął, że młody malarz jest nowicjuszem w tem zgromadzeniu, tem więc pobłażliwiej słuchały go kobiety.

Po kolacyi tak się rozweselił, że o mało go nie obnoszono w tryumfie.

Już była może trzecia po północy, Lucyan rozmawiał ze swoją pierwszą tancerką, gdy nagle zatrzymała się przed nim jakaś piękna blondynka o śmiałym spojrzeniu.

— Proszę też ze mną trochę porozmawiać — rzekła śmiało.

Lucyan poznał w niej z łatwością tę, która na drodze w Arcachon takim go obrzuciła szyderstwem. Gdy spoj-

rzal w te wyzywajace oczy, Lucyan doznał zawrotu glowy, opanował go szal jakiś.

— Rozmawiać? — zapytał — jak najchętniej, służę pani.

I podniósłszy się ujął ją pod rękę i pociągnął za sobą.

Siódma godzina rano biła na zegarze kościelnym i pomimo mgły i deszczu rozwidniło się już zupełnie, gdy Lucyan wysiadł z doróżki przed domem, ku ucieście kilku małych urwisów gapiących się na jego ubranie.

Otworzył drzwi kluczem, który miał w kieszeni i wślizgnął się do domu z trwogą, aby ktoś ze służby nie ujrzał go wracającego w tych szatach i o tej godzinie.

Przedpokój był jeszcze pusty; jak złodziej przekradł się do swej pracowni i zamknąwszy drzwi na klucz upadł znużony na sofę.

Już teraz wiedział co to było, owo życie półświata; i to przepędzając czas w ten sposób, zasługiwało się na nazwę człowieka dobrego tonu? Wspomnienie ubiegłej nocy sprawiło mu niewymowną przykrość, czuł się słabym po kolacyi, a szampań sprowadził mu zawrót głowy, w oczach miał pełno pyłu, a ta kobieta...

Od wczorajszego wieczoru był tak oszołomiony, że nie pomyślał nawet o Annie, a gdy jej słodka postać mignęła mu przed oczami, odpedzał ją jak natrętne widziadło. Ale teraz nie mógł już tak uczynić, za chwilę miał ją zobaczyć!

Ogarnął go dziwny smutek, ukrył twarz w dłoniach i zamyślił się głęboko. O jakże gardził sam sobą.

Przypomnił sobie jakim gorącym, wzniosłem uczuciem ukochał Annę! Jak pragnął aby należała do niego, a jednak nie śmiał zbrukać szaty jej niewinności nawet myślą płochą; a w dniu, w którym została jego żoną uściśnął ją w objęciach nie tylko z roskoszą kochanka, ale z głębokim szacunkiem i ojcowską niemal czułością!

Od tej chwili stała mu się coraz droższą; jeden dzień nie upłynął, żeby nie dała mu dowodu swego przywiązania, żeby wdziękiem swoim nie umiliła mu życia.

Czemże zasłużyła na to aby cierpieć? Czy serce jej nie pękłoby z bólu, gdyby dowiedziała się o dzisiejszem postępowaniu męża?...

O! ale ona tego nigdy wiedzieć nie będzie!...

Lekki szmer dał się słyszeć w przedpokoju. Lucyan przestraszony zaczął się szybko rozbierać, a gdy już przywdział codzienne ubranie, otworzył drzwi z klucza. Przechodząc spojrział machinalnie w lustro i przeraził się bladeścią swej twarzy.

Ruch zaczął się w domu i Lucyan czuł, że za chwilę musi stanąć przed obliczem tych, co go kochali i szanowali... To go tylko uspokajało, że pani Orliet była właśnie w Mantes, bo wiedział dobrze, że przed jej wzrokiem nic się nie ukryje. Zbierając całą odwagę, przeszedł szybko salon i udał się do swego gabinetu,

Chciał co prędzej obmyć z siebie pył i kurz, nagromadzony przez noc całą. Odkręcił kran marmurowej umywalni, a gdy strumień zimnej wody orzeźwił jego znużone ciało, zdawało mu się, że się budzi z jakiegoś przykrego snu.

Z gorączkowym pośpiechem gładził włosy i brodę, a gdy się skropił wonią fijołków, którą tak lubiła Anna, był znowu panem siebie i zwolna wszedł do pokoju żony.

Młoda kobieta leżała jeszcze w łóżku zaslanem błękitnym atlasem i koronkami. Spać tylko co się przebudziła, gdyż jeszcze mróżyła oczy na światło dzienne.

— Jesteś nareszcie Lucyanie — ozwała się — czekałam na ciebie tak długo, aż do czwartej rano....

On pochylił się aby ją pocałować, lecz już blisko ust zawałał się w mgnieniu oka i Anna przyciągnęła go obejmując rękami za szyję.

Wyprostował się z miną niezadowolnioną.

— Dla czego czekałaś na mnie? — odrzekł — uprzedziłem cię przecie, że wrócę bardzo późno.

— Stało się to mimowoli — odparła poprawiając się na poduszkach — gdy się położyłam nie mogłam zasnąć i zaczęłam czytać książkę... ale była taka nudna! Czy wrócisz późno?

— Nie tak bardzo... ale już spałaś...

— Nie słyszałam cię wchodzącego musiałam spać mocno.

— Bardzo mocno, i nie chciałem się budzić!

Lucyan nie kłamał nigdy, to też zmiesza się gdy pogodny wzrok żony spoczął na jego twarzy. Ale zdawało mu się, że nie może wyznać szczerze o której wrócił do domu.

— Cóż bawiłeś się dobrze? — spytała Anna, odgarniając włosy, które nieposłuszne wiły jej się po twarzy.

— Bardzo dobrze. Kostiumy były tak piękne...

— A te kobiety Lucyanie, powiedz mi co o nich?

— Ba! — odparł młody człowiek patrząc z roztargnieniem w okno.

— Opowiesz mi to wszystko przy śniadaniu. A teraz bądź łaskaw zadzwonić aby mi przyniesiono małą.

Romanet pociągnął za sznurek od dzwonka. Był jak na mękach, ciągle lękał się aby się nie zdradzić jakim nierozważnym słówkiem.

— Gdzieś ty noc przepędził?—spytała go nagle Anna—nie spałeś tutaj..

Gdyby piorun upadł u nóg Lucjana, nie byłby go tak przeraził, jak to zapytanie uczynione w prostocie ducha. Spojrzał z trwogą na żonę, ale w jej oczach wyczytał tylko czuły niepokój, że ten uwielbiany małżonek nie chcąc jej budzić, spał porzucony niewygodnie na jakim fotelu.

— Mam przecież miękką sofkę w pracowni — rzekł wymijająco i jest mi na niej bardzo wygodnie.

Anna zrobiła niezadowolnioną minkę wzruszając ramionami.

— Czyż nie było lepiej przyjść tu po prostu do sypialni! Jeśli spałam mocno, nie byłabym się przebudziła....

Rozmowę przerwało wejście mamki z dzieckiem.— Dziecina nadstawiała różową i uśmiechniętą buzię ojcu i Lucyan musiał się pieścić z nią jak zwykle. Lecz zdawało mu się, że jego skalane usta nie powinny dotykać dziecięcia.

Nakoniec zabrano Ludwisę i Anna wyprawiła męża do jadalni obiecując tam przyjść niezadługo,

— Muszę się zabrać do pracy—rzekł sobie Lucyan—jest to jedyny środek ratunku.

Przeszedł więc do pracowni, lecz po jakimś czasie rzucił pędzle z niechęcią; nie był w stanie dziś nic naszkicować. Ubrał się i wyszedł na miasto, sądził, że świeże powietrze orzeźwi go jakoś.

Lecz myśl, że za dwie godziny spotka się z Anną przy drugim śniadaniu i że ona znów go niemiłosiernie badać będzie, nie dała mu pokoju. Trzeba oduczyć Annę tej niepotrzebnej ciekawości, przecież mąż nie wszystko może żonie powiedzieć. Wszak nie popełnił nic złego, inni postępowali tak samo, a żaden nie czuł wyrzutów sumienia. I Lucyan nie przestał kochać żony, owszem stała mu się jeszcze droższą, ale chciał się bawić jak inni.

Na wspomnienie jak pierwszy jego występ w tym świecie powiódł mu się doskonale, uśmiechnął się z zadowoleniem. Widać, że to nie było arcy trudną rzeczą. Ożenił się z miłości to prawda, ale nie mógł być całe życie przyszytym do spódnicy żoninej; mężczyzna powinien coś uczynić dla opinii w modnym świecie. Inaczej wyśmieliby go niezawodnie, a nawet już go wyśmiewali; przecież ta kobieta wyznała mu to w oczy. O, ale teraz już się wyemancypował.

Chcąc się utwierdzić w tych dobrych zamiarach, nie wrócił do domu na śniadanie. Wszedłszy do restauracji,

napisał do żony bilecik, prosząc, aby nie czekała na niego ze śniadaniem.

Z wybornym apetytem zjadł śniadanie, następnie udał się na jakąś wystawę, a spojrzawszy na zegarek i widząc, że jeszcze wcześniej na obiad, skręcił na bulwary. Tam spotkał znajomych, po większej części tych, co byli na wczorajszym balu; wszyscy wieszowali mu świetnego powodzenia. Lucyan udawał skromnego, lecz oczy mu świeciły radością wewnętrzną, tak, że niektórzy zaczęli znów podżartowywać z jego uszczęśliwienia.

Dopiero Jalbrun pociągnawszy go za sobą, wybawił go z trudnego położenia.

— Już teraz należysz do naszego kółka, — rzekł mu — odtąd wszędzie mile widzieć cię będą.

Lucyan zarumienił się pod jego spojrzeniem.

— Musisz być zadowolony z siebie — dodał Jalbrun — i teraz nie potrzebujesz już mojej opieki.

— Dla czego?—spytał Romanet.

— Bo widzę, że sam dasz sobie radę,—zakończył przyjaciel..

Jednakże godzina obiadu się zbliżała i Lucyan choć niechętnie musiał wracać do domu. Wybierał z umysłu jak najdłuższą drogę, ale w końcu doszedł przecie i zasiadł z żoną do stołu.

Anna była wesoła; zaledwie uczyniła mężowi lekką wymówkę, że nie wrócił na śniadanie i zaczęła go wypytywać o wczorajsze kostyummy. Ale Lucyan nic już nie pamiętał.

— Czy być może?—zapytała zdziwiona.

— Nie rozumiem tej ciekawości—odparł szorstko Lucyan—co cię mogą obchodzić istoty o tyle niższe od ciebie. Doprawdy, kobiety teraz cenić się nie umieją, radeby wiedzieć jak się czesze i ubiera ta lub owa, chociaż nią pogardzają w głębi duszy.

Anna zachmurzyła się jak połajane dziecię.

— No więc, opowiedz mi cośkolwiek o mężczyznach Lucyane, to już nie będzie nieprzyzwoite. Jak był ubrany Jalbrun, albo ten twój przyjaciel, który maluje zawsze rude kobiety przed zwierciadłem?

— Bolała mnie głowa strasznie, tylko nie chciałem ci rano nic o tem mówić,—odparł Lucyan z niechęcią. — Nie pamiętam więc nic a nic oprócz jakiegoś chaosu. Jeśli chcesz szczegółów, zapytaj o nie Jalbrun'a, on ci to opowie lepiej odemnie.

Anna zarumieniła się gwałtownie; miałaby pytać Jalbrun'a o to, czego mąż własny nie chce jej opowiedzieć? O! woli stokroć nic nie wiedzieć o tym balu. Zresztą to co przeczyta w gazetach, będzie dla nie wystarczającej.

— Musisz się dziś wcześniej położyć — ozwała się po chwili pieszczotliwie, zwracając na inny przedmiot rozmowę. Może trochę pogramy i pośpiewamy, dobrze?

— Muszę wyjść — odrzekł Lucyan — niezadługo wrócę, ale w każdym razie nie czekaj na mnie.

— A ja sądziłam, że przepędzimy dzisiejszy wieczór razem — rzekła Anna z żalem.

— Bardzo mi przykro moja duszko, ale mam ważny interes...

— Czy jaki obstalunek?

— Prawdopodobnie...

— Idź więc — westchnęła młoda kobieta.

Gdy po obiedzie poszedł wypalić cygaro do pracowni, sam nie wiedział czy iść lub nie do tej kobiety, z którą się poznał wczoraj? Ale obawa narażenia się na śmieszność popchnęła go naprzód, a przytem trzeba było okazać się grzecznym dla tej kobiety co mu zabawę uprzyjemniła, jak również doręczyć jej klejnot, który kupił przed południem jeszcze. Zawsze spotkał ją w towarzystwie nie na ulicy, nie mógł więc okazać się grubijaninem.

Około dziesiątej ubrał się i wyszedłszy kazał się zawieźć pod wskazany adres.

Jego wczorajsza kochanka nie była sama, kilku mężczyzn grało w karty śmiejąc się i rozmawiając swobodnie. I dla tej to kobiety wyrzekł się całej uczciwej przeszłości, żeby się chociaż w niej pokochał, miłość ta usprawiedliwiłaby go, lecz ciągnęła go tam tylko fantazya, kaprys chwilowy.

Ogarnął go wstręt jakiś i chciał wyjść stąd jak najprędzej: Kobieta wyczytała to z jego twarzy i z właściwą sobie zręcznością wciągnęła go w rozmowę, a widząc że wyciąga z kieszeni jakieś pudełko, powstrzymała go nakażującym ruchem ręki.

— Pan zostajesz? — spytała.

Miał chęć odpowiedzieć nie, lecz w czarnych oczach kobiety wyczytał tyle rokosznych obietnic, że nie miał siły ich się wyrzec. Przekonał się, że czary zakazanych rokoszy nie można wychylić od razu i że kto raz z niej zakosztuje musi już wypić ją do dna.

Został więc aż do trzeciej rano, a gdy wyszedł, był jak pijany; od tej chwili stał się niewolnikiem zwierzęcej swej namiętności.

Gdy wrócił do siebie, nie uczył już wyrzutów sumienia, zawiadnął nim tylko gniew przeciwko więzom rodzinnym, które go tak krępowały.

Wszedł śmiało do pokoju żony; mało go to obchodziło czy ją przebudzi lub nie; wszakże jest panem u siebie,

i nie ma potrzeby zdawać rachunku ze swego postępowania.

Przy bładem świetle nocnej lampki, Anna spała spokojnie. Na szelest spowodowany wejściem męża, na wpół otworzyła ociężałe powieki, lekki uśmiech roschylił jej usta, usiłowała wyciągnąć do niego rękę, lecz sen zmorzył ją i znowu zamknęła oczy.

Biedna Anna nie знаła jeszcze co to cierpienie, co noce bezsenne spędzone w łzach i tęsknocie. Sen jej był głęboki i spokojny jak sen dziecięcia.

Gdy się Anna przebudziła, Lucyan cofnął się strwożony; jakżeby mógł teraz, po tamtych ustach całować usta żony?

Wśród gwałtownych rokoszy, jakich kosztował od wczoraj, nie pomyślał o tem wcale. Czynił tak jak drudz, czyż to niedostateczne usprawiedliwienie? Ale teraz gdy nienasycony dniem dzisiejszym, rozgorączkowany oczekiwaniem jutra, znalazł się w obec żony kochanej i szanowanej, poczuł, że nie mógłby jak inni mężowie kłamliwemi obdarzać ją pieszczotami, gdy pocałunki tamtej kobiety paliły mu jeszcze usta.

Zadrzał na wspomnienie tamtej, którą opuścił przed chwilą i zapytał się, coby uczynił, gdyby nagle rozbudzona Anna spytała go: „Co za woń nieznaną przynosisz z sobą?“

A gdyby odgadła straszną prawdę? gdyby słusznie oburzona zawołała: „Odejdź stąd nieszczęsny, idź tam, skąd wracasz!“

Na szczęście Anna spała mocno.

— Cóż to za męka — pomyślał — nie, tak być dłużej nie może!

Zaczął się zastanawiać szukając sposobu wyjścia. Najłatwiej było wyrzec się tej kobiety, która zmaciła mu spokój i szczęście; lecz na to nie miał siły.

Podrażnione zmysły buntowały się przeciw temu postanowieniu. Trzeba raczej usunąć żonę, a mając wolność użycia, kto wie, może zbrzydzi sobie wprędce to, czego teraz tak usilnie pragnie?

— Jutro wyślę Annę z dzieckiem do Mantes — rzekł sobie.

Uspokojony tem postanowieniem, położył się, wdychając do jutra, do tego jutra, które uczyni go wolnym i wkrótce zasnął snem kamiennym.

— Doprawdy?—zapytała z trwogą młoda matka.
Lucyan poczuł wyrzut sumienia, ale za daleko zabrnął już, aby się cofać.

— Wydaje mi się jakby nie swoją, — dodał potwierdzając swoje kłamstwo.

Anna uwierzyła mu, chociaż wesoło uśmiechnięta buzia dziecięciny zaprzeczwała temu twierdzeniu.

— Jedźcie więc obie — mówił dalej — a ja jak tylko skończę przyjadę po was i pozostanę u matki czas jakiś.

— Przyjedziesz? wkrótce? w tym tygodniu?
Lucyan skinął potwierdzająco głową.

— A więc będę ci posłuszną—westchnęła—Ludwiniu, ucałuj tego niedobrego tatusia, który nas wysyła z domu...

Ojciec ucałował z rostargnieniem pulchne rączki wyciągające się do niego z miłością.

— Będiesz dziś więc sam obiadał. Może ja dopiero jutro pojedę?—rzekła Anna wahająco.

— A jeśli jutro deszcz będzie padał, to jakże pojedziesz z dzieckiem?

Anna miała na ustach odpowiedź, że nie ma przecież konieczności wyjazdu, lecz zimny jakiś blask w oczach męża powstrzymał ją bezwiednie.

— Dobrze więc, pojedę—rzekła.
Gdy Lucyan pozostał sam, winał sobie z ręczności z jaką doprowadził do skutku plan zamierzony.

Anna była smutną, gdy przyszła się z nim pożegnać, ucałowała go czule i wyprawivszy mamkę z dzieckiem do przedpokoju spytała go pieszczotliwie:

— Nie jedziesz więc stanowczo?

— Wiesz, że to niepodobna—odparł niecierpliwie.

— Powiedz słówko, to i ja zostanę, po co mam jechać?...

— Jeśli nie masz chęci jechać moja duszko, trzeba to było powiedzieć, teraz zaś nie narażaj się na śmieszność w obec służących...

— I ty tak do mnie mówisz?—zapytała Anna niemal z trwogą.

Lucyan rzucił paletę i ujął ją w objęcia.

— Nie bądź dzieckiem — rzekł — wiesz że nie lubię egzaltacyi. Wybrałaś się i znowu chcesz zostać, to śmieszne; uściskaj mnie i śpiesz się bo się możesz spóźnić na pociąg.

— O nie! wybrałam się dość wcześniej—odparła Anna smutnie.

Lucyan zabrał się gorliwie do roboty.

— Do prędkiego zobaczenia,—dodała młoda kobieta.

— Za dni kilka najdalej....

— Bądź zdrow—rzekła jeszcze drzwi otwierając.

XII.

Nazajutrz obudził się bardzo późno. W tej chwili jasna główka Anny ukazała się w napół odemkniętych drzwiach.

— Wypałeś się chyba dobrze, szkaradny śpiochu! — zawołała wesoło—czy wiesz, że to już jedenasta godzina i słońce świeci przepysznie?

Lucyan nie mógł zebrać myśli i nie bardzo zdawał sobie sprawę gdzie się znajduje... W uszach brzmiał mu jeszcze głos inny...

— Anno!—szepnęła.
Anna trzymając dziecko na ręku, przysunęła się do ózka.

— Patrz, jaka dziś śliczna nasza panienska— rzekła — śmieje się i zbytkuje od rana, to chyba wpływ pogody!

Mówiąc to Anna odsunęła firanki, a słońce złotemi promieniami napełniło pokój. Lucyan rozbudzony zupełnie, przypomniał sobie wczorajsze projekta.

— Powinnabyś korzystać z pogody i jechać na dni kilka do matki; przejażdżka ta posłużyłaby zarówno tobie jak i Ludwisi...

— Doskonała myśl!—zawołała uszczęśliwiona Anna.— Kiedyż pojedziemy?

— Możesz jechać pociągiem o czwartej — odrzekł Lucyan.

— No a ty?—spytała zdziwiona.

— Ja muszę zostać. Od dni kilku próżnuję, a na dziś właśnie zapowiedziano mi wizytę jakiegoś bogatego amatora. Mam obraz na wykończeniu, może mu się podoba...

— O! to i mnie nic pilnego jechać zaraz do Mantes. Poczekam, aż będziesz mógł mi towarzyszyć.

— Czy i pogoda czekać na ciebie będzie?—dodał Lucyan usiłując się uśmiechnąć. A przytem zdaje mi się, że Ludwisia trochę pobladła.

Spodziewała się, że ją zatrzyma, że chociaż spojrzy na nią; bynajmniej, nie oderwał nawet oczu od obrazu.

— Do widzenia — wyrzekła stłumionym głosem na progu.

Skinął jej głowę, nie podnosząc oczu. W tej chwili pogardzał sam sobą, a jednak za nic w świecie nie byłby ją zatrzymał.

Wkrótce turkot oddalającego się powozu doszedł do uszu Lucyana; zdawało mu się, że ciężar jakiś spadł mu z serca. Nie, dłużej żyć wśród tego kłamstwa i walki nie potrafiłby z pewnością, teraz przynajmniej może wychodzić i wracać kiedy mu się podoba.

— A nuż Anna spóźni się na pociąg — rzekł sobie — nie cieszymy się przed czasem.

Zaczął się ubierać patrząc niecierpliwie na zegar, a gdy tenże wybił w pół do piątej, Lucyan nie obawiając się już powrotu żony, wybiegł szybko z domu.

Wsiadł w powóz i kazał się wieść do t a m t e j. Kobieta przyjęta go źle bardzo, była podrażniona, gdyż krawcowa zepsuła jej suknię, a piesek faworyt zachorował. Lucyan musiał wysłuchać lajań i narzekań, które go bawiły jak każda nowość i wreszcie namówił ją, aby z nim poszła na obiad.

Był tak zadowolony z siebie jak dziecię, które robi wbrew rozkazom rodzicielskim. Owo zakazane jabłko, choć mocno nadgnięte, smakowało mu lepiej niż świeża leśna jagoda.

A gdy wieczorem poszedł do teatru po raz pierwszy w życiu z inną kobietą, nie ze swoją żoną, ogarnęło go uczucie dumy. „Już teraz jestem człowiekiem dobrego tonu“ rzekł do siebie.

Przytem kochanka jego była dosyć przystojna, figurę miała zręczną, wzrost piękny, a twarz odświeżona kosmetykami, ludziła pozorem piękności. Strój odpowiednio dobrany podwyższał trochę już wędnące wdzięki. Mógł się więc nią poszczycić, ponieważ w świecie eleganckim rzecz taka przynosi mężczyźnie zaszczyt.

Tej nocy Lucyan wcale nie wrócił do domu. Nie dbał o zachowanie pozorów w obec służby. Zmartwiłby się, gdyby Anna dowiedziała się prawdy, lecz nie uczynił nic, aby ją ukryć przed jej wzrokiem. Oburzał się na myśl, że ktoś mógłby zganić jego postępowanie. Czyż robił co gorszego jak drudzy?

Kobieta, która go pociągnęła ku sobie, szydziła z niego niemilosiernie, przezywając go: nowicyzmem, cherubinkiem i t. d., wysmiewała się z najświetszych uczuć rodzinnych, a Lucyan słuchał tego z zimną krwią; bywały chwile, że lepsze jakieś uczucie budziło się w nim, chwycił

wtedy kapelusz i chciał uciekać; ale jedno spojrzenie tych czarnych, palących oczu przykuwało go znów do tej kobiety, bez której już by żyć nie mógł.

Właściwie Lucyan nie rozmiłował się w kobiecie, jak raczej w tym rodzaju życia. Wszystkie zwierzęce instynkta stłumione surowym wychowaniem, wybuchnęły teraz gwałtownie; ogarnęła go niepohamowana żądza schylenia się do tej kałuży ludzkich namiętności, w której nie jeden utopił honor i zdrowie.

Bywał teraz wszędzie, gdzie tylko się bawicno wesoło. Nie pracował wcale. Do pracy trzeba ręki pewnej i trzeźwego umysłu, ci co chcą żyć dla pracy lub z pracy, muszą się strzedz wszelkich nadużyć; ta wszechwładna pani nie cierpi podziału.

Lucyan nie zaglądał nawet do pracowni, nie jadał, nie spał w domu, przychodził jedynie przebrać się i uciekał co prędzej, szukając zgiełku i wrzawy; nie mógł teraz ani chwili pozostać sam ze swojemi myślami.

Tymczasem listy od Anny przychodziły regularnie codziennie. Młoda matka pisała o zdrowiu córeczki, o ogrodzie zapelniającym się skrzydlatą rzeszą ptasząt, o wyspie okrywającej się zielenią, a w końcu powtarzała niezmiennie pytanie: „Kiedyż przyjedziesz, najdroższy? Porzuc niedokończony obraz i przybądź do tych, co czekają na ciebie z utęsknieniem.“

Romanet odpowiadał jej telegramem; ten rodzaj korespondencyi bardzo mu przypadł do gustu.

Jednak ten stan rzeczy nie mógł trwać wiecznie. Lucyana dziwiło to, że Anna nie wspomina o powrocie; zaczęła być nawet trochę niespokojny.

I rzeczywiście, przed baczem okiem pani Orliet, nie ukrył się długo smutek Anny, jakkolwiek ta ostatnia siliła się na dobry humor i wesołość; zwolna jednak przyznała się matce, że Lucyan był teraz taki zajęty, że rzadko bywa z nią w świecie: że nieraz dzień cały go nie widziała!

Wśród tych zwierzeń przyszło młodej kobiecie na myśl, że może niesłusznie obwinia ukochanego i zamilkłą nagle zastanawiając się nad tem, co za powód skłonił Lucyana, aby ją wysłał do Mantes?

A może miał się pojedynkować? Myśl ta lodem ścięła jej krew w żyłach. Tak, nie mogło być nic innego jak pojedynek; pewno posprzeczał się z kim na tym nieszczęsnym balu i teraz bić się będzie. Nie zdolna ukryć dłużej łez cisnących się jej do oczu, wymówiła się silnym bólem głowy i udała się do swojego pokoju. Noc całą nie zmrzyla oka, rano wysłała list do Lucyana, oczekując w śmier-

Pan Romanet 19. — *Bodatek do Kurjera Godziennego.*

telnej trwodze odpowiedzi; wieczorem przyszedł telegram od męża i biedna kobieta odetchnęła.

Upłynął tydzień, a Lucyan nie przyjechał. Pani Orliet potrosze domyślała się prawdy, podejrzewała Lucyana, że chce użyć trochę swobody, lecz nie sądziła, aby rzeczy zaszły zbyt daleko.

Sądziła, że młody człowiek zatęskni wkrótce za żoną i dzieckiem, lecz jakże srodze się omyliła.

— Muszę wracać już do Paryża — ozwała się dnia jednego Anna głosem na pozór spokojnym — widać Lucyan nie może po mnie przyjechać.

— Nie czyń z tego bez jego wiedzy — odrzekła żywo matka — Lucyan musi mieć powód jakiś jeśli cię nie wzywa do domu.

— Cóż to może być, o czem ja bym wiedzieć nie mogła? — spytała podrażniona Anna.

— Chce ci pewno oszczędzić jakiej przykrości, może zaciągnął nieogłędnie dług jaki i nie wie, jak się z tego wyplatać... może poręczył za którego z przyjaciół...

Pani Orliet jak mogła starała się usprawiedliwić zięcia i skłonić córkę, aby pozostała w Mantes. Jakby na przekór zaś, matka Lucyana przyszedłszy odwiedzić synowę, którą serdecznie kochała, zaczęła nakłaniać ją do powrotu, twierdząc, że tak długa rozłąka między młodem małżeństwem nigdy na dobre nie wychodzi.

Biedna Anna, była między młotem a kowadłem. Narzeczcie pani Orliet chcąc położyć koniec tej męce, wymyśliła sobie jakiś interes i pojechała do Paryża.

Zięcia nie zastała w domu, a nawet kucharka dodała, że pan wcale teraz w domu nie jada.

Pani Orliet rozkazawszy przygotować sobie śniadanie, przeszła do pokoju córki, aby stamtąd zabrać kilka firanek, o które prosiła ją Anna.

Pokój nosił na sobie cechę opuszczenia i zaniedbania, łóżko było nietknięte śnać oddawna, bo pył grubą warstwą pokrył błękitny atlas i piękne koronki.

Był to dowód oskarżający dostatecznie Lucyana i pani Orliet zrozumiała, dla czego mąż nie wzywał żony do siebie, ten martwy przedmiot wytłomaczył jej to aż nadto jasno.

Biedna Anna obawiała się pojedynku, robiła najszałeńsze przypuszczenia, lecz myśl zdrady nie powstała w jej głowie. Wyobrażała sobie męża z piersią przeszytą kulą lub mieczem, ale nigdy w objęciach innej kobiety!...

Gdy pani Orliet boleśnie dotknęła, szukała myślał współniczki winy, drzwi otworzyły się z trzaskiem i w progu ukazał się Lucyan; ale jakież zmieniony! Schudł i zmi-

zerniał okropnie; zapadłe oczy świeciły jakimś gorączkowym ogniem, zdradzając bezsennie spędzone noce.

Zadrżał ujrawszy przed sobą panią Orliet.

— Kto jest ta nędznica? — spytała go pani Orliet głosem stłumionym od zbyt dużego wzruszenia.

— O kim pani mówisz? — odrzekł wyniośle Lucyan cofając się do pracowni.

Pani Orliet udała się za nim. Romanet był tak wzburzony, że nie mógł zdobyć się na słowa. O! bo też to był dzień fatalny dla niego. Kochanka odprawiła go z kwitkiem, bo już zaczął ją nudzić, a nie był o tyle bogaty aby stać się dlań łakomym kąskiem, pożądaną zdobyczą.

Zresztą szło tylko o to, aby Lucyana oderwać od żony; dokazawszy tego, kobieta pokazała mu drzwi, po prostu. Pobawiła się nim i odepchnęła, coby z nim dłużej robić miała. Był za ubogi na to, aby pragnęła przykuć go do swego rydwanu.

Romanet wybiegł od kochanki jak szalony. Wszystkie złe skłonności obudzone a nie zaspokojone, szarpały jego duszę.

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, Lucyan wspominał żonę. Biedna Anna! Może napisać do niej aby przyjechała? Nie miał chęci jechać do Mantes, myśli, że wypytywano by go jak czas przepędził, odejmowała mu odwagę, ale ujrzeć Annę krzątającą się znów przy domowym ognisku, byłoby dla niego rzeczą nader przyjemną.

Chciał wstąpić do biura telegraficznego i przesłać jej tylko jeden wyraz: „Przyjeżdżaj“ lecz zły duch jakiś szepnął mu do ucha: „Chcesz aby się wyśmiewano z ciebie, iż po kilku dniach wesołego, kawalerskiego życia wrócisz znów pod pantofel żony?“

Nie, nigdy, za nic w świecie nie narazi się na taką śmieszność, alboż to mało kobiet w Paryżu? Odpędziła go jedna, znajdzie z łatwością dziesięć na jej miejsce

Ogarnęła go chęć zemsty, gotów był wyzwąć na pojedynkę każdego, kto by się ośmielił żartować z niego. Rozgorączkowany wrócił do domu i na progu pokoju Anny, do którego nie zajrzał od jej wyjazdu, spotkał teściową.

Czyżby przyjechała w chęci strofowania go i nagięcia znowu pod jarzmo małżeńskich obowiązków. O, przekona się, że to nie tak łatwa sprawa!

Po chwilowym milczeniu Lucyan zaczął pierwszy:

— Powiedz mi pani, co znaczy ten nadzór nad moimi czynnościami; czy mi nie wolno robić, co mi się podobaba? Zaden mąż nie siedzi tak pod pantoflem jak ja, niech no tylko kwadrans spóźnię się na obiad, muszę się zaraz z tego wypowiadać. Ale dłużej tak być nie może! Chcę

być panem siebie i swego czasu. Dla czego śledzisz mnie pani?

— Nie przyjechałam w zamiarze śledzenia pana — odparła spokojnie pani Orliet — lecz porieważ pobyt mej córki u mnie przedłużył się znacznie, Anna potrzebując niektórych drobiazgów, chciała po nie przysłać swoją pannę służącą, ja więc ofiarowałam się jechać sama, bojąc się niepotrzebnej gadatliwości służącej.

Lucyanowi krew uderzyła do głowy. Pani Orliet mówiła dalej:

— Ten powód mógłby mi posłużyć za ostateczne usprawiedliwienie w oczach pana; lecz jestem zawsze szczerą i powiem panu otwarcie, że nie poniżając się do śledzenia go, chciałam dowiedzieć się z twych ust, z jakiego powodu oddaliłeś od siebie żonę i dziecko. Teraz już nie żądam żadnego tłumaczenia, wiem wszystko....

— Nie zapieram się niczego — odparł Lucyan zimno.

Był to cios tak nieprzewidziany, że pani Orliet zadrdzała widząc rozsypujący się w gruzy gmach szczęścia córki.

— Czy Anna dała ci jaki powód niezadowolenia? — spytała po chwili bolesnego milczenia.

— Żadnego — odparł szczerze Lucyan.

— A więc, chyba postradałeś pan zmysły! — zawołała nie mogąc dłużej zapanować nad sobą.

— Bynajmniej — rzekł gwałtownie — tylko nie chcę dłużej być śmiesznym; chcę używać życia, tak jak to robią wszyscy mężczyźni w moim wieku. Nie myślę siedzieć jak dotąd przy spódnicy żony.

— Trzeba było używać swobody przed ślubem nie teraz — odrzekła chłodno pani Orliet.

— Gdybym był podobny do innych młodych ludzi, nie byłabyś pani wydała za mnie córki.

— Co za egoista z pana — odpowiedziała pani Orliet —

Nie zniosłbyś, gdyby ci odmówiono ręki młodej dziewczyny, a teraz gdy się ziściły twoje pragnienia, dla chwilowego kaprysu nie wahasz się zakrwawić serce żony.

— Nie działałem z takim rozmysłem — zawołał młody człowiek. — Jest to krzycząca niesprawiedliwość posądzać mnie o to, myśl moja wtedy była wyłącznie Anną zajęta!

Pani Orliet przekonała się, że wszelkie rozprawy na nic się nie zdadzą i zamilkła. W tej właśnie chwili kucharka oznajmiła im, że śniadanie podane.

— Musimy dla zwalenia pozorów zjeść śniadanie razem — dezwiała się zwolna pani Orliet — choć dla nas obojga nie będzie to rzeczą arcyprzyjemną.

Przeszli do jadalnego pokoju, lecz łatwo się domyśleć

można, że apetyt nie dopisał im wcale, a tembardziej rozmowa.

— Wracam natychmiast do Mantes — rzekła pani Orliet i gdybyś pan rzekł tylko słówko, Anna przebaczyłaby ci z łatwością; ona cię tak kocha!...

Duma Lucyana oburzyła się na te słowa.

— Nie potrzebuję przebaczenia — rzekł — już raz powiedziałem, że chcę być panem mojego postępowania. Jeśli Anna pragnie wrócić, powitam ją z radością, ale trybu życia nie zmienię. Wszyscy mężowie żyją w ten sposób a żony nie gniewają się o to....

— I bardzo źle robią, odparła poważnie pani Orliet; zresztą te żony o których pan mówisz udają zapewne, że nie wiedzą wcale o wybrykach mężów, ale Anna jest zbyt szczerą i szlachetną, aby potrafiła udawać... zapomniałeś pan o tem....

— Żona moja może robić, co jej się podoba — odparł Lucyan. — Daję jej zupełną swobodę działania.

— A zatem żegnaj pana — dodała pani Orliet otulając się płaszczkiem.

— Najniższy sługa — odrzekł dopomagając jej zejść ze schodów.

Dziwne zaiste jest serce ludzkie, przed godziną Lucyan pragnął powrotu żony; teraz zaś myśl tę odsuwał ze wstrętem.

Zostawszy sam rzucił się na szeslong w pracowni, i ze zwykłą w takich razach przewrotnością wytłomaczył sobie że powodem rozdwojenia między niemi jest jedynie bytność pani Orliet.

— Gdyby nie ona, gdyby nie jej nieogłędne wymówki, Anna powróciłaby do domu, — myślał. — Ale nie ma tego złego coby na dobre nie wyszło, jestem wolny, wolny jak ptak....

Zdrzemnąwszy się trochę, zaczął się szybko ubierać i wyszedł z domu szukać jakiego miłego towarzystwa.

Ale nic nie mogło pocieszyć Anny; napróżno matka mówiła jej o dziecięciu, do którego prędzej czy później Lucyan zatęsknić musi, o wrodzonych przymiotach jego charakteru, które w końcu zwyciężą ten chwilowy obłęd; serce Anny zranione, zbolełe, nie mogło utulić się prędko. Gdy matka namówiła ją, aby się położyła do łóżka, łkała jeszcze przez sen, jak dziecię rozżalone, a biedna matka niejedną także łzę nad nią wylała.

Nazajutrz rano, matka Lucyana przyszła, aby dowiedzieć się cośkolwiek o synu. Pani Orliet nie chciała powiedzieć jej prawdy, zaczęła więc opowiadać długo o zabawach w Paryżu, dodając, że Lucyan mało pracuje; bo dużo się bawi, a nie chcąc pozostawiać żonę samą w domu, prosił by jeszcze czas jakiś w Mantes zabawiła.

Pani Romanet nie wiele co z tego zrozumiała, nie zauważyła także czerwononych oczu synowej, która siadła umyślnie w półcieniu; zadowolniła się jednak tem, że Lucyan zdrów i wesół.

Lecz gdy przyszedłszy do domu, chciała powtórzyć mężowi czego się dowiedziała, spostrzegła się dopiero, że właściwie nic nie wie.

— P. ni Orliet zażartowała sobie z ciebie, moja duszko—rzekł pan Romanet—w tem coś jest, pójdę ja sam się zapytać.

I wzięwszy laskę i kapelusz wyszedł natychmiast.

Pani Orliet spodziewała się tej wizyty, przyjęła go więc bardzo uprzejmie.

— Co to się dzieje?—rzekł po przywitaniu siadając,—żona mi tam coś opowiadała o Lucyanie, ale jak honor kocham, nic a nic tego nie rozumiem.

— Nie miła to bardzo kwestya—odparła — ale ponieważ nie jest to ani z mojej ani z pana winy, możemy o niej spokojnie pomówić.

— Wiem już o co chodzi — przerwał pan Romanet—ten nicpoń narobił pewno długów.

— Jeszcze nie, ale skończy się pewno na tem—odpowiedziała spokojnie pani Orliet. — Zanim uda się do ojca, wyczerpie wszelki możliwy kredyt.

— I pani tak zimno o tem mówisz—zawołał rozgniewany pan Romanet — jakby to była rzecz najmniejszej wagi.

Pani Orliet milczała, a notaryusz spojrzawszy na jej twarz zmienioną przeraził się okropnie i stłumionym głosem zapytał.

— Spodziewam się, że honor jego nie naruszony?

— Nie, chwala Bogu—odparła żywo pani Orliet.

Czwile milczeli oboje, nie śmiejąc spojrzeć na siebie.

XIII

— No i cóż, mateczko? — spytała drżącym głosem Anna, wybiegając naprzeciwko matki.

— Nic, moje dziecię, trzeba tylko mieć trochę cierpliwości — odrzekła uspakajająco matka.

Ta wymijająca odpowiedź nie wróżyła nic dobrego; a choć przez trzy lata małżeńskiego pożycia Anna nauczyła się cierpliwości, niemniej serce jej zabiło niespokojną trwogą. Czekala jednak, dopóki nie oddaliła się służba, a wtedy nie zmuszając się dłużej do udawania, spytała złamanym głosem:

— Powiedz mi całą prawdę, mateczko? Lucyan przestał mnie kochać?

— Ależ bynajmniej, zaprzeczyła matka, tylko ogarnął go szal jakiś, wpadł w złe towarzystwo... i bawi się. Widzisz, mężczyźni są wszyscy jednacy, potrzebują koniecznie zadowolnić swe namiętności... to im zaszczyt przynosi...

Wyrzekłszy te słowa pełne goryczy, pani Orliet zatrzymała się i dodała łagodniej.

— Ja sędzę, moja Anusiu, że mężczyźni są jak ów kruszec szlachetny, który się przez ogień oczyszcza; i oni też gdy ogień namiętności wypleni kąkol z ich duszy, gdy młodość burzliwa wyszumi, stają się najszlachetniejszymi, najlepszymi ludźmi...

Anna ukryła twarz na łonie matki, a łzy powstrzymane długo, płynęły zwolna po jej licu.

— Matko! — szepnęła w końcu,— szczęście moje stracone już na zawsze!

— Nie godzi się mówić takich rzeczy w twoim wieku,—upomniała ją matka.—Miej nadzieję, że po tej burzy, szczęście wasze promienniejszem się stanie.

— Już teraz jestem gotów usłyszeć wszystko, — odezwał się pan Romanet ocierając zimny pot z czoła.

— Stało się to, na co świat nie bardzo uważa, ale co w naszym przekonaniu jest strasznie... Lucyan porobił złe znajomości...

— Kobiety! — zawołał grzmiącym głosem notaryusz. — Al! niegodziwiec! Masz rację, kochana przyjaciółko, że straci majątek na kochanki!

— Mójmy nadzieję, że ten chwilowy kaprys przemienie — rzekła łagodnie pani Orliet.

— Tak pani sądzisz? — spytał głuchym głosem Romanet.

— Sądzę, że jest zbyt szlachetnym aby się miał nie upamiętać — odparła pani Orliet, a oczy jej napelniły się łzami.

Ochłonawszy z pierwszego wrażenia, ojciec Lucyan uniósł się wielkim gniewem. Szybkiemi krokami zaczął chodzić po pokoju, a głos jego rozlegał się tak donośnie, że Anna siedząc w swoim pokoju na górze z dziecięcim uspięciem na kolanach, drżała jak listek z obawy o ukochanego.

Ol bo choć Lucyan zranił boleśnie jej duszę, biedna kobieta kochała go zawsze jednak i cierpiała, wyobrażając sobie ten grad wymówek, jaki się sypał w tej chwili z ust ojca.

Ale Anna wybierając z dwojga złego, wolałaby już znieść ten wybuch gwałtownego gniewu niż zimną pogardę pani Orliet.

— I pani nic nie mówisz? — ozwał się nakoniec Romanet przystając przed panią Orliet, która w milczeniu a nawet z pewnym rodzajem zadowolenia, słuchała zarzutów potępiających Lucyan. — Zdaje się, że to panią powinno także obchodzić. A cóż Anna na to wszystko mówi?

— Anna cierpi bardzo, ale nie traci odwagi — odrzekła pani Orliet, — bo wie, że gdyby duma nie pozwoliła jej użyć się przed Lucyanem, my możemy coś dla niej uczynić.

— Masz pani słuszność! — zawołał notaryusz. — I co pani rzekłś temu nicponiowi?

— Nie wiele; zdaje się, że teraz jest w takim usposobieniu, że nie usłuchałby nikogo...

— Jakto? więc mamy mu pozwolić bałamucić się, trwonić majątek i udrećzać żonę?

— Posłuchaj mnie pan — rzekła spokojnie pani Orliet, sądzę, że najprędzej uda nam się nawrócić Lucyan, jeśli mu zostawimy zupełną swobodę teraz. Niech używa świata a prędzej przesyć się może.

— Tak, tak, tak, jeszcze czego. Mam mu pozwolić na głupstwa! Nigdy! Dla czego to on nigdy nie pomyślał o tem gdy był pod moją opieką. Ol bo ja trzymałem go krótko, mości dobrodzieju...

— Zbyt krótko — przerwa a mu pani Orliet. — Cóż pan spoglądasz na mnie z takim podziwieniem. Doszłam do tego przekonania od wczoraj. Przystawie mówi: młodość musi wyszumieć, a w przysłowiach leży mądrość narodów, mój przyjacielu. Nie mamy co już żałować tego co się stało, a odstać się nie może, lecz gdyby Lucyan był w tym świecie przed ożenieniem się, nie pragnąłby go teraz, a tem samem nie zmartwiłby nas tak okrutnie.

— Tak, a gdyby się był bałamucił, nie wydałabyś pani za niego swej córki! — zawołał Romanet, powtarzając bezwiednie zdanie syna.

— Byłam w błędzie — odparła. — Anglicy nazywają ten rodzaj życia: zawczesnym siewem, Francuzi mówią: spłacić dług młodości. Ale czy tak czy owak to nazwiemy, dojdziemy do przekonania, że każdy młody człowiek musi przejść przez ten burzliwy okres swego życia. musi wyszumieć koniecznie.

— A jeżeli w tej przepawie utraci najlepszą część swego istnienia? zdrowie, świeżość uczuć, honor i majątek? spytał drżącym głosem pan Romanet.

— Jeżeliby tak łatwo miał utracić godność osobistą, czyż nie lepiej, że ją poświęci wtedy, gdy nie dźwiga jeszcze na barkach żadnych obowiązków? Po cóż ma w otchłań pociągać niewiną, kochającą go kobietę?

Ży stłumiły głos biednej kobiety, a stary Romanet zapłakał także.

— Co tu robić? — zapytał po chwili.

— Trzeba czekać czas jakiś i zdać się na łaskę losu. Pan Romanet nie był tego zdania. Chciał odjąć Lucyanowi fundusze, twierdząc, że jak nie będzie miał za co hulać, zmiarkuje się prędko.

Rani Orliet z trudnością powstrzymała go od tego, nie chciała uciekać się do tak niskiego w jej oczach środka.

Po odejściu notaryusza, Anna zeszła do salonu. Oczy jej zaczerwieniły się od łez świeżo wylanych.

— Ojciec gniewał się bardzo, nieprawdaż? — spytała.

— Naturalnie — odparła niechętnie matka.

— Mamo, ja sądzę, że gdyby mu posłać Ludwinie, to może widok dziecka wywarłby wpływ zbawienny na niego... Bo choć mnie już nie kocha..., ale dziecinę kochać musi.

Łkając rzuciła się matce w objęcia.

Pan Romanet 21. — Dodatek do Kuryera Codziennego.

— Dziecina jeszcze jest za młoda, aby się mogła obejść bez ciebie—odrzekła matka obsypując ją pieśczołami.—Upewniam cię, że Lucyan cię kocha i że ujrzysz go niedługo żałującego u twoich nóg... To co go oddaliło teraz od ciebie, nie ma nic wspólnego z miłością...

Anna wstrząsnęła smutnie głową.

— Możnaż więc kochać żonę i jednocześnie romansować z kochanką?—spytała z bolesną ironią.

— Zdarza się tak w życiu, moje dziecko—odpowiedziała z powagą pani Orliet.

— Widać, że są różne rodzaje miłości — westchnęła młoda kobieta, bo co do mnie...

Nagle urwała, a gwałtowny rumieniec oblewający jej lica, dopowiedział to czego usta nie śmiały wyrazić.

Tak więc Anna, bez żadnych projektów układanych naprzód, pozostała w Mantes i zajęła swoje panieńskie mieszkanko.

Przedłużony jej pobyt u matki, wywołał niemałe zdziwienie w całym mieście. Naturalnie nie obyło się bez plotek i uwag złośliwych, lecz dzięki roztropnym radom pani Orliet, Anna ukazywała się wszędzie z twarzą tak pogodną, z taką swobodą mówiła o mężu, że wszystkie czczone gadaniny musiały ucichnąć.

— Zawsze coś w tem jest nieczystego — mówiły ciekawe istotki.

Lecz co? o tem nie prędko się dowiedziały.

XIV.

Po pamiętnej rozmowie z panią Orliet, Lucyan doznał takiego wrażenia; jakby nad jego głową oberwał się kawał muru, nie czyniąc mu przy tem wielkiej szkody oprócz ogłuszenia.

Poniekąd był nawet zadowolniony z takiego obrotu rzeczy; nie potrzebował bowiem pisać listów i wysyłać telegramów.

Przez cztery dni hulał i bawił się wyśmienicie wesołych kółkach, na których brak nie można uskarżać się w Paryżu. Chciał się zagłuszyć, aby wspomnienie żony nie przeszkadzało mu w używaniu swobody.

Jedno i toż samo towarzystwo nudziło go, przerzucał się zatem z jednego kółka w drugie, tak że znajomi żartowali z tej jego niestałości.

— Romanet nie robi nic przez pół,—mówili—był idealnym mężem, ale raz wyemancypowany żyje tylko zakazanemi roskoszami.

Po kilku dniach takiego rozerwanego życia, Lucyan uczuł się tak rozdrażnionym, że nie wiedział co z sobą robić. Wrócić do rodziny! broń Boże! Sama obawa śmieszności, przez którą tyle popełnił niedorzeczności, wstrzymała go od tego kroku.

Przyzwyczajony do pracy, znudził się wprędce tem bezcelowem życiem. Zaczął więc częściej zaglądać do domu, lecz wiała tu zewsząd taka pustka, służba tak się jakoś przez czas nieobecności pani rozpuściła, że Lucyan najmniejszej nie miał wygody.

Gdy jednego ranka, zły i niezadowolniony z całego świata wszedł do swej pracowni, spostrzegł na stoliku sporą paczkę listów, wcale nie opieczętowanych. Była to korespondencja, na którą Lucyan nie miał czasu odpowiedzieć; dotychczas wyręczała go w tem żona.

— Teraz muszę ja się sam z tem załatwić—powiedział sobie i zaczął przeglądać listy i bilety wizytowe.

Były tam zaproszenia na śluby, wesela i pogrzeby. Wszystko więc na świecie szło zwykłym porządkiem; tylko Lucyana życie dziwnie się jakoś zatrzymało w biegu, zdawało mu się, że już wieki upłynęły od nieszczęśliwych chwil małżeńskiego jego pożycia.

Otrząsnąwszy się z przykrej zadumy, Lucyan wysunął szufladę biurka, chcąc odpowiedzieć na niektóre listy i spojrzenie jego padło najpierw na karty wizytowe z takim napisem: „Lucyan i Anna Romanet.“

Uchwycił szybko jeden bilet i wsunąwszy go w kopertę położył na niej adres.

— Powinienbym może sam złożyć im wizytę—pomyślał—ślub młodej pary odbył się przed kilku dniami, mieliśmy zaproszenie, a ja nic o tem nawet nie wiedziałem. Ale cóż, gdybym poszedł spytanoby mnie o żonę, musiałbym kłamać...

Nie zastanawiał się nad tem, że i bilety kłamliwe posyłał w imieniu żony, która o niczem nie wiedziała.

Ta mała kartka brystolu wprowadziła go w bardzo zły humor; niecierpliwą ręką rozerwał jeszcze z tuzin kopert i przeczytawszy listy odpowiedział na nie pośpiesznie.

Gdy po godzinie tego niemilego zajęcia wstał od biurka, odetchnął swobodniej, zdawało mu się bowiem, że zerwał zupełnie z przeszłością.

Śniadanie nie smakowało mu wcale, za co kucharka dostała porządną burę, potrosze niesłusznie, gdyż Lucyan był w takim usposobieniu, że najwspanialsza uczta nie byłaby go zadowolniła.

Wróciwszy do pracowni rozłożył świeże płótno i zaczął malować tło jakiegoś, usiłując zmusić się do pracy.

Lecz czy to, że światło dnia tego było jakieś niesprzyjające, czy też niemile myśli go dręczyły, dość że praca nie szła mu dobrze.

Wiele już razy dręczyła go obawa niedostatku, którego dotąd nigdy nie zaznał. Lecz gdyby rozgniewany ojciec, odjął mu wyznaczoną pensję, co pocznie wtedy.

Duma nie pozwoliła by mu zniżyć się do prośby nawet w obec ojca, musiał więc zabrać się do pracy, aby uczciwie zarobić na swe utrzymanie,

A był już w ostateczności, dziś dał kucharce ostatniego luidora, a co będzie dalej? Wprawdzie był to koniec miesiąca i lada chwila mogły nadejść pieniądze od ojca, lecz Lucyan był przygotowany na zawód.

Trzeba było jak najprędzej wykończyć dwa obrazy oddawna już zamówione. Jeden z nich był kopią owego

sadu Romanet i Lucyanowi płótno to wywołało w duszy wspomnienie owej uroczej chwili jego życia.

Z jednej strony obrazu, pod kwitnącemi jabłoniemi, Lucyan umieścił postać Anny w jasnej, lekkiej sukience. Teraz popchnięty jakimś niewytłomaczonym uczuciem, porwał pendzel umaczany w zielonawej barwie i jednym ruchem ręki zatarł uroczę zjawisao. W tej chwili zdawało mu się, że popełnił zbrodnię i upadł na krzesło znękany, oburzony na siebie, nie mogąc oderwać wzroku od tej świeżej plamy, z pod której przebijała jeszcze zatarta postać.

W przedpokoju dał się słyszeć odgłos dzwonka i lokaj otwierając drzwi oznajmił głośno:

— Pan Romanet.

Lucyan zerwał się z krzesła i spotkał się oko w oko z ojcem. Była chwila, że chciał się rzucić ojcu w objęcia wołając: zabierz mnie z sobą; lecz surowy wzrok pana Romanet i gniewnie zaciśnięte usta powstrzymały jego uniesienia.

— Czyś ty oszalał?—ozwał się nareszcie ojciec.

To pytanie otrzeźwiło zupełnie Lucjana, a woła jego zbuntowała się przeciwko władzy, wołałby raczej umrzeć niż ustąpić.

— Żona twoja chora jest ze zmartwienia—mówił dalej ojciec,—choć co prawda nie wart jesteś, aby się troszczyć o ciebie i żeby taki anioł cierpiał z twego powodu.

Notaryusz długo jeszcze mówił w tym guście, starając się ukryć ogarniające go wzruszenie.

Lucyan słuchał w milczeniu nierównie więcej wzruszony. Nie rozumiał słów, słyszał tylko dźwięk głosu, który bolesnym echem odbijał się w jego duszy.

I byłby może uznał swoją winę, gdyby nieogłędne jedno słowo notaryusza nie popsuło wszystkiego.

— Czy sobie wyobrażasz — rzekł — że będę ci dawał pieniądze na takie rozwiązanie życia?

— E! mój ojczy — przerwał Lucyan dotknięty do żywego—nie mówmy o kwestyi pieniężnej! Zatrzymaj swoje pieniądze, ja będę żył z mojej pracy!

— Z twojej pracy, wielki artysto. — zawołał z ironią ojciec.—Gdybyś był adwokatem, to co innego, ale oblicz no co przez rok zarobisz na malarstwie?

— Zarobię tyle abym się mógł wyżywić! — odrzekł z dumą Lucyan.—Od dnia dzisiejszego nie przyjmę nic od ciebie mój ojczy.

— Spodziewam się, że nie jestem obowiązany dawać paniczowi, który traci pieniądze na kochanki.

Rozmowa wzięwszy raz taki obrót, nie doprowadziła do celu. Lucyan pełen uszanowania dla ojca, choć gniew

wrzał w jego piersi, nie dał się już przekonać, wzruszenie ustąpiło miejsca uporowi. Pan Romanet zaś wyczerpawszy wszystkie argumenta, wyszedł, przyrzekając sobie, że więcej jego noga tu nie postanie.

Gdyby się był jeszcze z progu zawrócił i uściśnawszy syna rzekł mu: „jedźmy do Anny!“ upór Lucyana stopniałby jak śnieg pod wiosennymi promieniami słońca. Ale pan Romanet był równie dumny jak syn i los biednej Anny rozstrzygnął się w sposób wcale dla niej niekorzystny.

Teraz już pracownia zbrzydła Lucyanowi zupełnie; każdy przedmiot nasuwał mu na myśl niemiłą rozmowę z panią Orliet i jeszcze przykrzejszą z ojcem.

— Nie, ja tu nigdy nie będę mógł pracować—powiedział sobie Lucyana—te mury zawsze mi przypominają przeszłość! Zresztą nie mam prawa już tu dłużej mieszkać, muszę się starać żyć z własnej pracy, a nie z cudzej łaski.

Lecz chcąc wynająć jakieś mieszkanie, trzeba było mieć fundusz, a Lucyana był bez grosza. Poznał o tyle świat, że wiedział, iż na chwilowych przyjaciół nie wiele można było rachować i że jedyny człowiek, na którego mógł liczyć, był Jalbrun. Postanowił zatem udać się do niego o pomoc.

Kosztowało go to wiele; czuł dobrze bowiem, że Jalbrun, z którym spotykał się codzień, choć milczał, nie pochwałał wcale jego postępowania.

Wyszedł z domu z zamiarem poszukania Jalbruna, lecz uszedłszy zaledwie jakieś trzydzieści kroków, spostrzegł idącą naprzeciw siebie kobietę, która przypatrywała mu się z zajęciem. Twarz ta nie była mu obcą, lecz gdzie ją widział, tego w żaden sposób nie mógł sobie przypomnieć.

— Pan mnie nie poznajesz—panie Romanet?—zaczepiła go kobieta zatrzymując się pierwsza. — A przecież nie tylko rozmawialiśmy, ale nawet tańczyliśmy ze sobą....

Lucyana przypomniał sobie, że widział tę kobietę, na tyle pamiętnym dla niego balu artystów malarzy. Podobała mu się nawet dosyć, lecz później zapomniał o niej uwikłany w sieci innej.

— Tańczyłaś pan ze mną pierwszego walca — dodała kobieta z uśmiechem—później już pana nie widziałam, ale dowiadywałam się o jego losie.

— Jakto, raczyłaś się pani zajmować mną?—spytał mile pogłaskany w swej miłości własnej.—Dziwi mnie tylko, że nigdy pani nie spotkałam.

— O! ja bardzo mało wychodzę z domu. Lubię życie spokojne....

Mówiąc to, kobieta zamyślonym wzrokiem patrzyła w dal, na drzewa okrywające się zielenią.

Lucyana doznał dziwnego wrażenia. Przypomniał mu się pierwszy dzień jego hulaszczego życia. Spojrzał uważniej na kobietę, która w swym niepewnym życiu mogła mówić o spokoju. Wydała mu się niemal ładną a tak różną od innych dam półświata!

— Przyjemnie mi, że spotkałam się z panem—dodała uprzejmie—ale wyglądasz pan dziś jakby smutny czy zmęczony i to mi sprawia przykrość. Gdy pana poznałam wydawałeś się pan tak szczęśliwy.... Wybacz pan, może za wiele powiedziałam. Żegnaj pana.

— Chciałbym panią kiedy odwiedzić—odezwał się Lucyana zwolna—daj mi pan swój adres.

— Nazywam się Paulina Morin—rzekła— a mieszkam w tym oto domu, przed którym stoimy.

Skłoniła mu się lekko i znikła w bramie.

— Dziwna rzecz—pomyślał Lucyana, że spotkałam ją dziś pierwszy raz, choć tak blisko mnie mieszka.

Ocknąwszy się z zadumy, skierował się tam gdzie sądził, że najłatwiej spotka się z Jalbrunem.

Ale to rzecz dowiedziona, że gdy nam pilno, wszystko dzieje się na opak. Tak też stało się i z Lucyana, szukał napróżno przyjaciela, Jalbrun wymykał mu się jak węgorz. Wszędzie mówiono mu, że Jalbrun był, ale dopiero co wyszedł. Gdy zmęczony wracał do domu, straciwszy już nadzieję spotkania go, dostrzegł go idącego naprzeciw siebie.

— Przecie, że napotkałam cię — rzekł Romanet bez wstępu.—Czy masz przy sobie pieniądze?

— A naturalnie, chociaż nikt o tem nie wie—odparł Jalbrun—wszyscy mają mnie za nieogłędnego, a ja jestem bardzo przezorny. Mam zawsze nie zły zapasik, ale nie wydaję się z tem, gdyż nie opędziłbym się natrętnym; dla prawdziwych jednak przyjaciół, kassa moja zawsze otwarta.

— Masz pieniądze, co za szczęście—odparł z westchnieniem ulgi Lucyana.—Chodźmy razem na obiad, abyśmy mogli swobodnie porozmawiać.

Poszli do jakiejś skromnej lecz porządnej restauracyjki, ale przez cały czas obiadu rozmawiali tylko o rzeczach potocznych.

— Chodźmy się przejść nad brzeg Sekwany—odezwał się Jalbrun. Tam nikt nam nie przeszkodzi.

Miejsce było rzeczywiście ustronne i Lucyana opowiedział jedynemu swemu przyjacielowi wszystkie swoje troski, zacząwszy od przesytu i znudzenia, jakie go ogarnęło, aż do kłopotów pieniężnych, w które popadł; nie pominął rozmowy z matką żony i gwałtownej sceny z ojcem.

Jalbrun słuchał go z uwagą i współczuciem.

— Powiesz, że sam nawarzyłem sobie tego piwa—do-kończył Romanet — wiem o tem aż nadto dobrze, ale co się stało to się nie odstanie; radz teraz, bo położenie nie godne zazdrości.

— Fatalnie się zaplątałeś—odpowiedział Jalbrun, rzucając cygaro.

Obaj wsparli się na baryerze i wpatrywali się w płynącą u ich stóp wodę.

Ten zakątek Paryża jest rzeczywiście śliczny, mianowicie gdy słońce kryje się za Trocadero. Gmachy rzucają cień coraz dłuższy, drzewa na polach Elizejskich przybierają coraz ciemniejszą barwę, wśród której błyszczą jak meteory oświetlone kawiarnie. Budynek Ciała prawodawczego kryje się w gęstwinie topoli, a patrząc w górę rzeki, widzi się brzegi jej oświetlone latarniami gazowymi, których blask drżący odbija się w wodzie. W oknach nadbrzeżnych domów błyskają także gdzieniegdzie niepewne światelka. Widok ten ma w sobie coś pociągającego i smutnego zarazem.

— Jak to dziwnie pomyśleć, że wiele osób nie umie odczuć piękności natury—odrzekł Jalbrun.

Lucyan nic nie odpowiedział. Wysokie topole które widział naprzeciwko, przypominały mu wyspę Mantes. — Pomyślał sobie, że ta woda uciekająca z pod jego stóp, przepływać będzie pod oknami Anny i opanował go ciężki smutek.

— Nie żałuję tego, co się stało—odezwał się po chwili.—Poznałem przynajmniej życie, a chociaż doświadczenie drogo mnie kosztowało, czuję przynajmniej, że jestem człowiekiem, nie dzieciakiem jak wprzód.

— Cóż teraz myślisz robić?—spytał Jalbrun spokojnie.

— Żyć o własnej pracy—odpowiedział Lucyan.

— O! w teorii to rzecz śliczna, ale w praktyce inaczej wygląda. Twoje poróżnienie z rodziną, narobiło dosyć hałasu i zaskodziło ci trochę w opinii, nie znajdziesz więc tak wielu protektorów jak pierwej. Chyba że będziesz zbywać swoje obrazy przedsiębiorcom, ale ci widząc, że jesteś zmuszony do tego, będą chcieli kupować za bezcen. Zresztą można jakoś temu zaradzić, lecz musisz wyrzec się modnego życia...

— Czy sądzisz, że mnie to bawi jeszcze? — dorzucił Lucyan i nagle urwał, bojąc się powiedzieć za wiele.

— Powiedz tylko słówko, a jutro pojedę po twoją żonę—rzekł Jalbrun kładąc mu rękę na ramieniu.— Jestem pewny, że przyjedzie natychmiast.

— To co dziś rano było jeszcze możebne, stało się niemożliwością wieczorem—szepnął Lucyan.— Kiedy ojciec

odmówił mi funduszu, nie mogę pogodzić się z żoną, powiedziano by, że robię to z wyrachowania,

Duma Lućyana była słuszną i Jalbrun uie nalegał bardziej; na jego miejscu uczyniłby tak samo.

— A więc musisz żyć bardzo skromnie i pracować gorliwie. Nie wesołe to, ale przynajmniej, uczciwe. Mam trochę grosza i najchętniej z tobą się podzielę, zanim cośkolwiek sobie wywalczę zdołasz.

Lucyan uściśnął w milczeniu rękę przyjaciela i zwrócili się ku gwarnemu Paryżowi, rozmawiając o sztuce.

Nazajutrz Romanet wstał z mocnem postanowieniem wyprowadzenia się dziś jeszcze z tego mieszkania, które mu się stało tak nieznośnem.

Zajął się więc zapakowaniem swoich rzeczy i wyszedł szukać mieszkania.

Przeczytawszy na jednym domu napis: „Pracownia do najęcia“, wszedł, aby ją obejrzeć.

Pokój przeznaczony na ten cel, był wprawdzie duży i widny, lecz gołe mury i podłoga zwyczajna wydały się Lucyanowi bardzo brzydkie w porównaniu z jego piękną pracownią, którą z takim gustem urządziła pani Orliet.

Do tego przylegał mały pokój zimny i ponury, który miał służyć za sypialnią. Lucyan nie namyślając się długo dał zadatek i powiedział odzwiernej, że dziś się zaraz wprowadzi.

Gdy jednak miał już ostatecznie zabierać rzeczy z mieszkania, które było widownią jego szczęścia, brakło mu odwagi. Zamglonym wzrokiem spoglądał dokoła, chcąc wyryc w pamięci każdy szczegół. Dotąd zdawało mu się, że te przedmioty przypominają mu tylko przykre chwile, teraz przekonał się, że były nieraz świadkami szczęścia i rozkoszy.

Więc cała przeszłość już stracona? więc węzły łączące go z rodziną zerwane już na wieki? Dobrowolny wygnaniec, nie wróci już nigdy pod ten dach ukochany!

Wspomnienia te sprawiały mu rozkosz i ból zarazem. Zdawało mu się, że słyszy lekki krok Anny i srebrzysty śmiech dziecięcia igrającego na dywanie. Ale nie, to było tylko złudzenie!

Stało się! sam dobrowolnie odepchnął czarę swego szczęścia, a teraz kiedy samotny miał iść dalej przez życie, czuł dziwną gorycz i zniechęcenie. Był jak ów okręt zdruzgotany burzą, który zwolna zanurza się w otchłań.

Wyprowadzić się nie, to było nad jego siły. Niech raczej Jalbrun tego dokona. Wyszedł nie mówiąc nic służącym, którzy wiedzieli już nie wiadomo skąd, że pan się wyprowadza do jakiegoś nędznego domu na tej samej ulicy.

— To prawdziwa nora — odezwała się z pogardą kucharka.

O zmroku przyszedł Jalbrun z tragarzami i zabrał rzeczy Lucyana, po drodze kupił żelazne łóżko i z tem wszystkim stawił się w nowej siedzibie Lucyana, gdzie ten ostatni czekał już na niego.

Naznaczywszy Lucyanowi w jakiej restauracji mają się spotkać na obiedzie, Jalbrun poszedł się przebrać, a Lucyana został sam z sercem ściśniętem.

Gdy może w pół godziny później schodził ze schodów, spotkał w sieni Paulinę Morin.

— Wracasz pan odemnie?—spytała zdziwiona.

— Nie. Czy to tutaj pani mieszka?

— Przecież powiedziałam to panu wczoraj.

— Zapomniałem o tem—rzekł Lucyana z wymuszoną swobodą. Nająłem w tym domu mieszkanie...

— Jako? wyprowadziłeś się pan ze swojego domu?—zapytała ze zdziwieniem Paulina.

— Tak, pani.

Zamilkli oboje. Lucyana porównywał w myśli swoje dawniejsze mieszkanie z obecnem.

— A zatem do widzenia—rzekła Paulina—pan wychodzisz, a ja wracam do domu na obiad. Jesteśmy bliskimi sąsiadami, mam zatem nadzieję, że będziemy się często widywać.

— Pani stołujesz się w domu?—spytał Lucyana z roztargnieniem.

— Najczęściej. Restauracyjne jedzenie nie służy mi wcale. Do widzenia.

— Do widzenia—powtórzył machinalnie młody człowiek.

I zjadłszy obiad poszedł z Jalbrunem do teatru opery komicznej i dosyć przyjemnie przepędził wieczór, lecz gdy po ciemnych i nieznanych schodach, na których co których co krok się potykał, dostał się do swego pustego mieszkania, musiał zebrać całą odwagę aby nie zesiabnąć w swem postanowieniu.

XV.

Nazajutrz około jedenastej przed południem, gdy Lucyana pracował z zapałem, dało się słyszeć lekkie pukanie do drzwi jego pracowni i na progu ukazała się Paulina.

— Nie przyszedłeś sąsiedzie do mnie, zatem ja przyszedłam do ciebie—rzekła z prostotą.

Lucyana odpowiedział jej grzecznie i zaczął dalej pracować. Ta przerwa w zajęciu była mu nie miłą. Paulinę nie zraziło bynajmniej milczenie Lucyana.

— To coś bardzo ładnego, to co pan malujesz—ozwała się po chwili.

— Podoba się to pani? — spytał grzecznie Lucyana, któremu pochwała miłą była.

— To bardzo piękne nawet. Przysposobiasz pan co na wystawę, do Salonu?

— Chciałbym, aie nie wiem, czy mi się uda—odrzekł Romanet pracując dalej gorliwie.

Paulina obejrzała się w około.

— Nie można powiedzieć, żeby u pana było bardzo ładnie—odezwała się z uśmiechem—ale zawsze dość oryginalnie, nie tak jak gdzieindziej.

Lucyana uśmiechnął się; ta kobieta miała widocznie dobry gust.

— Powiedz otwarcie sąsiedzie, czy nie mogłabym być ci w czem użyteczną — dodała z pewną nieśmiałością. — Bądź szczerym, mnieby to zrobiło przyjemność; mieszkamy tak blisko...

— Jak na teraz dziękuję pani uprzejmie — odparł z wyszukaną grzecznością Lucyana.

Ta kobieta skromna, cicha, podobała mu się coraz bardziej.

— Proszę bez ceremonii zadzwonić do mnie, jeśli pan będziesz potrzebował czego. Teraz do widzenia, idę na śniadanie.

— Prawda, że to już w pół do dwunastej— rzekł Lucyan.

— Staraj się panie sąsiedzie jadać zawsze w tej samej godzinie, to bardzo wpływa na zdrowie.

Odprowadził ją do schodów i wyszedł także na miasto.

Upłynęło może ze trzy dni, Lucyan zapomniał o tych odwiedzinach, gdy Paulina zjawiała się znowu w pracowni.

— To znowu ja; czy nie przeszkadzam panu?— zapytała wchodząc.

— Bynajmniej.

Przypatrywała się długo krajobrazowi rozpiętemu na sztalugach. Był to ten sam, z którego Lucyan zmaszał postać Anny.

— Trzebaby tam umieścić jaką postać.

— Była tam postać kobieca — wyrzekł z głębokim smutkiem Lucyan.

Paulina z pod spuszczonej powiek rzuciła długie na niego spojrzenie. Widziała, że nie godziło się z niego żartować i zamilkła nie wiedząc, do jakiego nastroić się tonu.

— Trzebaby koniecznie wymalować tam jaką osobkę, ozwała się po chwili. — Dodałoby to życia więcej. Czy chcesz pan, abym mu służyła za model?

Nie czekając na odpowiedź, przybrała postawę pełną wdzięku i naturalnej swobody.

— Pozostań jak jesteś — zawołał Lucyan chwytając pendzel.

Na świeżem płótnie, jakie miał pod ręką, zaczął szybko szkicować postać młodej kobiety. Pracował tak z godzinę, a Paulina nie poruszyła się wcale, nie okazała znużenia ani niecierpliwości.

Doszedłszy do pewnego stopnia, tak że już mógł przerwać pracę, Lucyan rzucił pendzel i spojrzał z uśmiechem na swój model.

— Dziękuję pani— rzekł.

Paulina podeszła do płótna.

— Bardzo ładnie— rzekła. — Nie mylą się ci co twierdzą, że masz pan wielki talent. Cieszę się, że mogłam panu być w czem użyteczną. Idę na śniadanie.

Spojrzała na zegarek.

— Jakże to już późno!— zawołała. — Musisz pan być okropnie głodny.

— Tak, średnio— odpowiedział Lucyan.

— Wiesz co sąsiedzie, chodź na śniadanie do mnie; a jakkolwiek nie wykwintne, zawsze będzie zdrowsze niż w restauracyi. Po śniadaniu mogłabym pozować znowu i skończyłbyś dziś twój obrazek.

Lucyan wahał się; Paulina dostzegła to zaraz.

— Nie chcesz pan przyjąć mojego śniadania?— rzekła. Pańska delikatność nie pozwala na to, ależ mój Boże! możesz mi się pan z łatwością wywdzięczyć, przysyłając mi bukiet lub pudełko cukierków. Zdaje mi się więc, że....

Nie dokończyła, a Lucyan niezadowolniony, że odgadła jego myśli, poszedł za nią z obawy, aby nie sprawić jej przykrości.

Paulina nie była osobą wykształconą, ale posiadała sporą dozę zdrowego rozsądku; poznała więc z łatwością, że chcąc się przypodobać temu człowiekowi, musiała okazać się delikatną i czułą. Otoczyła Lucyana pajęczą siecią swoich zabiegów, w obec których zniechęcony i opuszczony artysta, okazał się bezbronnym.

Kobieta pociągała go łagodnością charakteru, a wrodzone poczucie piękna czyniło z niej dosyć miłą towarzyszkę i nie wiedzieć jak się to stało, iż po upływie dwóch tygodni, Paulina została kochanką Lucyana, któremu zdawało się nawet, że się szczerze do niej przywiązał.

Kosztowało go to drogo, był bowiem z rodzaju tych ludzi, którzy sownie opłacają każdą przysługę. Pieniądze zatem pożyczone od Jalbruna nie wystarczyły na dług. Szczęściem Lucyan sprzedał jakiś obraz, wprawdzie za bezcen, ale zawsze go to trochę podratowało. Obawa tego straszego gościa, którego zowią nędzą, popchęła go znów do pracy.

Po jakimś czasie chciał zerwać z Pauliną; ale mu się to nie udało. Dziewczyna przywiązała się do niego potrośze, a przytem widziała szlachetność Lucyana, który starał się, aby jej na niczem nie zbywał. Pochlebiało jej to także, że jest kochanką artysty, którego imię dosyć już było znane. Opowiadała o tem każdemu, kto tylko chciał jej słuchać. Jednem słowem kochała go po swojemu, nie tem uczuciem, dla którego człowiek poświęciłby z ochotą życie, ale zawsze szczerze.

Ludzie powinni by wynaleźć inną nazwę na tego rodzaju przelotne uczucia, aby nie znieważać prawdziwej miłości.

Jalbrun dowiedział się wkrótce o tym nowym stosunku przyjaciela i gorzko wyrzucał sobie, że mu pożyczył pieniędzy.

— Gdyby był biedny— myślał — Paulina nie przycepiłaby się do niego, lub raczej, Lucyan sam, unikałby przyjemności, których nie miałby czem opłacić.

Jalbrun lepiej znający świat, widział jakie niebezpieczeństwo zagraża przyjacielowi. Wiedział on doskonale, jak nietrwałemi są te podobne związki, jak opierają się one wszelkim usiłowaniom zerwania, gdyż to co w mał-

żeństwie stałoby się powodem rozłączenia, wydaje się błachostką w tego rodzaju stosunkach.

Drażony niepokojem, Jalbrun ucieszył się bardzo, gdy dnia jednego odebrał list od Anny wzywający go do Mantes. Pojechał tam niezwłocznie.

Zastał Annę z matką w salonie. Powitały go uprzejmie, z godnością, a Jalbrun uczuł w sercu wielką litość dla tych nieszczęśliwych kobiet.

Po kilku chwilach nic nie znaczącej rozmowy, Anna zaczęła pierwsza lekko drżącym głosem:

— Udajemy się do pana z prośbą o radę w kwestyi, na której obie nic a nic się nie znamy.

— Nie zasłużyłem na zaufanie pani—odrzekł Jalbrun z goryczą—przecież to ja wprowadziłem Lucyana w ten świat, który mu tak przypadł do gustu, i nigdy sobie tego nie daruję.

— Nie obwiniam pana bynajmniej; pamiętam, jak mąż mój zmusił pana niejako, abyś mu wręczył zaproszenie na bal... Sam tego pragnął..., ale nie o tem chciałam mówić. Kiedy matka moja przesłała Lucyanowi zwykłą naszą trzymiesięczną pensję, odmówił jej przyjęcia; wtedy matka przesłała mu połowę, drugą doręczając mnie, ale i tego nie przyjął. A przecież żyć trzeba... i nie chciałybyśmy, aby mąż mój cierpiał...

Tu głos Anny rozplynął się we łzach.

— Trzeba, aby zięć mój żył przyzwoicie—ozwała się mlicząca dotąd pani Orliet, a chociaż odmowa ta przynosi mu szczyt, niemniej zasilek pieniężny jest dla niego niezbędny. Praca nie przynosi mu tak zaraz dochodu, ojciec zaklął się, że mu nie da ani grosza, trzeba więc znaleźć sposób aby chciał przyjąć te pieniądze.

Jalbrun spoglądał z szacunkiem i podziwieniem na te dwie kobiety. Spotkać bowiem teściową, która nie chce dać ani grosza zięciowi, nie należy do wyjątków, ale ujrzyć taką, która szuka sposobów, aby niegodnego zięcia zmusić do przyjęcia pieniędzy, to osobliwość w dziewiętnastym wieku.

— Co za głupiec z tego Lucyana—myślał—mieć taką rodzinę i popełniać takie niedorzeczności!

— A więc panie?—spytała dźwięcznym głosem Anna zaniepokojona jego milczeniem.

— Podziwiam dobroć pań i nie wiem doprawdy co mam odpowiedzieć—rzekł Jalbrun.

— Wybacz pan mojej ciekawości—podjęła znów pani Orliet—ale radabym wiedzieć, z czego żył mój zięć do tej pory? Zapewne porobił długi, trzeba je oddać jak najprędzej.

— Ja to oddałem tę małą przysługę mojemu przyjacielowi—odrzekł po chwili wahania Jalbrun—ale nie mówmy teraz o tem, wyznałem to tylko dla tego, aby panie uspokoić.

— Dziękuję panu serdecznie—odrzekła pani Orliet—w istocie to nas uspakaja zupełnie i zarazem nasuwa mi myśl, czy nie mógłbyś mu pan nadal dawać jego własnych pieniędzy, pod pozorem pożyczki.

— To nie może być prośbę pani. Wie on dobrze, że nie jestem tak zamożny i wprędce domyśliłby się prawdy.

Położenie było rzeczywiście trudne.

— Mamo—odezwała się nagle Anna—trzeba aby pani Romanet dopomogła nam w tem.

— A cóż ona może działać bez zezwolenia męża?

— Może powiedzieć, że pożyczyła pieniędzy. Od matki Lucyana przyjmie zasilek z pewnością. Idzie tylko o to, aby nam posłużyła za pośrednika.

Jalbrun był coraz bardziej zdziwiony. Są więc kobiece serca nie pamiętające urazy, przebaczące z łatwością boleść i zniewagę! Czyste, szlachetne dusze, które nigdy nie kłamiąc, zniżają się nawet do kłamstwa, aby ratować niewdzięcznika!

— Poślij więc po panią Romanet—rzekła pani Orliet.

Lecz z panią Romanet ciężka była sprawa. Zalewając się łzami twierdziła, że jej syn nie był tak zły jak go przedstawiano i że wszystko byłoby dobrze gdyby Anna usłuchała była jej rady i pojechała od razu do Paryża. Ale wszystkie młode kobiety kochają więcej siebie niż mężów.

Anna wysłuchała jej cierpliwie, a gdy skńczyła ucałowała ją serdecznie.

— Masz zupełną słuszność kochana matko—rzekła—ale kiedy się złe już stało, trzeba myśleć o tem jakby mu zaradzić. Wiesz, że Lucyana nie przyjął naszych pieniędzy, otóż idzie o to aby mniemał, że od ciebie pochodzą, że ty matka pożyczyłaś je dla niego i odtąd posyłać mu będziesz małą pensyjkę.

Pani Romanet wahała się długo z obawy, aby mąż jej nie dowiedział się o wszystkim, ale w końcu miłość macierzyńska zwyciężyła trwogę, biedna kobieta zgodziła się na wszystko, błagając Jalbruna aby czuwał nad Lucyaniem, tak jakby Lucyana był małym dzieckiem.

Jalbrun patrząc na ciche poświęcenie tych kobiet, sądził, iż znajduje się w jakiejś zaczerwianej krainie, do której smutki nie mają przystępu; lecz przedwcześnie zbieleły włosy pani Orliet i zaczerwienione powieki Anny, wytłumaczyły mu łatwo, jaką to walką okupuje się ten pozorny pokój.

Że Lucyan uwierzył w tę zmyśloną bajeczkę, należy to zawdzięczyć tylko Jalbrunowi, który pół żartem pół seryo przekonał go z łatwością.

Wielkość poświęcenia macierzyńskiego, głęboko wzruszyła Lucjana. Wiedział jak matka jego była istotą słabą i bezwiasnowolną, zdanie męża było dla niej wyrocznią, na jakąż więc musiała zdobyć się odwagę aby wbrew woli męża postąpić

Gdyby zaś wiedział całą prawdę, jakżeby się czuł upokorzonym w obec wzniosłych uczuć żony!

Smutny, rozdrażniony Lucyan, znajdował tylko niejaka pociechę w towarzystwie Pauliny, i chociaż czuł dobrze, że rozsądek nakazywał mu zerwać z nią koniecznie, nie miał na to siły.

Pracował teraz gorliwie, cierpienie stało mu się bodźcem do pracy, lecz obrazy jego nie miały już tej cechy idealnego piękna, która tak zachwycała znawców. To też na tegorocznej wystawie nie miał już tego co dawniej powodzenia.

— Romanet wyczerpał się prędko, — mówili koledzy z ironicznym uśmiechem — ten rodzaj życia nie sprzyja rozwojowi talentu.

Publiczność jednak, mniej widać wymagająca, kupiła jego obrazy, a nawet dobrze za nie zapłaciła.

Odbierając dość znaczną sumkę pieniędzy, Lucyan był uszczęśliwiony i natychmiast wyjechał na wieś z Pauliną, w okolice Fontenebleau, gdzie już mieszkało kilku jego przyjaciół ze swemi towarzyszkami.

XVI

Paulina nudziła się na wsi. Słońce sprowadzało jej ból głowy, nie lubiła przechadzek, nie umiała odczuć piękności natury; cały więc dzień przesiadywała w ogródku przed domem, przypatrując się przechodniom. Nad wieczorem wychodziła naprzeciwko Lucjana, który dzień cały zbierał widoki różnych okolic.

W połowie lipca przyjechał na wieś jeden ze znajomych Lucyanowi malarzy, w towarzystwie młodego i pięknego chłopca nazwiskiem Ralboise. Był to modny lew salonowy, popsuty łaskami kobiet.

Z całego otoczenia wyróżnił on Paulinę i zaczął jej nadskakiwać, zapewnie dla tego, że Paulina była dosyć elegancką w obejściu i najlepiej grała rolę zameżnej kobiety; zatem romansik z nią miałby pewną cechę zakazanego owocu.

Paulina chętnie przyjmowała jego grzeczności, a że Lucyan często zapraszał obydwóch panów do siebie, miała sposobność okazania się uprzejmą gosposią. Myśl oszukania Lucjana zabłysła w jej ograniczonej główce, jako miłe urozmaicenie nudów i zawczasu nabawiało ją trwogą, jakby miała się przeniwierzyć prawemu małżonkowi.

Jednego skwarne go popołudnia, gdy Paulina, ubrana w białą muślinową suknię, w której jej było bardzo do twarzy, czytała leżąc na sofce w jadalnym pokoju, na progu zjawił się Ralboise.

Spostrzegłszy go chciała się podnieść, ale Ralboise prosił ją aby się nie trudziła i siadłszy blisko niej rozpoczął ożywioną pogawędkę.

Nagle drzwi się otworzyły i wszedł Lucyan z Jalbrunem.

Paulina choć nie popełniła nic złego, porwała się z sofki blada i przerażona. Lucyan nie zwrócił na to

Pan Romanet 24. — Dodatek do Kuryera Codziennego.

25

uwagi, lecz Jalbrun ze złośliwym uśmiechem przywitał się z niemi.

— Skądże pan tutaj?—zapytał go Ralboise.

— Przyjechałem odwiedzić moich przyjaciół i nacieszyć się pięknnością przyrody — odrzekł Jalbrun z lekką ironią w głosie.

Towarzystwo było zwarzone, rozmowa nie kleiła się jakoś. Lucyan smutny czy rozgniewany wyszedł wkrótce z pokoju i słycać go było chodzącego na górze w poikoiku.

— Jakżeś pan znalazł Lucyana, nie dowiadując się w domu gdzie go szukać trzeba — spytała zaciekawiona Paulina.

— Zajechałem przed karczmę i chłopak jakiś zaprowadził mnie tam gdzie zwykle Lucyan pracuje.

— Zostaniesz pan z nami zapewne dni kilka? — spytała znów Paulina, którą niespodziewany przyjazd Jalbruna zaczął niepokoić.

— O! nie pani...

Ralboise wziął za kapelusz.

— Jakto? już pan odchodzisz?—zapytał Jalbrun.

W tej chwili Lucyan ukazał się w pokoju, ubrany po podróżnemu, z małą walizką w rękę.

Zwolna zbliżył się do Pauliny, która spoglądała na niego wystraszoną wzrokiem.

— Muszę odjechać—rzekł — matka moja ciężko chora wzywa mnie do siebie. Będę do ciebie pisał.

Paulina podniosła chustkę do oczu, zlekła się czy ten nagły odjazd Lucyana nie był spowodowany obecnością pana Ralboise.

— Bądź zdrowa Paulino — rzekł przyciągając ją do siebie. Nad kominkiem w moim pokoju znajdziesz to czego potrzebujesz.

Pocałował ją w czoło, podał rękę panu de Ralboise i wyszedł razem z Jalbrunem.

Paulina słuchała w milczeniu turkotu oddalającego się powozu, a gdy wszystko ucichło zwróciła się do pana Ralboise.

— Porzucił mnie—rzekła cicho — nie mam nikogo na świecie oprócz pana.

I załzała się łzami. Ralboise nie bardzo był zadowolony z takiego obrotu rzeczy, lecz cóż miał zrobić? musiał ją przecież pocieszyć.

XVII.

Pani Romanet była chorą i to chorą niebezpiecznie. Cierpienie sercowe na które uskarżała się od lat wielu, rozwinęło się teraz gwałtownie. Lekarz nie robił wielkiej nadziei utrzymania jej przy życiu i kazał wezwać syna.

Notaryusz w pierwszej chwili wielkim uniósł się gniewem, mówiąc, że nigdy na to nie pozwoli, lecz po rozmowie z doktorem zmięknął zupełnie.

Lucyan przeraził się niewymownie tą wiadomością. Zrozumiał on aż nadto dobrze jakie niebezpieczeństwo groziło matce, jeśli ojciec pozwolił mu wracać.

Późnym już wieczorem przyjechali do Mantes i Jalbrun chciał wracać do Paryża; gdy Lucyan oświadczył mu stanowczo, że bez niego nie śmiałyby pokazać się w domu, musiał zatem rad nie rad pozostać do dnia następnego.

Z bijącym sercem Lucyan przestąpił próg jadalni, która przypominała mu tyle chwil szczęśliwych. Wszakże to tu w dzień Bożego Narodzenia, dowiedział się po raz pierwszy, że Anna go kocha!

Dotąd nie pomyślał, że może ją tu spotkać. Co zrobi jeśli ujrzy ją u wezłowania chorej matki?

Miał właśnie spytać przyjaciela, czy nie wie co o pani Orliet, gdy do pokoju wszedł ojciec, ale tak zmieniony i pogarbiony, że Lucyana serce ścisnęło się boleśnie.

Uścisnęli się w milczeniu.

— Chodź—rzekł stłumionym głosem Romanet do syna—ona czeka na ciebie.

I poprowadził go do pokoju chorej, której zarumienione policzki i oczy promieniejące radością zdawały się zaprzeczać chorobie. Pokój był jasno oświetlony na wyraźne żądanie pani Romanet, oczekującej nierpliwie syna.

Gdy go zobaczyła, podniosła się z poduszek, wyciągając ku niemu ramiona.

— Mój drogi chłopczko! mój Lucyaniel! — rzekła — przecież widzę cię znowu!

Lucyan klęczał już przy łóżku okrywając pocałunkami jej ręce.

Doktor stojący przy niej zaczął liczyć uderzenia jej pulsu.

— Mów pan co do niej! — szepnął do ucha synowi.

Lucyan zaczął mówić jak jest szczęśliwy, że znowu widzi rodziców, opowiadał o swojej podróży, o pobycie na wsi, o korzystnej sprzedaży dwóch obrazów.

Na wzmiankę o pieniądzach, chora drgnęła niespokojnie i Lucyan zrozumiał, ile cierpieć musiała wspomagając go w tajemnicy.

— Jestem teraz bogaty mamó! — rzekł uspakajająco. — Miałem trochę długów; ale już je spłaciłem.. Teraz będzie wszystko dobrze.

Siły opuściły chorą i Lucyan teraz dopiero zobaczył, gdy gorączkowy rumieniec ustąpił z twarzy, jak strasznie była zmieniona.

— Czy widziałeś żonę i dziecko? — spytała słabym głosem.

Lucyan zbladł i nie wiedział co na to odpowiedzieć. Szczęściem Jalbrun przyszedł mu z pomocą.

— Był tylko zajęty panią! — rzekł — przecie mu tego za złe wzięść nie można.

Pani Romanet uśmiechnęła się i ścisnęła z lekką ręką syna, lecz w tej chwili głowa jej spadła na poduszki bezwładnie.

Lucyan przeraził się myśląc, że już nadeszła ostatnia chwila i wyrzucił sobie, że jego nieobecność i nagły przyjazd są może powodem nieszczęścia.

Lecz było to tylko omdlenie, doktor natarł jej skroń jakims eterem i po chwili chora otworzyła oczy i wzrok jej spoczął na synu. Lucyan odetchnął.

— Teraz niech sobie wszyscy odejdą! — rzekł doktor — pani się prześpi trochę.

Posłusznie skinęła głową i Lucyan wyszedł do drugiego pokoju, a Jalbrun odjechał do Paryża.

Gdy pani Romanet usnęła, Lucyan usunął się na palcach do jej pokoju.

Przed laty dziewięciu matka jego miała już podobny atak. I wtedy wezwano go w nocy, ale przyjechała po niego pani Orliet.

Jak ona ogłędnie oznajmiła mu o chorobie matki, jak go pocieszała dodając mu odwagi, z jaką czułością obcierała łzy jego!

On śmiało mógł powiedzieć, że ta kobieta była mu drugą matką. A on tak boleśnie zranił jej serce. O! jakże ona musi go nienawidzieć...

Pani Romanet poruszyła się i Lucyan wysunął się z pokoju, aby jej oszczędzić wzruszeń:

Na wschodzie już dniało, otworzył więc okno i patrzył jak jaskółki krążyły w powietrzu, jak wieże starego kościoła rysowały się coraz wyraźniej na rozrurionem tle nieba.

Przypomniał mu się dzień ślubu i ów bukietik pomarańczowego kwiecia, który rzucił narzeczonej.

Głęboko wzruszony usiadł w fotelu i wkrótce usnął z jakimś uczuciem nadziei i trwogi zarazem.

Sam nie wiedział, jak spał długo, gdy zbudził go szelest jakiś. Otworzył oczy i ujrzał przed sobą żonę. Schwyciona na gorącym uczynku, Anna zarumieniła się i spuściła oczy:

— Przepraszam! — szepnęła — nie wiedziałam, że jesteś tutaj...

On nie mógł oderwać od niej oczu. Zdawało mu się, że urosła i wypiękniała. Przebyte cierpienia dodały jej nowego powabu, oczy płonęły blaskiem gorętszym, twarz pobladła nabrała wyrazu spokoju i siły. Była teraz więcej kobietą.

— Dzień dobry, Anno! — rzekł z prostotą.

Podniosła na niego wzrok pełen niemej skargi. Lucyan powstał z fotelu i ujął jej rękę, nie cofnęła jej, przysunął się bliżej jeszcze i pocałował ją w czoło. Zadrżała i odsunęła się w tył, jakby ją kto dotknął rozpalonem żelazem.

Szybko zwróciła się do pokoju chorej, Lucyan poszedł za nią. Matka uśmiechnęła się widząc ich razem, spełniły się więc najgorętsze jej życzenia. Siły chorej niknęły widocznie, zażądała, aby jej przyniesiono wnuczkę. Pragnęła widzieć ją w objęciach ojca. Lucyan wziął na kolana dziecę, które było ładne i miłe, pozwoiliło się ojcu pieścić, ale nie poznało go wcale.

Lucyan czuł dobrze, że Anna nie przebaczyła mu jeszcze i serce jego skamieniało z bólu; zdawało mu się, że jest obcym w tym domu, do którego wezwano go tylko po to, aby sprawić radość umierającej matce.

— Nie odjedziesz, już synu? — spytała go biedna kobieta tkliwie.

Wstrząsnął przecząco głową, ale nie mógł się zdobyć na słowa, nie mógł obiecywać tego, czego nie był w możności dotrzymać.

Pani Romanet żyła jeszcze dwa dni. Kto czuwał przy łóżu chorego bez nadziei, ten wie, ile ucierpieli ota-

czający ją; nareszcie usnęła snem wiecznym, cicho, spokojnie, tak jak żyła niepostrzeżona.

Lucyan pomimo ciężkiej boleści musiał się zająć pogrzebem, gdyż ojciec jego tak był zgnębiony, że litość brała patrzeć na niego. Notaryusz teraz dopiero zdołał ocenić, czem dla niego była ta słodka i łagodna towarzyska życia, która przez lat trzydzieści dzieliła z nim radości i smutki, znosząc z uległością wybuchy jego gwałtownego charakteru. Pustki, jaką śmierć jej zrobiła, nic już nie zastąpił...

Gdy obaj wrócili z pogrzebu, ojciec odezwał się pierwszy.

— Korzystaj ze sposobności i wracaj do żony, już i tak ludzie dosyć gadają. Niechże więc chociaż śmierć matki wpłynie na ciebie, ona tak pragnęła, abyście się pogodzili, spełnijże jej wolę.

Lucyan nic nie odpowiedział, od dwóch dni myśl ta nie dawała mu spokoju.

Pan Romanet spojrział na portret żony i mówił dalej;

— Widzisz, mój synu, my mężczyźni często jesteśmy niesprawiedliwi, żądamy aby żona wyrzekła się dla nas nawet swoich niewinnych upodobań, a cóż jej w zamian dajemy? Ty mój synu zawiniłeś ciężko w obec żony, ale to anioł, ona przebaczy ci z łatwością; pani Orliet kocha cię także więcej, niż na to zasługujesz; od ciebie więc tylko zależy, abyś był znowu szczęśliwy. Zapomnij o przeszłości.

Lucyan wzruszony rzucił się w objęcia ojca.

— Jutro z rana pójdziesz do pani Orliet—dokończysz ze łzami starzec—a zobaczysz, że wszystko pójdzie dobrze.

Gdy nazajutrz Lucyan zadzwonił do drzwi domu, który był niejako jego domem, serce biło mu w piersiach jak młotem. Za chwilę znalazł się w saloniku, niespokojny, niepewny, nie śmiejąc usiąść nawet.

Pani Orliet nie dała długo na siebie czekać. Gdy weszła smutna i poważna, okryta żałobną szatą, Lucyan skłonił się przed nią z szacunkiem; lecz ona z prawdziwie macierzyńską dobrocią ujęła go za rękę i posadziła przy sobie na niskiej kanapce.

— Moje dziecię—rzekła z dobrocią—przeszliśmy wiele przez te kilka miesięcy! Dziś łączymy nas znowu wspólne nieszczęście, najlepiej więc zrobimy, jeśli rzucimy zastonę na przeszłość, a zaczniemy żyć tylko przyszłością.

W obec wzniosłości tego przebaczenia, Lucyan był bezbronny. Gdyby czyniono mu wymówki, byłby się oburzył; gdy tymczasem dobroć teściowej wzruszyła go głęboko. Schylił się i zaczął z wdzięcznością całować jej

rękę, a pani Orliet rosplakała się rzewnymi łzami, które jak dobroczynna rosa spłynęły na jego głowę.

— A cóż Anna powie?—zapytał po chwili.

— Anna podziela moje zdanie. Głównym powodem całego nieszczęścia, jest to, że ożeniłeś się zawczasem, Lucyane, i to jedno usprawiedliwić cię może w oczach żony. Ona kocha cię bardzo, o jedno więc tylko prosić cię będę, nie nadużywaj jej przywiązania, Lucyane...

Podniosła się i wyszła szybko, a za chwilę w salonie ukazała się Anna. Była zarumieniona i bardziej nieśmiała niż pierwszego dnia po ślubie i nic dziwnego, wtedy ufała nieograniczenie człowiekowi, który ją tak okrutnie zawiódł.

Lucyan spojrzawszy na żonę przekonał się, jak serdecznie ją kochał.

— Anno...—rzekł.

Na dźwięk tego głosu pełnego nieokreślonej czułości, Anna zdrząła i podniosła wzrok na Lucyana.

— Anno—powtórzył.

Zbliżyła się powoli, Lucyan ujął jej rękę.

— Nacierpiałś się przezemnie, biedaczko—szepnął—byłem waryatem, czy przebaczysz mi?

Anna wybuchnęła płaczem i zaczęła łkać, jak małe dziecko. Lucyan posadził ją na kanapce i objął ramieniem jej kibić. Opierała mu się z lekka, lecz w końcu pochyliła głowę na ramię męża, a cała gorycz jej serca spłynęła w długo powstrzymywanych łzach.

On mówił cicho, łagodnie, ona słuchała w milczeniu, nie przecząc mu wcale.

Żalowała swych młodzieńczych uczuć, płakała nad swym ideałem, który upadł tak nisko.

Matka wytlómaczyła jej teraz wiele rzeczy i dała jej do zrozumienia, że powinna mężowi przebaczyć, ale zranione serce młodej kobiety, nie mogło zbliznić się tak łatwo.

Aż do chwili, w której Lucyan zapytał jej: „Czy mi przebaczasz?“ Anna sądziła, że przebaczyła mu w zupełności i rzeczywiście nie miała względem niego gniewu ani urazy, ale ufność jej i uwielbienie zamarły na zawsze i nikt już wskrzesićby ich nie potrafił. Sam ten wyraz: przebaczenie, przypominał jej ciągle upadek.

Owa miłość idealna, nieograniczona, która nie przepuszcza nic złego, która nawet gusta swe i upodobania składa u stóp ukochanej istoty, mówiąc z uśmiechem; „Nie mam swojej woli!“, o jakże miłość taka jest nietrwała na ziemi.

To kwiat cieplarniany, który lada ostrzejszy podmuch wiatru zmrozi.

Lecz podobna do feniksa, odradzającego się z własnych popiołów, miłość ta pod wpływem cierpienia przegradza się w uczucie pełne pobożania i wyrozumiałości. Jest to również miłość, tylko już nie ta promienna, ufająca, lecz za to może głębsza i bardziej poświęcająca się.

Anna od dzieciństwa kochała Lucjana jak brata; otóż ta przyjaźń była teraz w jej sercu silniejsza od miłości, Darowała mu wszystkie błędy, bo widziała w nim przyjaciela, towarzysza lat dziecinnych; chciała zapomnieć, że był jej mężem!

Lucyan nie domyślał się tego; pomimo swoich błędów kochał szczerze żonę, a widząc jej łagodne poddanie się, powiedział sobie z radością, że nie ma do niego urazy, że wszystko co przeszedł; było tylko snem przykrym, który już więcej nie wróci.

Przyciskając czulej żonę w objęciu, Lucyan zaczął pocałunkami osuszać łzy z jej oczu, lecz Anna, z owym lekkim dreszczem, który już raz zauważył Lucyan, wysunęła mu się z objęć, mówiąc:

— Pójdę po Ludwinie.

Lucyan począł, że coś, czego dobrze określić nie potrafił, stało między nim i żoną i że ową przeszkodę nie łatwo będzie zwalczyć.

Młoda kobieta wróciła za chwilę z dzieciną; wkrótce przyszła i pani Orliet i wszyscy zasiedli do śniadania. O przeszłości nie było już wzmianki, a ktoby patrzył na nich, nie przypuściłby nigdy, że ci ludzie przeszli tak smutne koleje życia.

XVIII.

Po obiedzie Anna pod pozorem bólu głowy, udała się do swojego pokoju; Lucyan zaś poszedł do ojca.

Nieboszczka pani Romanet zostawiła synowi znaczny majątek w gotowiznie i dobrach znajdujących się aż w Wogezach. Otóż ojciec radził synowi, aby niezwłocznie pojechał wraz z Anną do tych dóbr, raz dla uregulowania interesów, a powtórę, aby oboje oswoili się ze swem nowym położeniem.

Lucyanowi podobał się ten projekt, który pochwalifa również i pani Orliet, szło tylko o to, czy Anna zgodzi się na niego.

Ale Anna już spała, Lucyan musiał więc w niepewności czekać do jutra.

Noc przepędził niespokojnie, a gdy rano zawiatał, ubrał się czempredzej, nie śmiejąc jednak pukać do pokoju żony, błędził bez celu po domu.

Nareszcie ukazała się Anna.

— Potrzebuję jechać w góry Wogeskie — rzekł bez wstępu, rozdrażniony długim oczekiwaniem. — Czy będziesz mi towarzyszyć?

Anna pobałda. Chciałaby dogodzić mężowi, lecz brzydziła się kłamstwem, a czuła dobrze, że to przyrzeczenie było nad jej siły.

— A więc? — spytał Lucyan niecierpliwie.

— Nie mogę — szepnęła, podnosząc na niego wzrok błagalny — jeszcze nie teraz, później, mój przyjacielu...

— Jak chcesz — odparł szorstko Lucyan. — Wiem, że nie mam prawa nalegać.

Ona pobałda jeszcze bardziej, a twarz jej przybrała wyraz smutku. Lucyan chciał naprawić swoje uniesienie, dodał więc łagodniej:

Pan Romanet 27. — Dodatek do Kurjera Godziennego.

— Rozumiem, że musisz się przyzwyczaić do mojej obecności. Zrób mi tylko nadzieję, że przyjmiesz mnie łaskawiej, gdy powrócę.

— O Lucyanie—szepnęła Anna składając ręce— gdy byś ty wiedział, jak ja cię kocham, jak ja pragnę abyś był szczęśliwy.

Mąż uściskał ją serdecznie, a sądząc, że czas wpłynie najlepiej na ułagodzenie dziwnego rozdrażnienia Anny, postanowił jechać sam dziś jeszcze wieczorem.

Raz postanowiwszy zerwać z przeszłością, Lucyan chciał tego dokonać jak najprędzej. W tym celu napisał pożegnalny list do Pauliny i przesłał go na ręce Jalbruna, prosząc zarazem tego ostatniego, aby wszystkie jego rzeczy kazał przenieść do dawnego mieszkania. Anna miała za dni kilka jechać do domu i tam oczekiwać powrotu męża. Lucyan projektował, że po powrocie do Paryża, wyjedzie jeszcze z żoną i dzieckiem do kąpieli morskich.

Podróż i uregulowanie interesów, trwało krócej niż przypuszczał, w tydzień bowiem po rozmowie z Anną był już z powrotem w Paryżu. Ponieważ jednak było to już późnym wieczorem, a nie był pewny, czy Anna przyjechała, wolał przenoćować; a nazajutrz dopiero podążyć do Mantes.

Rostargniony wszedł do dorożki i wskazał woźnicy adres mieszkania Pauliny. Spostrzegł dopiero swą pomyłkę, gdy dorożka zatrzymała się przed domem. Kazał więc jechać do siebie, lecz wspomnienie to wcale miłym mu nie było.

— Muszę wymówić komorne — pomyślał — choć co prawda mam jeszcze dosyć czasu, zapłaciłem z góry za pół roku, a mieszkałem dopiero dwa miesiące.

W kieszeni miał klucze od obydwóch swoich mieszkań i ogarnął go dziwny niepokój. Spojrzał w górę, okno sypialnego pokoju Pauliny było oświetlone, oczywiście była w domu.

— Biedna dziewczyna—pomyślał — porzuciłem ją tak nagle, a jednak ona mnie też kochała.

W tej chwili zapomniał zupełnie o panu de Ralboise.

Dorożka zatrzymała się przed domem, i Lucyan zapłaciwszy woźnicy; otworzył sobie drzwi kluczem, który miał w kieszeni.

Kucharka usłyszawszy szelest, wyszła zobaczyć, kto to, a ujrawszy go, nie okazała najmniejszego zdziwienia.

— Pani jest u siebie—rzekła.

Wiadomość ta była dla Lucyana miłą niespodzianką. Ogarnęło go dziwne wzruszenie, gdy zapukał nieśmiało do drzwi pokoju żony.

— Proszę wejść—odzwiał się głos z wewnątrz.

Siedząc na niskim foteliku, Anna układała książki w małej biblioteczce z różanego drzewa. Światło lampy stojącej na szafce oświetlało w pełni miłą jej twarzyczkę. Białe kaftanik zdobny falami koronek, rozchylił się nieco ukazując alabastrowe ramiona.

— To ty—zawołała, drżącymi palcami zapinając szybko kaftanik.

On postąpił kilka kroków i za chwilę klęczał już u jej nóg, namiętnym uściskiem przyciągając ją do siebie.

Ona milczała, tylko serce biło jej w piersiach gwałtownie.

— Anno, droga Anno—szepnął—wszak prawda, że to wszystko było tylko snem przykrym, że teraz będziemy jeszcze szczęśliwsi? odpowiedz, najdroższa...

Ona nie odrzekła ani słowa, nie podniosła spuszczonej powiek. Czuli, że ta chwila była stanowczą w jej życiu i bała się zrazić czemkolwiek męża.

— Powiedz, czy nie gniewasz się już na mnie?—nalegał Lucyan.

— O! bynajmniej—odrzekła zwolna.

— I kochasz mnie jeszcze?

— O! kocham cię!—szepnęła, a oczy jej napelniły się łzami.

Lucoan okrywał pocałunkami jej twarz i ręce.

— Lucyanie—rzekła po chwili—byliśmy tak szczęśliwi, że cierpienie było mi przez to gorszą katuszą!

Przycisnęła dłonią serce.

— O! jeszcze dużo wycierpię znim zdołam trochę zapomnieć—odrzekła smutnie.—Gdy cię nie widzę, rana moja mniej się jątrzy, niż wtedy, gdy jesteś przy mnie.

— Biedaczko ukochana—rzekł Lucyan głęboko wzruszony. W szczęściu zapomnisz o wszystkim.

I ustami poszukał ust ukochanej, lecz Anna z okrzykiem trwogi uchyliła się od pocałunku.

— A mówisz, że kochasz mnie?—zapytał Lucyan nie mile dotknięty.

— Kocham cię i przebaczyłam ci zupełnie, ale błagam cię, nie całuj mnie w usta...

— Dla czego?

— Bo mi to sprawia ból i wstyd zarazem. Błagam cię, oszczędź mi tej przykrości.

On podniósł się z brwią namarszczoną.

Annę zdjęła wielka litość; podniosła się także wyciągając do niego ramiona z niewysłowioną czułością.

— Nie patrz na mnie takim rozgniewanym wzrokiem, —rzekła.—Wiesz, że cię kocham i kochać nie przestanę do grobu, ale zapomnieć tak łatwo, to nie w ludzkiej mocy.

Lucyan spoglądał na żonę rozplamionym wzrokiem. Nagle pochylił się i przycisnął usta do drżących ust żony.

— O! jakiś ty niedobry!—zawołała Anna i cofnąwszy się, upadła bezsilna na fotel.

Błada, niemal gniewna, spoglądała na męża z wyrzutem.

Lucyana ogarnął gniew szalony.

— Co znaczy ten żart dziwny?—zapytał usiłując powstrzymać się trochę,—Twierdzisz, że mnie kochasz, a odgrywasz tę śmieszna komedję. Jeżeli mnie kochasz, nie powinnaś się mnie lękać, a jeśli masz wstręt do mnie, na co te zapewnienia czułości? Nie jesteś już dzieckiem i wiesz co to jest życie, niewiadomością tłumaczyć się nie możesz...

— Nie odgrywam żadnej roli—przerwała z rozpaczą—jeszcze raz powtarzam, że kocham cię i przebaczyłam ci wszystko. Będę dla ciebie najtkliwszą towarzyszką, poświęcę ci moje gusta i upodobania, ale...

Zatrzymała się, a purpurowy rumieniec okrył jej lica.

— Ale co? — zapytał szorstko Lucyan, czując, że od tej odpowiedzi zawisła cała jego przyszłość.

Zdobyła się na wysiłek i mówiła dalej:

— Ale gdy wspomnę, że innym kobietom mówiłeś te same słowa, że usta twoje całowały usta innych, a ramiona obejmowały je miłośnicie, nie mogę się czuć tak blisko ciebie. Naprawdę chciałam się przewyciężyć, to nad moje siły. Kocham cię i serce pęka mi z bólu, ale nie mogę cię pocałować, bo pocałunek ten byłby kłamstwem i wtedy gardziłabym sobą jako istotą nikczemną. Ty wiesz, wiesz najlepiej, że usta moje nigdy się kłamstwem nie splamiły!

Stała przed nim z pochyloną głową, jak winowajca oczekująca wyroku.

Lucyan spoglądał na nią z uwielbieniem namiętnem, ta kobieta, która kochając odpychała go zarazem, wydała mu się o stokroć piękniejszą i powabniejszą niż dawniej.

— Słuchaj—rzekł — nie jesteś dzieckiem, nie przesądź więc przyszłości, miałaś ciężkie zmartwienie i pozostała ci gorzka w sercu.

— Nie gorzka, tylko boleść—odrzekła łagodnie Anna.

— Niech i tak będzie! Ale przez jakiś dziwny punkt honoru unieszczęśliwisz mnie i siebie. Wszystko to mrzonki moja droga; kochamy się, to i czegoś więcej potrzeba?

Mówiąc to, objął ją znowu pieszczotliwym uściskiem i tulił do siebie jak polajane, rozżalone dziecko.

— Twoje miejsce, żono ukochana, jest tu przy moim sercu, powinniśmy żyć i umierać razem... Życie jest tak

piękne, a nasza miłość tak wzniosła; teraz bardziej jeszcze kochać się będziemy.

— Nie mów mi o tem przez litość—zawołała uwalniając się z jego objęć.— Ja właśnie chciałabym zapomnieć o tej miłości, której wspomnienie ściga mnie jak widmo!... Posłuchaj mnie Lucyanie, gdyż mówię szczerą prawdę; gdybym nie była twoją żoną, pokochałabym cię jak tego żądasz; ale między przeszłym a teraźniejszym naszym życiem, jest taka niezgłębiona przepaść, że niczem wypełnić się nie da. W tej chwili, gdy trzymałeś mnie w objęciach, chciałam ci się poddać... nie mogę, Bóg widzi, nie mogę... Jeśli więc pozwolisz mi żyć obok siebie i pozwolisz się kochać tak, jak ja rozumiem, będę dla ciebie dobrą i uległą żoną; jeśli zaś zmuszać chcesz w czemkolwiek moją wolę, zdolnabym była znienawidzić cię!...

Lucyan czuł się zwyciężonym przez jakąś tajemniczą siłę. Mógł wprawdzie pokazać się panem, mógł postawić na swoim, ale czuł, że żona pogardzałaby nim wtedy, a pogarda byłaby dla niego stokroć sroższą od nienawiści.

Gniew i oburzenie miotały nim naprzemian, Jakiś w chwili, kiedy powracał do rodziny przejęty najlepszymi uczuciami, gdy wyrzekał się wszystkich błędów, dziwactwo żony stawiało go w takim położeniu, jakiegoby żaden mężczyzna nie przyjął z pewnością.

— Tak więc — rzekł zdobywając się na spokój, chociaż krew falą biła mu do głowy — ty sama wypędzasz mnie z domu, zamykając przedemną drzwi małżeńskie komnaty. Pamiętaj, żebyś kiedyś tego nie pożałowała. Bądź pewną, że nigdy do ciebie nie wrócę!...

— Lucyanie, drogi Lucyaniel czyż nie możemy żyć pod jednym dachem jak brat z siostrą? jak przyjacieli z przyjaciółką? Obok naszego dziecięcia bylibyśmy tak szczęśliwi! Żebyś ty wiedział, jak ja cię kocham!—mówiła młoda kobieta wyciągając błagalnie dłonie.

— Wszystko albo nic!—zawołał gwałtownie Lucyan. Chcę być panem u siebie; nie chcę podlegać żadnym prawom. Wypowiadasz mi wojnę, niech i tak będzie, ale pamiętaj, że na ciebie spadnie cała odpowiedzialność. Żyj więc samotna i czyń, co ci się podoba. Lecz gdyby postępowanie twoje ubliżyło w czemkolwiek memu honorowi, wtedy przypomnę sobie, że jestem twoim mężem i nie pozwolę skalać mego nazwiska.

— Och! Lucyanie.—zawołała młoda kobieta dotknięta do żywego tą niezasłużoną groźbą.

— Odpowiadaj—mówił dalej Lucyan chwytając ją za rękę — wszakże chcesz być żoną moją tylko z nazwiska? Uparłaś się w twojej głupiej dumie, która wydaje mi się

obłędem; ale ponieważ sama tego pragniesz, ja nie mam nic przeciwko temu; bywaj zatem zdrowa!

— **Lucyane**—wyrzekła błagalnie.

On skierował się ku drzwiom. Anna chciała go zatrzymać, lecz ów dreszcz dziwny wstrząsnął nią, znów do głębi i przykuł niejako do miejsca.

Wreszcie drzwi zamknęły się ukochanym, a ona biedna osunęła się na ziemię i przeplakała noc całą.

— Czego chcesz tutaj, o tej godzinie? — spytała, — jak to nieszczęście okazuje się trochę obłąkaną.

— Przeszedłem się odwiedzić — rzekł Lucyan — jestem dawno twoim przyjacielem, obawiam się, że nie powinnaś się więc dowieść.

— Czy zapomniałaś, jak postąpiłaś ze mną niedługo przedtem? — zawołała Paulina, zalewając się łzami.

— Pomimo tragicznego wypadku, porozumieliśmy się i z łatwością. Lucyan był tak oburzony na mnie, że uniesienie to nie mogło go wymowywać. Miał jednak tyle taktyki, że nie powieścił Paulinie o domowych sprawach, lecz pismo, w którym tak na głębie zwizgił tożsamość i swą miłość, wysłał do niej, a nie do jej matki, która się wściekła.

XIX.

— Rodzina czuła się wyczerpana i postanowiła wyjechać na jakiś czas do wsi, aby się odprężyć i przetrwać zimę.

Świeże powietrze orzeźwiło nieco Lucyana. Czuł silny ból głowy, a krew gwałtownie krążyła w jego żyłach.

Machinalnie włożył rękę do kieszeni i napotkał pęk kluczyków.

— A to zabawne—rzekł sobie z goryczą — zapomniałem, że mam jeszcze drugi dom i że nie będę zmuszony iść na nocleg do hotelu.

Skierował się do swego chwilowego mieszkania, nie było jeszcze zbyt późno i odzwierny siedział przed domem.

— Dobry wieczór panu — rzekł poznając swojego lokatora.—Już pan powrócił ze wsi, pani także przyjechała dzisiaj rano.

— Pani?—spytał Lucyan nie rozumiejąc dobrze co do niego mówiono.

— A no tak, ta pani z trzeciego piętra — rzekł poczciwina mrugając znacząco oczami. — Powróciła i jest w domu.

— Czy sama?—zapytał młody człowiek, a w sercu jego ożyły wszystkie złe skłonności.

— A z kimże chcesz pan żeby była? — zapytał zdziwiony odzwierny.

— Dziękuję—odparł Lucyan.

Zaczął wchodzić z wolna po schodach, niepewny jak ma postąpić; nareszcie zwrócił się do drzwi mieszkania Pauliny i zadzwonił.

Paulina otworzyła mu sama. Przy świetle gazu, który palił się w przedpokoju, poznała z łatwością Lucyana.

— To ty—rzekła—jesteś taki bladej i zmieniony...

Lucyan zamknął drzwi za sobą i spojrzał na kobietę raczej z ciekawością niż niepokojem. Na twarzy jej malowało się zdziwienie.

— Czego chcesz tutaj, o tej godzinie? — spytała, czując, iż należy okazać się trochę obrażoną.

— Przyszedłem cię odwiedzić — rzekł Lucyan siadając. — Jestem dawnym twoim przyjacielem, obecność moja nie powinna cię więc dziwić.

— Czy zapomniałeś, jak postąpiłeś ze mną niegodnie! — zawołała Paulina zalewając się łzami.

Pomimo tragicznego wstępu, porozumieli się z łatwością. Lucyan był tak oburzony na żonę, że uniesienie to uczyniło go wymownym. Miał jednak tyle taktu, że nie powiedział Paulinie o domowych sprawach, lecz piorunował tak na głupie związki rodzinne i zwyczaję towarzyskie, że zrećzna kobieta domyśliła się wszystkiego.

— Rodzina czyniła ci wyrzuty, i postanowiłeś zrobić jej na przekór — myślała patrząc na Lucyana ze złośliwym uśmiechem. Nie wiedząc, co zrobić ze swoją osobą, przynosisz mi ją w ofierze. Co prawda, jesteś teraz kąskiem nie do pogardzenia, gdyż odziedziczyłeś majątek po matce. Wolę cię więc niż tego głupca Ralboise, który porzucił mnie bez ceremonii.

Rzeczywiście, piękny Ralboise, któremu Paulina podobala się niestychanie, gdy należała do innego, nie dbał o nią jak odzyskała wolność. Był on bowiem z tych ludzi, którzy lubią polować na cudzym gruncie.

Tak więc Paulina, mając naraz dwóch kochanków, nagle pozostała bez żadnego. Nie miała się więc co namyślać, gdy Lucyan powrócił do niej, mogła go wprowadzić odprawić z kwitkiem, ale nużby więcej nie przyszedł? W jednej chwili potrafiła obliczyć wszystkie korzyści swego nowego położenia, najpierw zyskiwała utrzymanie, powtóre Lucyan mógł jej w przyszłości posłużyć za narzędzie zemsty przeciwko panu de Ralboise. Takie kobiety nie przebierają w środkach,

Odegrała więc tylko małą scenkę wyrzutów i czułości, zaklinając się, że Lucyana kochała dla niego samego, na dowód czego pokazała mu nietknięte bilety bankowe, które Romanet zostawił jej na wsi, upewniając, że miała mu je w całości odesłać.

Jednym słowem, umiała tak chwycić za serce Lucyana, oburzając się na wymagania jego rodziny, że młody malarz niepomny na to, iż gniew tylko wygnał go z domu, zapominając o łzach żony i złamanem jej życia, powiedział sobie, że był niesprawiedliwy względem Pauliny, która jedna prawdziwie go kochała; i że tę niesprawiedliwość naprawić musi. Usnął zadowolony, że wreszcie ktoś przyznał mu słuszność, i przyrzekając sobie, że nie da się kierować jak małe dziecko.

Obudził się w tem samym usposobieniu umysłu. Nie mówiąc Paulinie o żadnych projektach na przyszłość, oznajmił jej tylko, że obecne jego mieszkanie jest za szczupłe, musi więc wynająć inne obszerniejsze, gdzieby mógł przyjmować przyjaciół i znajomych. Paulina zrozumiała jednak łatwo, że się już z nią nie rozłączy.

Chcąc się niejako usprawiedliwić ze swego postępku przed ojcem i panią Orliet, i obawiając się zarazem, aby go żona nie uprzedziła, pojechał natychmiast do Mantes.

Udał się najpierw do teściowej, lecz nie zastał jej w domu. Powiedziano mu, iż była u pana Romanet zajęta porządkowaniem rzeczy należących do nieboszczki pani Romanet. Poszedł więc do ojca, gdzie zastał panią Orliet, pochyloną nad szufladą pełną papierów.

Oboje powitali serdecznie Lucyana, utrudniając mu tym sposobem wyznanie, które wiedział, jakim będzie dla nich ciosem.

— Wracasz z Paryża, czy widziałeś się z Anną? — spytał ojciec zaraz po przywitaniu.

— Widziałem się z Anną — rzekł takim tonem, iż pani Orliet podniosła głowę, a pan Romanet zapytał z trwogą:

— Czy żona twoja chora?

Pani Orliet spojrzawszy na zięcia, domyśliła się prawdy. Anna zwierzyła jej się bowiem ze swych niepokojów.

— Anna postawiła mi takie warunki zgody, że życie z nią stałoby się nieszczęśliwe — rzekł Lucyan z uniesieniem. — Naprózno odwoływałem się do jej rozsądku. Przyjechałem więc w tym celu, aby oznajmić państwu, że rozstajemy się na zawsze.

— Lucyanie, ty bredzisz jak w gorączce! — zawołał pan Romanet z przerażeniem.

Pani Orliet milczała, wzrok jej pogodny przenikał Lucyana do głębi. Pojmowała, jaki nim miotał gniew i oburzenie, lecz cóż mogła uczynić, aby zwalczyć bolesny opór córki?

— Nie jestem w gorączce — odparł Lucyan. — Sam pojmięz mój ojciec, że nie mogę żyć z żoną pod jednym dachem, gdy ona nie chce być dla mnie niczem więcej jak przyjaciółką, gdy nawet nie robi mi nadziei, aby stosunek ten mógł się kiedykolwiek odmienić...

— Ależ to nie ma sensu! — zawołał pan Romanet.

— Otóż to samo mówiłem Annie! — rzekł ucieszony Lucyan. — Powiedziałem jej, że nie mogę okrywać się śmiešnością; pomimo tego ona nie chce ustąpić, zatem ja się usunąłem i już nie powrócę do niej nigdy, o! nigdy!

Pau Romanet 2). — *Ładunek do Kuryera Gószannego.*

— Ale kiedyżście mieli czas się tak poróżnić? — zapytał notaryusz.

— Wczoraj wieczorem. Wróciłem w jak najlepszym usposobieniu i gotów byłem wszystko uczynić, byle odzyskać miłość żony. Nie kryłem przed nią moich błędów i Anna twierdziła, że mi przebacza w zupełności. Lecz to, co ona nazywa przebaczeniem, jest tylko obojętnością z jej strony. Chce wmówić we mnie, że braterskie uczucie powinno być dla mnie być wystarczające.... Osądź zatem sam mój ojciec, czy ja mogę zgodzić się na podobne warunki?

— Naturalnie, że nie—odparł mniej już pewnym głosem notaryusz.

— Wy mężczyźni powiecie zawsze, że Anna nie ma racji—odezwała się milcząca dotąd pani Orliet—ale stawcie się w położeniu kobiety młodej i ładnej, a opuszczonej bez powodu, to może zmienicie zdanie.

Oczy Lucyana zapłonęły gniewem.

— Jeżeli moja żona czuła, że nie mogła mi przebaczyć—rzekł—po co odgrywała tę obłudną rolę?

— Wiesz dobrze Lucyanie, że Anna przebaczyła ci szczerze—rzekła z tak głębokim przekonaniem pani Orliet, iż Lucyana nie śmiał jej zaprzeczyć.

— A więc—dodał pan Romanet — może to tylko dumą, która zmięknie z czasem.

Matka Anny czuła, że takie rany nie zblizniają się nigdy, lecz nie chciała rozporządzać własnowolnie przyszłością córki i milczała.

— Nie mogę przecież czekać na łaskę żony — mówił dalej Lucyana.—A jeśli ona mnie odpęda, jestem zupełnie wolny.

Rozmowa przeciągnęła się jeszcze długo, potęgując tylko rozdrażnienie.

— Uniosłeś się zbyt mocno—mówił notaryusz do syna.—Chciałeś być panem samowładnym.

— A czy ojciec będąc na moim miejscu uczyniłby inaczej?—spytał Lucyana.

Zaległo przykre milczenie.

— Ja będę mieszkać w Paryżu przy córce—odezwała się po chwili pani Orliet. — Anna nie może żyć tak samotnie, a gdybym ją wzięła do siebie, ludzie sądziliby że mąż ją oddalił od siebie. Mam nadzieję, Lucyanie, że kiedyś, gdy lepiej ocenisz delikatność uczuć Anny, z żalem zapukasz do drzwi jej mieszkania.

Odwróciła głowę, aby zięć nie widział lez gwałtem ciskających się jej do oczu. Lucyana skłonił się poważnie i nie odrzekł już ani słowa. W tej chwili dałby się raczej zabić, niżby miał przestąpić próg domu Anny.

— Ależ zastanów się!—zawołał z rozpaczą ojciec,— że małżeństwa nie można zerwać tak łatwo!

— Nie moja w tem wina mój ojciec—odparł Lucyana. Nareszcie pani Orliet pierwsza zaczęła się żegnać, chcąc jeszcze tego samego dnia jechać do Paryża. Notaryusz wziął ją na stronę i zaklinał na wszystko w świecie, aby starała się zwalczyć upór Anny.

— Nie podejmuję się tego—odrzekła—córka moja postąpiła tak, jak jej to wskazuje sumienie. Zdaje mi się, że najwłaściwiej jest nie mieszać się między małżeństwo.

I serdecznie żegnana przez notaryusza, pani Orliet wyszła, skinawszy zaledwie głową Lucyanowi. Nie zrobiła mu już żadnej wymówki, wzrok jej tylko wyrażał bezgraniczną boleść.

— Cóż ty myślisz z sobą teraz począc?—zapytał ojciec syna, gdy pozostali sami.

— Będę żył, jak mi się podobał—odrzekł ten ostatni.

— Powinienbyś przecie ustatkować się trochę—rzekł z niechęcią notaryusz.

— Bądź spokojny, mój ojciec—odpowiedział Lucyana—już ja tak urządzę sobie życie, że nikt mnie nie potępi.

— Tak sądzisz!—mruknął pan Romanet. — Nie tak to łatwo, jak ci się zdaje. Raz wyrzekłszy się najświętszych obowiązków, nie znajdziesz spokoju, a ci co najpierwsi zaczęli cię do szaleństw, będą cię teraz wytykać palcami, będą szydzić z twojego postępowania i nie darują nawet biednej, nieszczęśliwej Annie.

— Cóż ja na to poradzę — rzekł obojętnie Lucyana.— To tylko Anny wina.

Nie wydał się przed ojcem z zamiarami na przyszłość, powiedział tylko, że zmieni mieszkanie. Majątek odziedziczony po matce, czynił go niezależnym, ojciec więc mógł mu tylko grozić swoim gniewem, którego jakoś Lucyana nie bardzo się lękał. W rzeczy samej, nieszczęście tak pognębiło notaryusza, iż stał się o wiele pobłażliwszym.

— Odwiedz że mnie kiedy—powiedział do syna przy pożegnaniu.

Byłby z chęcią zostawił Lucyana na obiad, lecz obawiając się aby pani Orliet za złe mu nie wzięła tej pobłażliwości względem syna, wolał się tego wyrzec. W głębi duszy oburzał się na synową, nie mogąc zrozumieć pobudek jej czynu.

— Gdybym ja był na miejscu Lucyana—pomyślał—przyprowałbym ją zaraz do porządku.

— El pogodzą się oni z pewnością — rzekł do siebie notaryusz po odejściu syna—takie nieporozumienia nie są długotrwałe.

W tej chwili przyszło mu jednak na myśl zdarzenie, jakie miało miejsce przed laty. Młode małżeństwo pokłóciło się o jakąś drobnostkę i niesnaski przybrały tak groźny pozór, że musiała wdać się w to rodzina, lecz pomimo usiłowania teje, nigdy już między niemi do zupełnego porozumienia nie przyszło.

Pan Romanet zatrwożył się aby i tu coś podobnego się nie przytrafiło. Postanowił zatem czuwać nad synem, co nie było rzeczą zbyt łatwą.

XX,

Lucyan przeprowadził się jak to postanowił; wynajął eleganckie mieszkanie bliżej środka miasta i łatwo można się domyśleć, że Paulina zamieszkała z nim razem.

Nie stało się to od razu, młody malarz bowiem dał sobie słowo, że zachowa wszelkie pozory przyzwoitości w obec świata, aby całą winę zrzucić na żonę.

Był to podług niego bardzo chwalebny zamiar, kłórego jednak do skutku doprowadzić nie potrafił. Przyzwyczajony do wygód rodzinnego życia, Lucyan nie mógł się zadowolnić rządami służącej. Zaczął się więc stołować u Pauliny, lecz gdy nastały dni słotne, przymusowe to wychodzenie na obiad dało mu się potężnie we znaki. Nareszcie jednego dnia Paulina przyszła do niego ze służącą, aby mu przygotować śniadanie, i nie wiedzieć jak się to stało, że już nie wróciła do siebie.

Jalbrun dowiedziawszy się o tem, pogniwał się na dobre. Od czasu nieporozumienia Lucyana z żoną, muzyk stał się daleko obojętniejszym dla przyjaciela, jakkolwiek nie wiedział jaki był rzeczywisty powód gniewu między małżonkami; instynktem jednak odgadł wszystko.

Lucyan odzywał się zawsze o żonie z niewymowną goryczą i tłumionym gniewem. Anna zaś, którą Jalbrun odwiedzał niekiedy, nie mówiła nigdy o mężu, lecz smutek głęboki malujący się na jej twarzy, jasno przedstawiał usposobienie jej duszy. Cierpiała, ale nie skarżyła się nigdy.

Obie z matką uprzejmie zawsze przyjmowały Jalbruna, który był jedynym węzłem łączącym je z Lucyanem.

Dopóki Lucyan zachowywał pozory przyzwoitości, Jalbrun nie wiedział co o tem wszystkim sądzić. Wiedział on dobrze, że Lucyan nie był bez grzechu, ale przypuszczał, że może i Anna postąpiła z mężem zbyt surowo; lecz

gdy Paulina wystąpiła znowu w charakterze gospodyni domu, gdy Lucyan pod pozorem zaproszenia na obiad oznajmił o tem przyjacielowi, wtedy Jalbrun powiedział Lucyanowi gorzką prawdę.

Gdy młody malarz był w niedostatku i pożyczał pieniędzy od Jalbruna, wrodzone poczucie delikatności nie dozwalało temu ostatniemu na robienie uwag, teraz za to wynagrodził sobie sownie tę wstrzeźliwość.

— Co za rozum kompromitować się takimi śmiesznymi związkami—kończył Jalbrun po długiej przemowie —to tylko głupcy tak robią, a ty przecie nim nie jesteś. Uczciwy człowiek nie naraża się dobrowolnie na złośliwą gadaninę ludzką ...

— Ja nie pozwolę żartować z siebie!—zawołał Lucyan, który z miną znudzoną, ale nie śmiejąc przerywać, wysłuchał całego kazania.

— A cóż na to poradzisz? Będziesz się pojedykował? Dla takiej Pauliny?

— A naturalnie!

— No, jeszczeby tego brakowało! — mruknął Jalbrun wzruszając ramionami. — Zresztą rób jak ci się spodoba, tylko nie zapraszaj mnie na obiad.

Lucyan więc, znalazł kolegów mniej skrupulatnych, którzy z ochotą dotrzymani mu towarzystwa. Dobrał sobie ludzi pędzących życie w ten sam sposób, mógł zatem być między nimi poważanym, a rzecz dziwna, im niżej stał na stopniu moralnej wartości, tem goręcej pragnął szacunku i uznania.

W miarę jak Paryż zaludniał się na zimę, Lucjana spotykały różne drobne ale dotkliwe przykrości. Najpierw kobiety z tych towarzystw w jakich bywał z żoną, zaczęły okazywać mu pogardę. Nie mogły one przebaczyć temu pięknemu i miłemu chłopcu, że tak łatwo wyrzekł się ich świata.

Niejedna z pięknych pań, któraby bez wyrzutu sumienia podkopała szczęście Anny, wciągając Lucjana w niebezpieczny romansik, oburzała się teraz na jego śmiałe wycieczki w krainę półświatka.

Lucyan z niemilem zdziwieniem dostrzegł, iż wiele młodych mężatek nie odpowiada mu wcale, lub tylko pogardliwym skinieniem głowy na jego grzeczny ukłon.—mażonkowie szli także za przykładem swoich połowic.

Człowiek starszy i wytrawniejszy, mniej by sobie robił z takich drobnostek; powiedziałby sobie, że ta niełaska musi przejść, że za takie rzeczy nikt nie potępią mężczyzny, bo przecież to nie jest wykroczenie przeciwko honorowi.

Ale dla Lucjana położenie to było nowością. Bogobojne wychowanie i wpływ życia rodzinnego, uczyniły go surowym sędzią spraw cudzych i swoich. Chciał się usprawiedliwić przed własnym sumieniem, a zawsze potępił się w końcu. Miał żal do Anny za jej szalony upór, lecz w tej chwili przypominał sobie kto był przyczyną tego uporu?

Miotany tak sprzecznymi uczuciami, Lucyan stał się tak drażliwym, że lada drobnostka wprowadzała go w jak najgorszy humor. Sam przestał się kłaniać znajomym, którzy okazali mu jakąś obojętność.

Przytem dziwiło go to niezmiernie, że nie zapraszano go nigdzie na wieczory, choć była to rzecz bardzo prosta, znajomi jego zmuszeni wybierać między nim a jego żoną, woleli raczej widzieć u siebie Annę, którą głos ogółu uznał za najniewinniejszą. Trzeba było biednej kobiecie oszczędzać przykrości spotykania niewiernego małżonka.

— A więc to tak się ze mną obchodził — powiedział sobie Lucyan dnia jednego — wykluczają mnie z towarzystwa! Niech i tak będzie, pokażę im że kpię sobie ze wszystkich, a zobaczymy kto się cofnie.

Od tego dnia, chcąc pokazać jak lekceważył sobie opinię publiczną, zaczął wychodzić pod rękę z Pauliną. Prowadził ją po teatrach, restauracjach i kawiarniach. Jednym słowem wszędzie, gdziekolwiek spodziewał się zastać znajomych. Przechodził koło nich z czołem dumnie podniesionem, jakby dopełniał jakiegoś bohaterskiego czynu. Wszyscy uważali to postępowanie co najmniej za nierozsądne, ale nikt nie ośmielił się robić mu uwag.

Anna cierpiała po nad wszelki wyraz. Szlachetna jej duma oburzała się na szaleństwo męża. Przytem kochała zawsze Lucjana, miłością tem potężniejszą, że wszelkie porozumienie było niemożliwem.

Dusza jej rwała się do ukochanego, były chwile, iż chciała biedz do niego, wołając. „Wiesz, że cię kocham, że zdala od siebie nie możemy być szczęśliwi, wróc zatem do domowego ogniska, przy którym dziecię twoje wzrasta, nie znając rysów twej twarzy, ani dźwięku twego głosu!“

Lecz myśl, że ramiona Lucjana wyciągały by się znowu ku niej miłośnie, że usta jego szukałyby ust jej, przejmowała ją takim wstrętem, że musiała się wyrzec nadziei pojednania. Zdawało się nieszczęśliwej kobiecie, iż skalałaby swą godność niewieścią, gdyby przychyliła się do żądania męża.

Pani Orliet odgadła bolesną tajemnicę córki. Z takim właściwym jej wiekowi, starała się wpłynąć na zmianę postanowienia Anny.

— Życie kobiety moje dziecko — mówiła jej — bywa najczęściej jednym pasmem poświęcenia. To przed któ-

rem się cofnęłaś, było w istocie ofiarą wielką, wymagającą siły charakteru, a ty biedaczko nie miałaś na to odwagi. Daj Boże aby cię tylko boleśniejsze nie spotkały wady.

— Choćbym nie wiem jak cierpieć miała — przerwała jej młoda kobieta — nie wyrzeknę się poczucia osobistej godności!

Pani Orliet zamilkła; bo rzeczywiście czyż może być okrutniejsza boleść dla szlachetnej kobiety, jak oddać się człowiekowi, którego przestała szanować? względem którego miłość przemieniła się w pewien rodzaj macierzyńskiego uczucia? Anna cofnęła się przed tem poświęceniem; z radością oddałaby życie, aby tylko okupić tem szczęście męża, ale żyć z nim razem nie mogła.

Anna tej zimy mało bywała w świecie, chociaż zapraszano ją chętnie, a obecność matki była dostateczną dla niej opieką; lecz myśli, że ludzie ciekawie na nią spoglądają i obawa niedyskretnych pytań, odstręczały ją od towarzystwa.

Nie przyjmowała również prawie nikogo, usprawiedliwiając się żałobą po matce męża. Całą jej rozrywką były przechadzki, które odbywała z panią Orliet i małą Ludwiną.

Stary pan Romanet przyjeżdżał raz na tydzień, aby zobaczyć wnuczkę, którą szalenie kochał. Nie wesoło bywały te odwiedziny i gdyby mała Ludwinia szczebiotem swoim nie rozjaśniała trochę ich smutku, płakaliby tylko nad nieobecny, który był przyczyną ich cierpień.

Po gwałtownej scenie z mężem, Anna powiedziała sobie:

— Będę do niego posyłać dziecię!

Lecz marzeuie to musiało się rozwiać, gdy Paulina zamieszkała z Lucyanem.

Na samą myśl, iż niewinne dziecię spotka u ojca kobietę, która zajęła jej miejsce u domowego ogniska, Annę przenikał dreszcz trwogi.

Jalbrun pierwszy ją ostrzegł, kiedy zwierzyła mu się ze swym projektem.

— Kochana pani — rzekł jej — nie posyłaj swej córeczki do męża, to niemożliwe.

Dość było tych kilku słów, aby Anna zrozumiała, co mianowicie zagradzało jej dziecięciu, wstęp do ojcowskiego domu. Była to nowa kropla goryczy, która wpadła do przepelniającego się już kielicha.

O! jakże daleko odbiegły od niej złote sny młodości! Zdawało jej się, że od spotkania z Lucyanem na wyspie, od owego uroczego poranku w dzień ślubu, wieki już upłynęły i że ona biedna spadłszy w głąb bezdennej prze-

paści, z sercem rozdartem, zboleła, nigdy już nie dosięgnie tego świetlanego szczytu, do którego rwała się jej dusza.

Była wdową, gorzej jak wdową! Wdowy mogą płakać, mogą nosić żałobę, a świat współczuje ich boleści; smutna tragedia ich małżeńskiego życia głodzi wszelkie obustronne winy i ciekawość nie mąci ich spokoju. Przeciwnie Anna narażoną była na ciągłe uwagi osób obojętnych; wiedziała ona dobrze, iż z czasem smutek jej nazwą udaniem, a spokój wesołością kobiety, która znalazła pociechę.

Gdyby nie dziecię, pragnęłaby gorąco śmierci; dla Ludwini chciała żyć, aby tylko jak najbardziej odosobniona od świata, który nie miał już dla niej powabu, w obec ruin zdruzgotanego jej szczęścia.

W pogodny dzień grudniowy, wyszła raz Anna na spacer, za nią nianka niosła dziecinę. Młoda matka wstąpiła po drodze do jakiegoś składu zabawek na ulicy Rivoli i kupiła małej Ludwini ślicznego baranka. Dziecko śmiało się i tuliło do siebie zabawkę, a Anna spoglądała na córeczkę ze smętnym uśmiechem, ciesząc się jej radością.

Nagle, jakby pociągnięta magnetyczną siłą, podniosła głowę i spotkała się z utkwionem w siebie spojrzeniem Lucjana, który oparty o filar stał, jakby oczekując na kogoś.

Anna zadrżała i stanęła jak wryta, popychana przez przechodniów dążących w różne strony.

Spojrzenie Lucjana z niewysłowioną czułością i żalem zwróciło się na dziecko.

O! Anna pamiętała dobrze, że takim wzrokiem mąż spoglądał na kolebkę, w której spoczywała nowo narodzona Ludwinia. Tylko wtedy twarz jego promieniała szczęściem, dziś zaś wryty był na niej głęboki smutek.

Teraz ukochany stał blisko niej, była jego żoną, nosiła jego nazwisko, straciła jego opłakiwała co dzień, co godzina. Nie, tak dłużej być nie może; przejęta głębokiem wzruszeniem Anna, chciała wziąć dziecię i podać je ojcu mówiąc: „Chodźmy do domu!”

Biedna kobieta wycierpiała już tyle, a kochała tak silnie, że w tej chwili wszystko wydało jej się możliwe. Na widok męża, serce jej zmiękło. Czuliła, że zbliżenie będzie dla niej bolesnem, że wstętu swego nie przezwyciężyła jeszcze, gotową jednak była znieść wszystkie męki dla tej jedynej radości, aby ujrzeć znów Lucjana w rodzinnem kole. Teraz poznała jak był jej drogim ów ukochany towarzysz lat dziecinnych, ów wysniony ideał mło-

dości! A chociaż znikł czarodziejski urok, chociaż ideał spadł z piedestału, niemniej kochała go biedna!

W tej chwili Lucyan spotkał się ze wzrokiem żony i zadrżał również. W oczach jego Anna wyczytała takie głębokie przywiązanie, taką bezgraniczną boleść, że nie namyślając się dłużej, chwyciła sługę za rękaw i zaczęła się przedzierać przez tłum, kierując się w stronę Lucjana.

Lecz gdy Anna była już tylko o kilka kroków od Lucjana, Paulina wybiegła z sąsiedniego sklepu i zbliżając się do młodego człowieka, szepnęła mu słów kilka do ucha, poczem wsiadła do oczekującego na nich powozu. Lucyan spojrział raz jeszcze na żonę, w tej chwili gotów był porzucić wszystko i iść posłuszny za nią.

Lecz Anna na widok Pauliny zatrzymała się i spuściła oczy, był to dla niej cios za zbyt bolesny. Lucyan też zawałał się, a że Paulina wołała na niego niecierpliwie, wsiadł do powozu i odjechał.

Anna wróciła jeszcze bardziej zboląta do samotnego domu.

Wieczorem przyniesiono wielki kosz zabawek dla Ludwini. Dziecina okrzykiem radości powitała tyle pięknych rzeczy.

Anna unikała wzroku matki, aby nie wybuchnąć płaczem. Palące łzy płynęły cicho po jej twarzy.

— Kto przysłał te zabawki Ludwini? — spytała drżącym głosem dziewczyny.

— Mama—odrzekła bez namysłu dziewczynka, posyłając matce rączką od ust pocałunek.

— Nie, to tata—odparła młoda kobieta—prześlij całusa tatusiowi.

Dziecię obejrzało się w około, jakby wzrokiem szukało kogoś, a nie wiedząc dokąd skierować pieszczotę, przesłało całusa zabawkom.

Anna uciekła do swojego pokoju, aby się tam wypłakać swobodnie.

Tego samego dnia, Jalbrun powracając z przedstawienia jakiejś nowej opery, wchodził po ciemku na schody, pośpiewując słyszane motywy, gdy w tem drzwi jego własnego mieszkania otworzyły się przed nim i na progu ukazał się Lucyan ze świecą w ręku.

— Wziąłem klucz od odźwiernego i czekam na Ciebie już przeszło godzinę. Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Jalbrun zawsze uważny, zamknął starannie drzwi za sobą i wprowadził przyjaciela do pokoju.

— Czy się co złego przytrafiło twojej rodzinie? — zapytał.

— Nie, bynajmniej.

Jalbrun spojrział uważnie na przyjaciela.

— Masz jakąś nieprzyjemną kwestję do załatwienia? — zapytał bębniąc machinalnie palcami po stole rytm marsza z dopiero co usłyszonej opery.

Lucyan skinął twierdząco głową.

— Cóż to takiego, czy jaka kłótnia?

— Zgadłeś—odparł młody malarz.

— Trzeba to jakoś załagodzić.

— Nie—odrzekł stanowczo Lucyan. — Będę się poje-dynkować.

— Z kim?—zapytał po chwili Jalbrun.

— Z panem de Ralboise.

Muzyk porwał się tak nagle z krzesła, że o mało nie wyrucił stołu.

— Z tym głupcem!—zawołał — ależ zastanów się, do wszystkich dyabłów, czy warto się z nim bić?

— Ale kiedy ja tak chcę—odrzekł spokojnie Lucyan, z panem de Ralboise, czy z kim innym, to mi wszystko jedno. Dałem sobie słowo, że wyzwę na pojedynek pierwszego lepszego, który się krzywo na mnie spojrzy. A ponieważ los zrządził, że tym kimś jest pan de Ralboise, tem gorzej dla niego.

Jalbrun usiadł. Przypomniawszy sobie w tej chwili, że kiedy odjeżdżał z Lucyanem do chorej jego matki, pan de Ralboise pozostał z Pauliną. Może to było powodem pojedynku.

— I o cóż wam przeszło?—zapytał chcąc dowiedzieć się prawdy.

— O! miałem słuszny powód obrazy—odparł Lucyan.

— Jakże to było, powiedz.

Lucyan zawałał się, czuł dobrze, że przyjaciel nie podzieli jego zdania.

— Poszedłem z Pauliną do Folies-Bergère — rzekł po chwili.

— To już pierwszy błąd—odparł Jalbrun — nie powinienś chodzić z Pauliną. No, ale mów dalej.

— Złe czy dobrze postąpiłem, mniejsza o to—zawołał gniewnie Lucyan—dość, że byłem tam z nią razem. Niedługo zjawił się Ralboise, Paulina twierdzi, że ukłoniła mu się, a on nie oddał jej ukłonu.

— Choćby i tak było, to dziura w niebie się nie zrobiła—odrzekł filozoficznie Jalbrun.—Jeżeli Paulinie przyjdzie do głowy kłaniać się wszystkim mężczyznom jakich zna, to ją często może spotkać podobna nieprzyjemność. No i cóż dalej?

— A no cóż, Paulina powiedziała mi to, i to mnie zniescierpliwilo. Bo kiedy prowadzę pod rękę kobietę, to pojmujeś dobrze mój drogi, że chcę aby ją szanowano...

— Co do tego, to mylisz się grubo — przerwał Jalbrun — nie każdą można szanować. No cóż dalej?

— Po chwili spostrzegłem, że Ralboise mówi o mnie ze swoimi przyjaciółmi, których ja nie znam. Widocznem było, że wyśmiewał się ze mnie, no i z Pauliny naturalnie. Czułem, że krew uderza mi do głowy. Paulina nagliła do powrotu i już mieliśmy wychodzić, gdy Ralboise rozśmiał się głosem spoglądając z drwiącą miną na mnie. Tego już było nadto — dodał Lucyan z uniesieniem — nie znoję by lada chłystek mieszał się do moich interesów...

— Trudno ludziom zamknąć usta — pomyślał Jalbrun, ale nie odrzekł nic, nie chcąc do ostateczności doprowadzić przyjaciela i tak już mocno wzburzonego.

— Poszedłem wprost do Ralboise'a i zapytałem go o czego się śmieje — mówił dalej Lucyan — odpowiedział mi, że to do mnie nie należy. Zamieniliśmy jeszcze słów kilka i nareszcie rzuciłem mu w twarz bilet wizytowy.

— I to wszystko dla tego, że się nie ukłonił Paulinie — rzekł z wolna Jalbrun. — Czy głupstwo takie warte pojedynku.

— To nie jest głupstwo! — zawołał Romanet z gniewem. — Jeżeli nie chcesz służyć mi za świadka, muszę poszukać kogo innego.

Napróżno Jalbrun starał się uspokoić przyjaciela, Lucyan był tak rozdrażniony, że ani słuchać nie chciał o pojedynku.

— Może to i lepiej — pomyślał Jalbrun — niech się dzieje wola Boska.

— Czy mogę przenocować u ciebie — spytał Lucyan rozmówiwszy się wpieryw z przyjacielem o warunki pojedynku. Nie mam ochoty wracać do siebie ani też iść do hotelu...

— Połóż się na mojem łóżku, ja prześpię się na sofie, i kładźmy się co prędzej, bo już późno, a jutro trzeba wstać rano.

Jednak żaden z nich nie spał, zawiele obydwaj mieli do myślenia, wstali też równo ze świtem.

— Najlepiej zrobisz, jeśli pojedziesz dziś do ojca — rzekł Jalbrun do przyjaciela. — Unikniesz niemiłego oczekiwania i sprawisz ojcu przyjemność, bo spodziewam się przecież, że nie wygadasz się przed panem Romanet o pojedynku.

— Bądź spokojny — nie jestem dzieckiem.

— A więc, jedź zaraz, ja odprowadzę cię na banhof i tam wypijemy śniadanie.

Jalbrun miał ważny powód wyprawienia tak nagle przyjaciela; gdy bowiem wrócił z kolei do domu, zastał już oczekującą nań u odźwiernego Paulinę.

— Gdzie jest Lucyan? — spytała go tragicznym tonem.

— Na wsi — odrzekł spokojnie Jalbrun. — Ale jeśli masz mi pani co więcej do powiedzenia, to chodźmy raczej do jej mieszkania, bo tu wcale nie odpowiednie miejsce do zwierzeń.

Zimna krew Jalbrun'a podziałała jak strumień wody na Paulinę. Posłuszna udała się za nim, a gdy znaleźli się w pracowni Lucyana, Jalbrun usiadł i wskazał Paulinie fotel.

— Dramacik, który pani tak zręcznie odegrałaś, powiódł się znakomicie — rzekł — aż za dobrze, bo nie myślałaś, że Lucyan uniesie się do tego stopnia. Chciałaś się zemścić za niewinność tego panicza i Lucyan stał się w twem ręku posłusznym narzędziem zemsty. Powinnaś być zadowolona.

Paulina słuchała go z widoczną niecierpliwością.

— Gdzie jest Lucyan? — spytała powtórnie.

— Mówilem już pani, że na wsi — rzekł spokojnie Jalbrun.

— Czy powróci dziś wieczór?

— Nie.

— Kiedyż więc?

— Nic nie wiem, kochana przyjaciółko — mówił artysta z tym samym co wprzód spokojem — Lucyan sam nie umiały na to pytanie odpowiedzieć. Takie rzeczy postanawiają się nagle.

— JAKO? będzie się więc pojedynkować? — zawołała z udanem przerażeniem Paulina.

— Nie udawajże pani zdziwionej; kiedy go sama do tego popchnęłaś. To ci pochlebia, że człowiek taki jak Romanet, będzie się bić o ciebie, to uczyni cię modną, nieprawdaż? Bo że tam kto postrada życie lub zostanie kaleką, to rzecz dla ciebie obojętna, znajdziesz z łatwością inno. Ale dla tych co kochają Lucyana, to nie wszystko jedno. My postaramy się naprawić to, co ty złego uczyniłaś, postaramy się nie dopuścić do pojedynku. Radzę więc pani, abyś siedziała cicho i nie nadawała tej sprawie niepotrzebnego rozgłosu!

— Ależ ja go kocham! — zawołała Paulina zalewając się łzami.

— Kochasz go, a zdradziłaś go dla takiego głupca jak Ralboise.

— Lucyan porzucił mnie...

— Jeszcze o tem nie wiedziałaś, gdy zaczęłaś romanować z drugim.

Paulina nie umiała znaleźć na to odpowiedzi.

— Przynajmniej daj mi pan znać co się z nim dzieje — rzekła płacząc ciągle.

— Pan Romanet 32. — Dodałek do Kurjera Codziennego.

Jalbrun zmiękł trochę.

— Dobrze, dobrze — rzekł — jutro będziesz pani miała o Lucyanie wiadomość.

Skończywszy tę niemiłą rozmowę, Jalbrun zbiegł szybko ze schodów i udał się do drugiego przyjaciela Lucyana, wzywając go także na świadka.

Razem pojechali do pana de Ralboise, którego to wyzwanie zdziwiło niezmiernie. Dotąd wszystkie jego awanturki miłosne, nie pociągały za sobą tak poważnych następstw; potrafił się tak zgrabnie urządzać, że umiał się podobać kobietom, a uchodzić za zero w oczach mężczyzn. To też nie mógł pojąć tego, że przyszła chwila, iż ktoś zażądał rachunku z jego postępowania.

Co prawda, nie podobna mu było zaprzeczyć, że drwił wczoraj z Pauliny i Lucyana; że odpowiedział mu szorstko, gdy malarz zapytał go o powód śmiechu, lecz nigdy nie przypuszczał pojedynku, sądził, że ta kłótnia załatwi się w sposób polubowny.

Gdy rzeczy wzięły inny obrót, Ralboise doznał niemiłego wrażenia, lecz później ucałował się dumnym. Pojedynek, to nie bagatela, to doda mu powagi w obec świata. A przytem rozprawa nie będzie śmiertelną, od czegoż są świadkowie?

Tak mniemał Ralboise, lecz Lucyan był innego zdania. Rozdrażniony rozmaitemi przykrościami, Romanet nie chciał w tym razie narazić się na śmieszność i wymagał surowych warunków.

Widząc to Ralboise, który pomimo płytkiego umysłu, był honorowym człowiekiem, obostrzył jeszcze prawa pojedynku.

— Pan Romanet wyzwał mnie prawie bez powodu — rzekł — żądam więc rzetelnego zadość uczynienia.

Ponieważ Ralboise jako wyzwany miał prawo wyboru broni, wybrał zatem szpady, na które wolał się pojedynkować, niż na pistolety.

Spotkanie naznaczono na jutro, na siódmą godzinę rano, w parku Saint-Cloud. Miejsce to w tej porze roku była zawsze pustą. Załatwiwszy to wszystko, Jalbrun wrócił do domu trochę spokojniejszy.

Lucyan tymczasem spędził dzień ten w towarzystwie ojca. Stary pan Romanet uszczęśliwiony obecnością syna, kazał przyrządzić jak najwytworniejsze śniadanie. Lecz Lucyan jadł mało. Wspomnienia oblegały go tłumnie.

Widział się małym dziecięciem siedzącym na wysokim krzeselku przy matce, w owym czasie jeszcze młody i ładny, a zawsze tak dobry. Matka przemawiała do niego łagodnie i starannie ukrywała błędy chłopczyny przed

ojcem, który był surowy do zbytku. Dobra, kochana matka, obawiała się gniewu ojca!

Później ujrzał się już sporym chłopcem, w aksamitnej kurtce i marynarskim kołnierzu. O! wtedy był trochę leniuszkiem, nie miał chęci odrabiać zadanych lekcyj, wolał biegać po ogrodzie! Ta epoka życia dobrze utkwiła mu w pamięci, bo wtedy najczęściej był karany przez ojca. Wiele razy nie dostał obiadu lub kolacyi z rozkazu ojca i tylko matka pokryjomu zanosila mu do jego pokoju jego ulubione przysmaki. Biedna matka, nie przeczuwała bynajmniej, że lepiej by było dla jedynaka, gdyby surowiej był chowany.

Całe dzieciństwo Lucyana upłynęło w ten sposób, matka psuła go do zbytku, ojciec lajał za surowo, a chociaż syn kochał i szanował ojca, matkę jednak uwielbiał.

Z pomiędzy wszystkich wspomnień, wyłoniło się jedno najżywiej. Raz, w wigilię Bożego narodzenia, Lucyan zawinił coś i ojciec ukarał go surowo; upór chłopczyny przedłużył jeszcze karę. Wieczorem przyszła Anusia z matką. Dziewczynka, widząc swego towarzysza na pokucie, płakała tak rzewnie, że jednocześnie wzruszyła serce ojca i syna. W chwili, kiedy ojciec miał już przebaczyć chłopcu, Lucyan, którego serce zmiękło nagle, rzucił się do ojca przepraszając go z płaczem.

Za kilka dni wypadła właśnie rocznica tego zdarzenia i Lucyan westchnął nad straconem szczęściem swoim.

Później Anna... zawsze Anna... Lucyan poruszył się niecierpliwie, czyż ta kobieta była tak nieodłączną od jego życia, że nawet na chwilę nie mógł o niej zapomnieć?

Ojciec widząc jego poruszenie; sądził, że mu zimno i sam dołożył drzewa na kominek, a myśli Lucyana przeskoczyły nagle na inny przedmiot. Myślał o jutrze, o tem spotkaniu wśród przenikliwej mgły porannej.

Dotąd uważał ten pojedynek jako rzecz konieczną, teraz przedstawił mu się dopiero we właściwym świetle; bić się o wątpliwy honor kobiety, z niezbyt zasługującym na szacunek przeciwnikiem, to śmieszne. Ale trudno, już było za późno, nie podobna się cofnąć; Ralboise mógłby sądzić, że skłoniła go do tego kroku bojaźń. O! raczej umrzeć niż splamić honor. Lucyan zresztą nie lękał się śmierci....

Ale jeśli Ralboise go zabije, co stanie się z Anną? co z małą Ludwiną?... Wyobraźnia przedstawiła mu dziecięcą taką, jak ją widział wczoraj. Ładna rumiana jej buzia, odbijała ślicznie od białego płaszczyka, obszytego ląbedzim puszkim. Gdyby nie obecność Anny, nie poznałby nawet swojej własnej córki, dziecinnym wdziękiem której tak był zachwycony.

Nareszcie całą siłą woli zapanowawszy nad sobą, zapalił cygaro i zaczął z ojcem jakąś pogadankę artystyczną. Ojciec słuchał go z uwielbieniem, nie wiele mieszając się do rozmowy, gdyż nie bardzo znał się na sztukach pięknych.

Po godzinie rozmowy, Lucyan podniósł się z krzesła.

— Jakto? już idziesz?—zapytał go ze smutkiem ojciec—ależ to zawczasie na kolej; pociąg do Paryża odchodzi dopiero za godzinę.

— Chcę jeszcze przejść się po wyspie — odrzekł Lucyan—potrzeba mi pewnego szczegółu do krajobrazu.

Mówiąc to, serdecznie uściskał ojca, lecz kiedy już miał próg przestąpić, notaryusz zapytał go nieśmiało:

— Dawno widziałeś żonę?

— Spotkałem ją wczoraj na ulicy z małą — odrzekł krótko Lucyan.

— Mówiłes z nią?

— Nie... ale posłałem wczoraj zabawki dla Ludwini.

Twarz pana Romanet rozjaśniła się na te słowa, ujął syna za rękę i uściskał go serdecznie. Lucyana ogarnęło niewypowiedziane wzruszenie, myśl, że może więcej nie ujrzy tego ukochanego ojca, przyspieszyła bicie jego serca. Chciał się rzucić ojcu w objęcia, lecz obawiając się niepotrzebnego roztkliwienia, wyszedł co prędzej. Gdy był już na ulicy, obejrzał się raz jeszcze na ten dom ukochany, jakby chciał go dobrze zachować w pamięci i skierował się w stronę wyspy, która spowinięta mgłą, wznosiła się jak tajemnicze zjawisko z łona wód. Dzień był pochmurny, kruki i wrony krakały nad głową Lucyana, który idąc wyobrażał sobie zachwyt swojej córeczki, gdy ujrzela nagle tyle pięknych cacek. Zdawało mu się, że słyszy jej wesołe śmiechy, że widzi, jak dziecina usypia w łóżeczku, tuląc do siebie zabawkę, która jej się najlepiej podobała. Al! jaka ona musiała być śliczna wtedy!

A on, on w owej chwili układał warunki pojedynku z panem de Balboise. Przy łóżeczku dzieciny czuwała tylko matka i babka. Lucyan oburzył się na samego siebie, zdawało mu się, że jakaś zasłona spadła mu nagle z oczu.

Poznał, jak niesprawiedliwym był dla żony; nie miał nawet cierpliwości poczekać, aby go zaczęła na nowo szanować? Nie uczynił nic, aby odzyskać to biedne, boleśnie zranione serce. Wrócił do domu jak pan samowładny i żądał, aby go przyjmowano z oznakami najwyższej radości, niepomny na to, że czas tylko leczycy tego rodzaju cierpienia. Czuł on dobrze, że zawinił, ale nie chciał, aby ktokolwiek przypominał mu jego błędy, chciał być sam własnym sędzią, zakreślającym granicę zasłużonej kary.

Gdy szedł tak z wolna pod drzewami ogołoconymi z liści, całe jego życie przesunęło mu się przed oczami duszy. Stały mu w myśli wszystkie błędy, jakie kiedykolwiek popołnił i powiedział sobie z goryczą, że prawdopodobnie nie naprawi ich już nigdy, bo dla niego może nie ma jutra.

— Jeśli zginę w pojedynku, będzie to tylko słuszną karą za wszystkie moje głupstwa — mówił sobie. — Anna znajdzie z łatwością lepszego odemnie męża i będzie szczęśliwa.

Mówił tak, a czuł inaczej; wiedział on dobrze, że Anna nie pocieszyłaby się po jego stracie i do śmierci nie zdjęłaby żaloby.

Doszedł tak do krańca wysepki, gdy nagle promień słońca przedzierając się przez gęstą mgłę, rozjaśnił pomury krajobrazu. I w duszy Lucyana gorycz zamieniła się w bolesne wzruszenie.

Jestem przygotowany na wszystko— rzekł — ale jeśli da Bóg, że wyjdę żywy z tej próby, przyrzekam sobie, że starać się będę szczerze o przebaczenie Anny.

Wracając do miasta, wstąpił do ogrodnika i kupiłszy bukiet z napszniejszych kwiatów, kazał go zanieść na grób matki. Sam nie poszedł na cmentarz, aby się nie roztkliwiać bez potrzeby. Późnym już wieczorem przyjechał do Paryża.

Nazajutrz rano, Jalbrun, który noc całą nie zmrzył oka, zdziwił się ujrzawszy Lucyana pogrążonego w głębokim śnie. Z pięknej twarzy młodego malarza, znikł wyraz troski i niepokoju, a natomiast rysy jego jaśniały wewnętrzzną pogodą duszy.

— Spi tak spokojnie, że aż żal go budzić!— pomyślał Jalbrun.

Lecz czas upływał, nie mógł się więc długo namyślać. Dotknął lekko ręki przyjaciela i Lucyan otworzył oczy.

— Śniło mi się, że byłem w Arcachon—rzekł z uśmiechem i w tej chwili, przypominając sobie rzeczywistość, dodał: ale która to godzina? Już piąta, śpieszmy się.

Niebawem nadszedł drugi świadek, i wszyscy trzej pojechali do parku Saint-Cloud.

Mgła była tak gęsta, że o kilka kroków nie można było rozpoznać żadnego przedmiotu.

— Pojedynek jest chyba dziś niemożliwy, zauważył drugi świadek.

Lucyan odpowiedział niecierpliwie, że spotkanie musi mieć dziś miejsce.

Nareszcie zatrzymali się u skraju małej łączki, a wkrótce turkot drugiego powozu oznajmił o przybyciu przeciwnika.

Rozwidniło się trochę i przeciwnicy spojrzeli na siebie. Ralboise w duchu zapytywał się, co go tu przywiodło do lasku w ten zimny poranek? Lucyan miał przynajmniej tę wyższość, że był stroną wyzywającą, a mimo to czuł, że zrobił głupstwo. Obaj jednak zacięli się tak w swoim uporze, że gdy świadkowie podług zwyczaju proponowali zgodę, jednogłośnie odrzekli: nie!

Świadkowie nie nalegali więcej, gdyż z wyjątkiem Lucyana nikt nie zapatrywał się na tę sprawę poważnie; wszyscy sądzili, że przeciwnicy poprzestaną na lekkim zadrażnieniu skór, aby się tylko stało zadość wymaganiom honoru.

Mgła zamiast zmniejszać, zwiększyła się jeszcze, lecz przeciwnicy nie zważając na to, skrzyżowali żelaza.

Ralboise zasłaniał się niezręcznie przed nacierającym nań Lucyanem i widocznem było, że ten ostatni oszczędza go przez wzgląd na jego nieumiejętność. Walczyli już dość długo, gdy Ralboise odezwał się z cicha:

— Jestem raniony.

Świadkowie zbliżyli się aby ich rozdzielić i rzeczywiście ujrzeli cieniutki sznureczek krwi spływający po prawej ręce pana de Ralboise.

Jalbrun niespokojny przysunął się bliżej do milczącego dotąd Lucyana i z niewymowną trwogą zobaczył, iż krew buchała mu obficie z szerokiej na piersiach rany.

Pomimo to, Lucyan nie stracił przytomności i rzekł z uśmiechem do przyjaciela.

— Nie dotykaj mnie.

— Czy rana ta jest niebezpieczna? — spytał Jalbrun towarzyszącego im chirurga.

— Zobaczymy to w domu — odrzekł wymijająco tenże.

— Czy podobna, żebym ja zranił go tak okropnie! — zawołał Ralboise z nieudanem zmartwieniem. — Upewniam was, że to nie naumyślnie.

Usprawiedliwienie to brzmiało tak komicznie, że Lucyan, pomimo iż siły opuszczały go widocznie, rozśmiał się głośno, co spowodowało silniejszy wybuch krwi i raniony zemdlął też zaraz. Chirurg opatrzył go naprędce i z pomocą Jalbrun'a zaniósł do powozu.

— Dokąd mam jechać? — zapytał stangret.

— Na ulicę Malesherbes — odpowiedział bez namysłu muzyk.

Drugi świadek zrobił wielkie oczy.

— Ale przecież on nie żyje z żoną — rzekł,

— Dajżeż pokój uwagom — odpowiedział krótko Jalbrun.

Powrót był bardzo przykry; jakkolwiek bowiem Lucyan odzyskał przytomność i usiłował nawet uśmiechać

się do przyjaciół, był jednak tak blady i zmieniony, że liłość brała patrzeć na niego.

Okolo dziesiątej, powóz zatrzymał się przed mieszkaniem Anny. Jalbrun wyszedł sam i zadzwonił.

Nie wiedział, jak tu przyjmą jego poselstwo, ale za nic w świecie nie byłby zawiózł przyjaciela gdzie indziej.

Posłał bilet wizytowy i został wprowadzony do pani Orliet, którą tak wczesna wizyta nie pomалу zdziwiła. Jalbrun w krótkich słowach wyjaśnił jej powód swych odwiedzin.

— Pani — rzekł — zięć twój miał nieprzyjemne zajście, którego wynikiem był...

— Pojedynek! — dokończyła za niego pani Orliet — i kiedyż to?

— Dziś rano.

— Mów pan na Boga, czy raniony niebezpiecznie?

— Uspokój się pani; jest ciężko raniony, ale rana nie zdaje się być śmiertelną.

Anna, która weszła w tej chwili, usłyszała ostatnie słowa i zbladła jak marmur.

— Gdzie jest Lucyan? — spytała.

— W powozie przed domem.

Młoda kobieta chciała biedź do przedsionka; Jalbrun powstrzymał ją.

— Oszczędź mu pani zbytniego wzruszenia — rzekł — ujrysz go za chwilę.

— Zastosuję się do życzenia pana — szepnęła.

Jalbrun wybiegł szybko.

Po kilku chwilach bolesnego oczekiwania, które zdało się wiekiem dla dwóch kobiet, Lucyan ukazał się progu, wsparty na ramionach przyjaciół. Uparł się, że pójdzie sam i siłą woli dokazał tego.

Chciał coś mówić, chciał się uśmiechnąć, ale siły opuściły go i zemdlął znowu.

Mężczyźni wzięli go pod ręce i ponieśli do błękitnego pokoju Anny, gdzie przygotowano mu naprędce łóżko.

Gdy Lucyan ocucił się z długiego zemdlenia, ujrzął przy sobie żonę, a w jej spojrzeniu wyczytał niezmienną miłość i przebaczenie.

— Czy wiesz — zaczął.

Ona położyła palec na ustach.

— O! ja muszę mówić! — ciągnął dalej z wysiłkiem. Muszę ci wyznać prawdę lub iść stąd precz. Ja nie wiedziałem, że mnie tutaj zawiozą,.... nie zezwoliłbym nigdy na to...

— Błagam cię, nie mów tak wiele — prosiła Anna z trudnością powstrzymując łzy, a nadewszystko nie mów takich rzeczy.

— Słuchaj — rzekł Lucyan szybko, gdyż czuł, że go ogarnia gorączka, ale czy wiesz, że ja pojedykowałem się o kobietę?...

— Wiem — odrzekła z prostotą — ale to nic nie znaczy...

— Kiedy tak, to dobrze — szepnął Lucyan przymykając oczy i nie odezwał się już ani słowa.

Gorączka wzmogła się i wezwany doktor uznał ranę groźną. Lucyan nieprzytomny zaczął w malignie wymawiać imię żony, to z gniewnem uniesieniem, to znów przyzywając ją najslodszyimi wyrazami.

Anna nie odstępowała go ani na chwilę, z trwogą wpatrując się w tę twarz raz bladą i zapadłą, to znów rozpaloną gorączkowym rumieńcem, w te oczy przymknięte, których długie rzęsy uwydatniały jeszcze bardziej sine otaczające je obwódki.

Ozuwając przy tem łozu boleści, Anna zastanawiała się nad sobą, rozstrząsając do głębi swoje sumienie. Nie postąpiła źle, a jednak widziała jasno, że zawiniła względem męża, że powinna zrobić z siebie ofiarę, aby go tylko zatrzymać przy sobie.

Szczerze wyznanie Lucyana, który niemal umierający nie taił przed żoną prawdziwej przyczyny pojedyunku, zła mało zupełnie jej dumę.

— I to ja, ja, doprowadziłam go do tego stanu! — powtarzała sobie z goryczą.

Niestety! gdybyśmy w życiu jedynie za swoje błędy pokutować musieli, o ileż ciężar ich byłby lżejszym.

Anna z trwogą myślała, co by się z nią stało, gdyby przyniesiono jej Lucyana martwego? Gdyby już nie mógł usłyszeć jej przebaczenia? A gdy przypuściła, że odzyskawszy siły raz jeszcze zechce ją opuścić, osierocając dziecinę, to krew lodem ścinała się w jej żyłach i postanowiła wszystko uczynić, aby tylko do tego nie dopuścić.

— Niech tylko widzę go zdrowym i szczęśliwym, — mówiła sobie — to mniejsza już o mnie. Jakąż byłabym szkaradną egoistką, gdybym nie umiała poświęcić dla niego siebie i swego szczęścia.

Tymczasem Jalbrun pojechał do Mantes, aby zawiadomić ojca Lucyana o zaszłych wypadkach.

Pan Romanet cały gniew wylał na biednego muzyka.

— Jaktol! — wołał — pan, człowiek tak rozsądny, nie starałeś się przeszkodzić spotkaniu i jeszcze służyłeś za świadka w tej sprawie. Trzeba było mnie choć uprzedzić, byłbym synowi wyperswadował to głupstwo, byłbym zapobiegł nieszczęściu. Jeżeli rana będzie śmiertelną, pan mi za to odpowiesz!

— Jak najchętniej — rzekł Jalbrun — ale powiesz mi pan to wszystko później, a wtedy wysłucham cierpliwie. Teraz zaś, nie tracąc czasu, śpieszmy do Lucyana. Tylko oszczędź mu pan niepotrzebnych wzruszeń, bo inaczej odpowiedzialność cała spadnie na pana.

Pan Romanet nie odrzekł już ani słowa, ale gdy ujrzał syna pogrążonego w pół śnie gorączkowym, o mało nie krzyknął z przerażenia.

— Na miłość Boską, ojciec — szepnęła Anna z niezwykłą u niej energią — unikajmy wszystkiego, co by mogło pogorszyć stan chorego, gdyż doktor powiedział, że najłżejsze wzruszenie może go zabić. Starajmy się więc ocalić go!

Pan Romanet, widząc odwagę synowej, zdołał zapamiętać nad sobą.

Jalbrun dopiero o dziewiętej wieczór przypomniał sobie, że nie jadł obiadu i że zobowiązał się zawiadomić Paulinę o wyniku spotkania Lucyana z panem de Ralboise.

Ale Paulina wiedziała już, co się stało: posłała bowiem jakąś swoją przyjaciółkę do Ralboise'a i przez nią dowiedziała się o wszystkim. Jalbrun zastał ją płaczącą rzewnymi łzami. Z pomocą sługi zbierała i pakowała swoje rzeczy.

— On stracony już dla mnie na zawsze! — zawołała ujrzawszy Jalbrun'a.

— Bez wątpienia — odparł ten ostatni. — Ale widzę, że pani się pakujesz, nie przeszkadzam więc, owszem pochwalam ten zamiar.

— Ale on nie umrze? — spytała znów Paulina, zabierając się znów do przerwanej pracy.

— Zdaje mi się, że nie. Ale czy tak, czy owak. Lucyan do ciebie nie wróci, a co gorsza, że ten pojedynek nie przyniósł ci jakoś szczęścia; jeden wielbiciel ciężko raniony, drugi pokaleczony; to nie jednego może odstręczyć. Wierzaj mi, na przyszłość wybieraj takich, co nie biją się o lada głupstwa.

Młoda kobieta westchnęła, obtarła oczy i po chwilo- wym namyśle rzekła;

— Jak to dobrze, że jeszcze nie wynajęłam mojego dawnego mieszkania.

Ja'brun roześmiał się głośno.

— Co za przezorność, — rzekł — ty zrobisz świetną karierę, Paulino, przepowiadam ci to.

Sługa zawołała dorożki i wyniosła rzeczy swej pani, a Jalbrun został sam w pustym i ciemnym mieszkaniu przyjaciele.

Pan Romanet 34. — Dodatek do Kuryera Codziennego.

— Co to za dzieciak z tego Lucjana — pomyślał — szczęście się do niego uśmiecha, a on uciekł od niego po to, aby odebrać śmiertelną może ranę...

W tej chwili Jalbrun przypomniał sobie, że od owego pamiętnego balu artystów, na który wprowadził Lucjana, upłynął rok nie pełna. Mój Boże! a ileż to lez i cierpień przeminęło w tak krótkim czasie.

— Sądzę, że Lucjan raz na zawsze stracił ochotę do mądrego życia, — szepnął z lekką ironią Jalbrun. — Żeby tylko biedaczysko żył! — dodał z westchnieniem.

Lucyanowi śmierć jeszcze przeznaczoną nie była; młodzieńcze siły zwyciężyły cierpienie, a reszty dokonały troskliwe starania kochających go istot. Po kilku dniach odzyskał przytomność, lecz rekonwalescencja jego była długą niezmiernie. Długą, ale i rozkoszną zarazem. Lucjan z wolna odzyskiwał siły, a chociaż wspomnienia bolesnych przejść stały mu ciągle na myśli, z ufnością spoglądał w przyszłość, widząc, jak go wszyscy kochali, jak starali się mu dogadzać w najdrobniejszych jego życzeniach.

Nieraz lzy radości rapelniały jego oczy, gdy widział oznaki przywiązania żony i teściowej.

Ojciec obchodził się z nim jak z małą Ludwiną; mówił do niego pieszczotliwie, wynajdywał mu rozrywki.

Nakoniec Lucjan mógł już o własnej sile przejść przez pokój; rana zablizniła się jakoś szczęśliwie i doktorzy radzili, aby wyjechał na południe.

Gdy po wyroku lekarza małe gronko rodzinne zebrało się w salonie, pani Orliet spojrzała na córkę z niepokojem.

Od czasu powrotu Lucjana, Anna nie robiła najlżejszej wzmianki o przyszłości.

Matka więc nie wiedziała jak córka postąpi w tym razie; zdziwiła się i ucieszyła zarazem, gdy Anna pierwsza odezwała się w te słowa:

— Kiedy to potrzebne do zdrowia Lucjana, pojedziemy co rychlej oboje.

Mąż spojrzał na nią z takim wyrazem wdzięczności i żalu, że młoda kobieta nie chcąc okazać miotającego ją wzruszenia, pochyliła nisko głowę nad robotką, którą trzymała w ręku.

— A dasz sobie radę sama z Lucyanem tak jeszcze osłabionym? — spytała pani Orliet.

— O! Lucjan już zdrowszy zupełnie — odrzekła Anna — i sądzą, że za dwa dni będziemy mogli jechać.

Już oddawna nikt nie czuł przy Lucjanie w nocy. Anna, która przez cały czas choroby męża, nie dała się nikomu wyręczyć i sama siadywała u jego wezglowia, nie zamykała nieraz drzwi prowadzących z pokoju chorego do jej sypialni, aby mogła słyszeć najlżejsze poruszenie męża i być gotową na każde jego skinienie.

Tego wieczora Lucjan położywszy się do łóżka, zwołał żony.

— Pawiedziałas dziś, że pojedziesz ze mną — rzekł trochę drżącym głosem. — Ale ja nie chcę, droga Anno, być dla ciebie ciężarem; to poświęcenie byłoby może nad siły twoje. Czuję, że masz dla mnie uczucie najgłębszej, najserdeczniejszej przyjaźni, ale widzę zarazem, że stałem się niegodnym twojej miłości i że nie możesz mi podobnym odplacić uczuciem. Pozwól mi więc jechać z ojcem, Anno; i tak wspomnienie twej dobroci poniosę z sobą do grobu.

— Mój przyjacielu — odrzekła młoda kobieta — w dniu kiedy cię ujrzałam tak ciężko rannym, dałam sobie słowo, że wolałabym raczej umrzeć, niż sprawić ci najlżejszą przykrość; gdyż kocham cię nad życie.

— A więc pojedziemy razem — rzekł Lucjan przyciskając z uczuciem do ust rękę Anny.

Ona pochyliła się i pocałowała go w czoło; poczem na palcach wsunęła się do swojego pokoju, a Lucjan usnął spokojnie, marząc o szczęśliwej przyszłości, obok tak serdecznie miłującej go żony.

Anna płakała długo tej nocy. Powiedziała mężowi prawdę, że kocha go nad wszystko w świecie, ale czuła, że wymarzone jej szczęście nie wróci; że owa idealna miłość pierzchnęła wraz ze złudzeniami młodości, a pozostał do spełnienia ciężki obowiązek.

Brzask dzienny zastał Annę pogrążoną w tych rozmyśleniach. Spojrzała na przedzierający się przez firanki promień wschodzącego słońca.

— I dla mnie świta dzień nowy, zaczynam jakby nową epokę życia — powiedziała sobie. — Kwiaty wiosennych uczuć moich zwiędły; trzeba teraz pracować aby w jesieni zbierać owoce tej pracy. A zresztą, niech tylko Lucjan będzie szczęśliwy...

Żyzy przerwały jej rozmyślenia i znużona zdrzemnęła się trochę.

We dwa dni pojechali na południe i przepędzili we Włoszech sześć tygodni. Po powrocie do Paryża, Lucjan zdrowszy zupełnie, zabrał się gorliwie do pracy.

Od owych wypadków upłynęło lat kilka.

Nazwisko Lucyana Romanet, zyskało zasłużony rozgłos nie tylko między artystami, ale i między szerszym kołem publiczności, która chętnie kupowała jego obrazy, noszące cechę prawdziwego talentu.

Pani Orliet cieszy się trojgiem ślicznych wnucząt, które dziadzio Romanet psuje nielitościwie.

Anna jest zawsze piękną i powabną, lecz ktokolwiek dłużej z nią porozmawia, przekonywa się z łatwością, że uczucie macierzyńskie góruje w jej sercu nad wszystkimi innymi uczuciami, że jest więcej matką, jak żoną.

115155

KONIEC.



115155